

STACIA KANE



Osobiste demony



Stacia Kane

Osobiste demony

SPIS TREŚCI

Spis treści.....	- 3 -
Streszczenie	- 5 -
Rozdział 1	- 6 -
Rozdział 2	- 14 -
Rozdział 3	- 22 -
Rozdział 4	- 32 -
Rozdział 5	- 38 -
Rozdział 6	- 47 -
Rozdział 7	- 59 -
Rozdział 8	- 68 -
Rozdział 9	- 74 -
Rozdział 10	- 89 -
Rozdział 11	- 99 -
Rozdział 12	- 109 -
Rozdział 13	- 120 -
Rozdział 14	- 129 -
Rozdział 15	- 138 -
Rozdział 16	- 146 -
Rozdział 17	- 157 -
Rozdział 18	- 164 -
Rozdział 19	- 172 -
Rozdział 20	- 181 -
Rozdział 21	- 190 -
Rozdział 22	- 197 -
Rozdział 23	- 206 -

Osobiste demony

Rozdział 24	- 214 -
Rozdział 25	- 221 -
Rozdział 26	- 230 -
Rozdział 27	- 237 -
Rozdział 28	- 246 -
Paszteciki wołowe Megan	- 251 -

STRESZCZENIE

Zabawny, seksowny i niebezpieczny romans pani psycholog z San Francisco z demonem.

Zabiję twoje demony – obiecuje doktor Megan Chase w swojej audycji radiowej. Pacjenci jej wierzą. Demony też... i traktują to bardzo serio, chociaż pani psycholog nie ma pojęcia o ich istnieniu. Zabójczo przystojny Dante bardzo szybko otwiera jej oczy na obecność innego świata... do którego sam należy. Dlaczego? Bo jego zadaniem jest chronić Megan – jedyną śmiertelniczkę, która może pomóc demonom w walce z potężnymi przeciwnikami. Ale czy zdoła ją ocalić – przed mitycznym potworem i swoim demonicznym urokiem?

ROZDZIAŁ 1

- Witamy ponownie w programie „Osobiste Demony”. - powiedziała Megan do mikrofonu. - Nasz kolejny gość ma na imię Regina. Cześć, Regino, jak mogę zabić twoje demony?

Słowa smakowały wstydem. Kłócili się z Richardem o to zdanie, tak samo jak kłócili się o intensywną kampanię reklamową, którą stacja zorganizowała dla programu.

Richard podpisywał czeki, więc to on wygrał. Nie dajcie się nabrać. W świecie mediów dobry smak i chęć pomocy innym są mniej ważne niż głupawe zagrywki.

- Regino? Halo? Jesteś tam?

- Boję się. - Strumień obrazów, który towarzyszył cichemu niemal dziecinnemu głosikowi, sprawił, że Megan dostała gęsiej skórki i zapomniała o Richardzie i głupich tekstach. Błada wąska kobieca twarz, jasne włosy, kosmyk założony za ucho. Obraz spłynął krwią, czerwoną, lepką. Powykręcane stopy, każda z sześcioma palcami, przeszły przez kałużę krwi, zostawiając dziwne, zniekształcone ślady, które sprawiły, że wizja rozprysła się jak pękające lustro.

Megan sapnęła i odchyliła się w tył na krześle. Co to było, do diabła?

Instynktownie wzniosła paranormalne bariery ochronne tylko po to, żeby jej natychmiast opuścić.

Regina jest teraz jej pacjentką jak wszyscy inni. I dlatego Megan powinna dołożyć wszelkich starań, żeby jej pomóc.

Bill i Richard, obaj czerwoni na twarzach, gorączkowo machali do niej z kabiny. Cisza w eterze to grzech śmiertelny w radiu i zarówno jej dźwiękowiec, jak i szef wyglądali, jakby mieli ochotę ją zamordować.

- Bardzo przepraszam, mieliśmy drobne problemy techniczne. Mówisz, że się boisz?

- Tak. - Regina pociągnęła nosem. - Już dłużej nie wytrzymam. Już nie mogę.

Teraz, po początkowym przerażającym błysku, Megan odbierała bardziej przyziemne obrazy. Samochód, mdłe bladozielone biurko wyglądające, jak co drugie mdłe wyglądające biurko. Przystojny mężczyzna z uśmiechem na twarzy.

Chłopak Reginy?

Próbowała się odprężyć.

- Powiedz, co się dzieje?

- Chodzi o głosy. Cały czas do mnie mówią. W dzień i w nocy. Słyszę je.

- Głosy?

- Złe głosy. Kazań mi się krzywdzić... i innych też. Nie robię tego, ale myślę, że byłabym do tego zdolna. Muszę je powstrzymać.

- Z nikim o nich nie rozmawiałaś?

Szloch Reginy zadrżał w słuchawce, zagłuszył pytanie.

- Nie chcą odejść, nie dają mi spokoju, mówią okropne rzeczy i chcą, żebym to wszystko robiła. I tak sobie myślę, że gdybym umarła, nie słyszałabym ich więcej. Nie chcę umierać, ale nie mogę ich już dłużej słuchać.

Megan nie wydawało się, żeby Regina była nieźrównoważona, ale ludzie zdrowi psychicznie nie słyszą głosów. I nic nie tłumaczy dziwacznej, pokrytej łuskami stopy, którą zobaczyła, ani paniki, jaką ją wtedy ogarnęła.

- Regino, samobójstwo nigdy nie jest rozwiązaniem. Posłuchaj mnie. Możemy ci pomóc. Dowiemy się, dlaczego cię to spotyka i zastanowimy się, jak sprawić, by głosy ucichły. Dobrze? Znowu będziesz szczęśliwa. Jesteś dobrym człowiekiem i zasługujesz na szczęście.

- Nie wiem czy zasługuję. Nie uważam tak. Głosy powiedziały, że nie... że są ze mną, bo jestem zła.

- Nieprawda. - Megan wyprostowała się w fotelu i pochyliła nad mikrofonem, jakby Regina jakimś cudem mogła ją zobaczyć. - Wcale nie. Twoi przyjaciele, rodzina, ludzie, z którymi pracujesz, tak nie myślą, prawda? - Przed oczami znowu stanęła jej twarz mężczyzny w biurze. - Czy masz kogoś, komu ufasz?

Regian pociągnęła nosem, zdecydowanie nie był to radiowy dźwięk.

- Może.

- Więc posłuchaj. Musisz myśleć o tych, którym ufasz, dobrze? Myśl o nich, o rodzicach, o wszystkich, którym na tobie zależy. Ilekroć głosy każą ci się skrzywdzić, myśl o ludziach, którzy mogą cię wesprzeć. Mój dźwiękowiec Bill, poda ci inny numer telefonu. Zadzwoń, oni też ci pomogą. Już nie musisz się bać.

- Dziękuję.

- Dobrze. - Kamień spadł Megan z serca. - Nasza audycja dobiega końca, ale chciałabym, żebyś zadzwoniła, jak sobie radzisz. Zrobisz to?

- Tak. Dziękuję. Dziękuję bardzo...

- Nie ma, za co. I koniecznie odezwij się w przyszłym tygodniu.

Megan skinęła na Billa, żeby przełączył Reginę. Miał już pod ręką numer pogotowia dla samobójców. Ta dziewczyna przynajmniej naprawdę chciała pomocy, w przeciwieństwie do innych dzwoniących do Megan podczas tej pierwszej audycji.

Trzy samotne serca, jeden zbuntowany nastolatek, facet, który myślał, że Elvis mieszka w sąsiedztwie, i jeden dewiant nie wróżyli dobrze.

Jeszcze tylko trzydzieści sekund do błogosławionej chwili, gdy będzie mogła iść do domu. I nie wracać tu przez kolejny tydzień.

- Zawsze mamy powód, żeby żyć, bez względu na to, jak się czujemy. Zawsze znajdą się ludzie, którym na nas zależy, ludzi skłonnych nas wysłuchać i pomóc. Jeśli myślisz, że nie masz nikogo, jesteś w błędzie, ponieważ możesz zadzwonić do mnie, do tego programu. Mnie zależy. Wysłucham cię. Wrócę w przyszłym tygodniu.

Studio znów wypełniła muzyka, Bill podniósł kciuk, a Richard wychylił się z za jego pleców i nacisnął przycisk.

- Było świetnie. - Megan uśmiechnęła się, ale Richard ciągnął: - Ale nie użyłaś ustalonego zwrotu. Pamiętaj, zawsze na zakończenie programu albo przed przerwą na reklamy masz to powiedzieć. To najważniejsze, co robisz na antenie.

Narzekał na to jeszcze wtedy, gdy wyszli niemal z pustego budynku i znaleźli się w piętrowym parkingu.

- Megan, twój program ma przyciągać reklamodawców, rozumiesz to, prawda? - Nawet na nią nie patrzył, co nie było akurat takie złe, bo trudno jej było panować nad emocjami, które malowały się na jej twarzy. - Musisz się identyfikować z programem i stacją. Musisz posługiwać się naszym hasłem. Długo pracowaliśmy nad...

- Rozumiem. - Przez dwie godziny otwierała się na ludzi i ich problemy i wyczerpało ją to bardziej, niż się spodziewała. Marzyła o jednym: żeby wrócić do domu. Wypić kieliszek wina, zjeść coś lekkiego i wziąć długą gorącą kąpiel. Ale nie zrobi żadnej z tych rzeczy, dopóki nie ucieknie Richardowi i jego najwyraźniej niekończącemu się wykładowi. - Richardzie, jestem w tym nowa, ale zdaję sobie sprawę, że publiczności trzeba przypominać, czego słuchają. Zwłaszcza, że ich uwagę przykuje coś równie nieistotnego, jak samobójstwo. To się nie powtórzy.

- Mam nadzieję. - Odparł. Jej sarkazm kompletnie umknął uwagi szefa. W świecie Richarda każdy był konsumentem, któremu trzeba pomóc tylko w jednym, w wyborze odpowiedniego produktu.

Przeszli przez piętrowy parking, ich kroki niosły się echem po betonie.

Megan zadrżała. Nienawidziła takich miejsc z ich gęstym powietrzem przesiąkniętym zapachem benzyny. Niezbyt ważna fobia, jednak wciąż jej przeszkadzała. Nawet monotony monolog Richarda był lepszy niż cisza w tym miejscu.

- Zorganizowałem ci wywiad. - Stwierdził. Myliła się, chyba było lepiej, gdy się nie odzywał. - Jutro wieczorem, kolacja o siódmej w Cafe Neus. Z dziennikarzem z „Hot Spot”.

Po raz, jak jej się wydawało, co najmniej tysięczny w ciągu ostatnich tygodni pożałowała decyzji o prowadzeniu audycji.

Jedynym powodem, dla którego to zrobiła, było to, że Richard wzięłby Dona Tremblaya, gdyby odmówiła - siostrę Ratched wśród miejscowych terapeutów. Teraz zastanawiała się, czy to w ogóle miało znaczenie. Czy dzwoniący mieliby coś przeciwko temu? Pewnie zboczeniec miałby z tym problem, rozmowa z facetem mogłaby nie zaspokoić jego szczególnych potrzeb.

I jeszcze... Regina.

- Richardzie, nie chce być w tym brukowcu.

- Mówisz „Brukowiec” a my, w radiu, wolimy określenie „bezcenne źródło”. Masz pojęcie, ilu oni mają czytelników?

Doszli do samochodu Megan. Stał samotnie spowity bladym światłem świetlówki.

- Nie, ale na pewno mi powiesz.

- Przeszło pięćdziesiąt tysięcy. Pięćdziesiąt tysięcy prenumeratorów, nie licząc tych, którzy kupują prasę pod wpływem impulsu, ani ludzi, którzy sięgają po gazetę w poczekalni u lekarza. To poważny partner i chcą dużego artykułu.

- Jeden wywiad nie oznacza dużego artykułu. Nie wierzę, że „GQ” albo „Vogue” robią jeden krótki wywiad i na jego podstawie piszą... O, nie!!! - zasłoniła się torebką jak tarczą. - Chyba nie zgodziłeś się na artykuł z cyklu „Tydzień w życiu...”?

- To dobra reklama. Do tego wspomną w artykule fundacji Femmel, napiszą o balu dobroczynnym. Chyba chcesz się przysłużyć fundacji?

- To wymuszenie.

- To twoja praca.

Megan spiorunowała go wzrokiem.

- Świetnie.

Richard poczekał aż wsiadła do samochodu i usadowiła się w fotelu kierowcy. Miała już zatrzaskać drzwi, gdy powiedział:

- Włóż coś seksownego. Mogą robić zdjęcia.

Zanim wymyśliła wystarczająco złośliwą ripostę, odszedł zbyt daleko, żeby ja usłyszeć.

Ktoś czekał na ganku.

Megan znieruchomiała w połowie ścieżki. Zaciśnęła kurczowo dłonie na torebce z fast foodem i opuściła bariery ochronne. Lepiej wiedzieć, z czym przyjdzie jej się zmierzyć. Wolną ręką przekreśliła gałkę na pojemniku z gazem pieprzowym przy breloczku. Jeśli chciał poderżnąć jej gardło, miała przynajmniej cień szansy.

Nic.

Jeszcze bardziej opuściła barierę. Powinna już coś wyczuć.

Prawie zawsze udawało jej się dowiedzieć czegoś o charakterze albo motywach drugiego człowieka.

Nadal nic. Może była bardziej zmęczona, niż myślała.

Postać w cieniu się poruszyła.

- Dobry wieczór doktor Chase. - Męski głos, gładki jak szkło i jedwab. - Bardzo mi się podobał pani program.

Megan zrobiła ostrożny krok do przodu. To jej dom. Jest dopiero wpół do dziesiątej w pogodną wrześnieową noc. Stawi temu czoła.

- Dziękuję. - odpowiedziała. - Kim pan jest?

Mężczyzna zszedł z ganku. Światło księżycy sprawiło, że ostre, arystokratyczne rysy jego twarzy wydawały się nieruchome jak płaskorzeźba.

Włosy miał ciemne. Wydawał się wysoki; oczywiście, przy kimś taki niskim jak Megan większość ludzi była wysoka, ale nieznajomy miał pewnie ze dwa metry wzrostu. Zapamiętała to, na wypadek gdyby policja pytała później o takie szczegóły.

Bo nieznajomy wyglądał naprawdę groźnie, jak przestępcę, którego ofiary lądowały na posterunku. Szerokie ramiona zdradzały muskularne ciało. Choć z drugiej strony garnitur uszyty na miarę, nawet Megan umiała to poznać. Może to jakiś biznesmen? Biznesmeni też mogą być gwałcicielami.

- Nazywam się Greyson Dante. - Powiedział i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął wizytówkę tak białą, że aż lśniła. Podał jej. Ani drgnęła.

- Co pan tu robi?

Opuścił rękę bez cienia zażenowania. Prawnik? Poza prawnikami nie znała nikogo, kto potrafiłby znieść porażkę w taki sposób.

- Przyszedłem porozmawiać o programie. Reprezentuję klienta, który jest bardzo zainteresowany pani audycją.

- Jeśli chodzi o program, pański klient powinien skontaktować się ze stacją.

- Ale to nie jest oferta dla stacji, tylko dla pani.

Westchnęła.

- W takim razie pański klient powinien się skontaktować z moim biurem, a nie wysyłać prawnika, żeby czyhał na mnie pod domem.

- Czy powiedziałem, że jest prawnikiem?

- Nie.

Czekał na jej następne słowa i uśmiechnął się, gdy się nie odezwała. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej chciała coś

powiedzieć. Wątpiła, by była jedyną kobietą, która tak na niego reaguje.

A on dobrze o tym wiedział, mogłaby się założyć.

Starła się nie okazywać emocji.

- Proszę posłuchać, Panie...?

- Dante. - Jego głos był idealnie pusty. I nie chodziło tu o słaby akcent; w jego głosie w ogóle nie było żadnego akcentu, jakby latami pracował nad tym, by pozbyć się wszelkich naleciałości, które mogłyby zdradzić jego pochodzenie.

- Bardzo mi przykro. Ale już późno, a ja jestem głodna i zmęczona. Proszę jutro zostawić wiadomość w moim biurze, jeśli chce pan o czymś porozmawiać. Spróbuję do pana oddzwonić.

Nadal się uśmiechał. Megan znów otworzyła się na niego.

Może po prostu nie wysyłał sygnałów. Ale gdyby zdołała wyczuć go w głowie, miałaby większe pojęcie, czego chce.

Nic z tego. Nie dość, że nie mogła się do niego dostosować, to uśmiech na twarzy mężczyzny sugerował, że wie albo przynajmniej podejrzewa, czego Megan próbuje. Ale to niemożliwe, prawda?

- Doktor Chase. - Niemal widziała jak zmienia nastawienie z „gładki i wyrafinowany” na „twój najlepszy przyjaciel, który chce ci pomóc”. - Chyba nie jasno się wyraziłem. Mój klient chce pani jedynie pomóc i być może doprowadzić do rozwiązania satysfakcjonującego obie strony. Wyjaśnię wszystko, jeśli poświęci mi pani dziesięć minut.

- Przykro mi, ale czeka mnie jeszcze dzisiaj dużo pracy. Nie mam czasu, żeby sobie siedzieć i gawędzić.

- Stoimy, nie siedzimy.

- Nie mam czasu żeby tak sobie siedzieć czy stać i gawędzić. - Skrzyżowała ręce na piersi. Torebka frytek uderzyła w jej brzuch.

Przyglądał się jej przez chwilę. Przechylił głowę na bok.

- Będziemy w kontakcie. - Powiedział. - A na razie chciałbym panią prosić o przysługę.

- Pan mnie? O przysługę?

Skinął głową.

- Słucham.

- Proszę nie przyjmować innych ofert, dopóki nie dowie się pani, co mój klient ma pani do powiedzenia.

Osobiste demony

- Dobrze. - Nie sprawiło jej to żadnej różnicy. I tak w najbliższym czasie nie spodziewała się żadnych propozycji. Zresztą, jeśli obietnica sprawi, że facet sobie pójdzie, proszę bardzo.

- Dziękuję. - Odwrócił się, żeby odejść, ale nagle zatrzymał się i wyciągnął rękę. - Moja wizytówka.

Nie poruszył się, gdy ją brała. Gruby, ciężki papier szeptał coś do jej skóry, gdy jej palce muskały wypukłe litery.

Megan patrzyła jak odchodzi. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał obok lśniącego czarnego jaguara. Drzwi samochodu odblokowały się z cichym odgłosem.

- O, i doktor Chase?

- Tak?

Otworzył usta, zamknął, otworzył jeszcze raz. Megan była już gotowa machnąć ręką i wejść do domu, gdy w końcu się odezwał.

- Proszę na siebie uważać.

ROZDZIAŁ 2

- Kevinie?

Mężczyzna siedzący na jasnobrązowej skórzanej kanapie popatrzył w górę.

- Doktor Chase?

Skinęła głową i wyciągnęła rękę.

- Mów mi Megan.

Kevin wyglądał sympatycznie, miał jasnobrązowe krótkie włosy i okrągłą, niewinną twarz. Średni wzrost, średnia postura - ot, jeden z wielu ludzi, jakich codziennie widuje się na ulicy i jakich nie pamięta się kilka minut później.

I właśnie, dlatego Megan nie rozumiała, dlaczego poczuła się źle, gdy tylko dotknęła jego dłoni.

- Dziękuję, że zgodziła się pani przyjąć mnie tak szybko, doktor Chesa... to znaczy, Megan. - Kevin puścił jej rękę. Odetchnęła głęboko i mdłości natychmiast zelzały. Ale nie ustąpiły całkowicie, czaiły się w żołądku napełniały usta śliną, choć złagodniały. - Ja... ja po prostu musiałem z kimś porozmawiać.

Megan przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu.

- Właśnie, dlatego tu jestem. O czym chciałbyś porozmawiać?

Podeszła do fotela i usiadła ciężiej niż zamierzała.

Kevin miał sporo kłopotów, o których chciał opowiedzieć. Był samotny, miał depresję, zaniżoną samoocenę, nierozwojową posadę w banku. Bał się wysokości i małych przestrzeni, węży, pajaków i pluskiew. Mówiąc krótko, był jak każdy inny człowiek, którego życie nie ułożyło się dokładnie tak, jak tego chciał czy marzył.

Megan próbowała go słuchać, ale nie mogła się skupić.

Wspomnienie Reginy, jej bladej twarzy i zdeformowanej stopy, a teraz ucisk w żołądku, gdy Kevin dotknął jej dłoni, wskazywały na to, że ma problem.

Nigdy wcześniej się z tym nie spotkała, nie w taki sposób.

Każdy, kto ma jakiegokolwiek zdolności parapsychiczne, musi się zmierzyć z - jak to określa Megan - dreszczem. W towarzystwie nie których ludzi po prostu źle się czuła. Może to byli ci, którzy kopią bezbronne szczeniaki, oszukują staruszki albo robią jeszcze gorsze rzeczy. Spotykała takich ludzi, oczywiście. Ale przy Kevinie miała wrażenie, że problem kryje się w niej. Jakby zagrożenie, czymkolwiek by było, pochodziło z głębi niej samej.

- Od jak dawna uczęszczasz na spotkania... - Zajrzała do akt i z trudem się powstrzymała, żeby nie przewrócić oczami. - Pogromców strachu?

- Od pół roku. - Odparł Kevin. - To dobry program i w ogóle, ale ostatnio... wolałbym się przekonać, jak sobie poradzę sam, rozumiesz?

- Oczywiście. - Zerknęła na zegarek. Do końca sesji zostało jeszcze dwadzieścia minut. - Czy dzisiaj chciałbyś skupić się na czymś konkretnym?

- Miałem wczoraj koszmarne sen. - Mruknął. - Naprawdę straszny. - Po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach coś innego niż smutek i samotność. Gdzieś głęboko czaił się w nim strach jak osa w bukiecie kwiatów.

- Opowiedz mi o tym.

Opadł na miękkie oparcie skórzanej kanapy, oparł głowę na zagłówek, zamknął oczy. Uśmiechnął się lekko. Najwyraźniej ta część sesji sprawiała mu przyjemność. Rozmowa z kimś, kto go słucha, przynosiła ulgę.

Megan zeszywniała. Teraz powinna wczuć się w pacjenta widzieć to, co on, czuć, to, co on i zapamiętać, co pomijał. A potem zapytać, dlaczego dokonuje takiego wyboru.

Musiała się uzbroić w cierpliwość. Ze względu na Kevina.

Zobaczyła pokój, który opisywał i odetchnęła z ulgą.

Żadnych mdłości, żadnego strachu.

Olbrzymi pokój wydawał się nie mieć końca, przechodził w nicość. Pod niewidzialnym sufitem kłębiły się plamy barw, które sugerowały, że pomieszczenie ktoś udekorował. I nagle się okazało, że ściany to wcale nie ściany, tylko szafki, setki szafek, wszystkie wysokie na nieco ponad metr. Miała wrażenie, że znajduje się w

katalogu bibliotecznym, tylko że spod drzwiczek wpadały smugi światła.

- To pusty pokój, Kevinie? A może są tam meble? Albo drzwi do innego pokoju?

- Tak, drzwi, wiele drzwi.

- A za nimi?

W sennym wspomnieniu, Kevin przerwał i patrzył na wąską smugę światła na podłodze.

- Nie wiem, broń?

Megan zanotowała tę odpowiedź.

- Skąd pomysł, że broń będzie ci potrzebna, Kevinie?

- Pewnie tak. - Odparł. - Chciałem po prostu przejść przez ten pokój. Coś tam na mnie czekało. Coś chciało, żebym to zobaczył.

- Co to było?

- Nie wiem. Wiedziałem tylko, że muszę się tam dostać.

Kolejna notka.

- A co się zdarzyło, gdy tam dotarłeś?

Na końcu pomieszczenia wyrosły inne drzwi, większe niż pozostałe. Ciemne drewno pokrywały rzeźbione ornamenty.

Poczuła, jak pot spływa po jej twarzy - twarzy Kevina. Czy za tymi drzwiami czai się ogień? To dość powszechna fobia.

Głos Kevina zmieniła się teraz, stał się wyższy i słaby. Cokolwiek kryło się za drzwiami, nie było to nic przyjemnego. Zebrała siły, gdy wyciągał rękę. Zacisnął dłoń na ozdobnej mosiężnej gałce. Ciało zaskwierczało...

Kevin wrzasnął. Coś uderzyło w Megan z taką siłą, że zsunęła się z fotela.

Krzyknęła, gdy jej głowa uderzyła w podłogę z głuchym odgłosem. Drzwi ciągle górowały nad nią, nawet, gdy jednocześnie widziała, jak Kevin miota się na kanapie. Miał otwarte usta, wybałuszył oczy. Megan rozpaczliwie próbowała wznieść zapórę ochronną i zerwać więź z koszmarem Kevina, ale nie mogła.

Coś pochwyciło jej umysł i nie puszczało.

Usiłowała zawołać recepcjonistkę, kogokolwiek, ale ze ściśniętej krtani nie wydobywał się żaden dźwięk. Podniosła ręce do gardła, jej palce szukały sznura, który zdawał się ścisnąć jej szyję, ale niczego nie znalazły.

Kevin spadł z kanapy. Uderzył w stół ze szklanym blatem, stojący pośrodku pokoju. Ciało mężczyzny skręcało się, a z jego ust wydobywały się przerażające odgłosy.

Wizja Megan powoli czerniała wokół brzegów, stawała się ciemna jak drzwi, które zaskrzypiały na olbrzymich mosiężnych zawiasach. Zanim zobaczyła, co się za nimi czaiło, drzwi do jej gabinetu otworzyły się gwałtownie.

Przerażona twarz recepcjonistki była ostatnią rzeczą, jaką Megan zobaczyła, zanim ogarnęła ją ciemność.

- Czuje się dobrze. - Megan usiadła na łóżku i opuściła nogi na podłogę. - Chcę iść już do domu.

- Lekarz jeszcze pani na to nie pozwoli. - Odparła pielęgniarka znużonym tonem kobiety przyzwyczajonej do tego, że ludzie, którym usiłuje pomóc, ignorują ją i lekceważą.

- A mogłaby pani sprowadzić lekarza? Proszę. - Kłamała, wcale nie czuła się dobrze, ale szpital w niczym jej nie pomoże.

Dwukrotnie w ciągu dwóch dni, doświadczyła niezwyklej reakcji, wczuwając się w kogoś. Trzy razy, jeśli dodać nieumiejętność czytania mężczyzny, który czekał na nią na ganku. Czy to możliwe, żeby paranormalne umiejętności nagle wymknęły się spod kontroli? A może to zbieg okoliczności, jakieś dziwne ustawienie planet? Może Kevin cierpi na epilepsję, albo ma wrodzoną wadę mózgu?

Nie wiedziała jak ma się tego dowiedzieć. Nie miała, kogo zapytać. Kiedy Megan szukała mentora, kogoś, kto potrafiłby to samo co ona. Gdy tylko zdała sobie sprawę, że rodzice jej nie pomogą, spotykała się z wrózkami i tarocistkami. Nikt nie zdołał jej pomóc. Tylko tarocistka poradziła, żeby wyzbyła się gniewu. Megan lubiła swój gniew i zignorowała tę radę.

Pielęgniarka zmierzyła ją wzrokiem.

- Należy pani do tych pacjentów, którzy ignorują zalecenia lekarza?

Megan się uśmiechnęła.

- Nie. Nie jestem idiotką.

- Nie wygląda pani. - Odparła pielęgniarka, odwzajemniając uśmiech. - Pójdę po lekarkę. - Odwróciła się i odeszła z piskiem

sportowych butów na wypastowanej podłodze. Szła w stronę recepcji. Megan przygryzła paznokcie i czekała.

- Wie pani mamy automat z batonikami. - Powiedziała lekarka, wchodząc za zasłonę oddzielającą łóżko Megan. - Na wypadek gdyby te paznokcie nie wystarczyły.

Megan się zarumieniła.

- Odruch nerwowy. Fiksacja oralna.

- Mhm... Terapeutka? Tak? Doktorat? - Lekarka Junet Huntr, jeśli wierzyć napisom na identyfikatorze, przekrzywiła głowę i się uśmiechnęła.

- Lekarzu, lecz się sam?

- Coś w tym guście. Przypuszczam, że mogło być gorzej. Mogłaby pani palić.

- O nie. Mam tylko czyste, nie zabójcze nałogi.

- Świetnie, Lissa twierdzi, że czuje się pani dobrze, i nie widzę powodu, by tu panią dłużej trzymać. Proszę się nie przemęczać przez parę następnych dni, dobrze? I skontaktować się z lekarzem pierwszego kontaktu, gdyby pojawiły się bóle albo zawroty głowy, których nie zlikwiduje kilka aspiryn.

Megan skinęła głową.

- Doktor Chase?

W drzwiach pokoju stał mężczyzna w koszuli w szkocką kratę i brązowych sztruksach, które pamiętały lepsze czasy. Najpierw dostrzegła jego wielkie okulary, a dopiero potem wielki uśmiech.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Zaczął. - Chciałem zdążyć, zanim panią wypiszą.

- Już skończyłam Art. Właśnie wypisuję zwolnienie, przyszedłeś w samą porę.

- Doskonale. - Mężczyzna wszedł do pokoju, a Megan podziękowała doktor Hunter. - Nazywam się Arthur Bellingham. - Wyciągnął rękę. Megan ucisnęła mu dłoń. Była ciepła i wiotka. - Jestem szefem programu „pogromcy strachu”, tu przy szpitalu.

- Ach tak. - Megan popatrzyła na niego z nowym zainteresowaniem. - Terapeuta Kevina.

- Tak, terapeuta Kevina. - Coś w sposobie, jaki to powiedział, sprawiło, że miała ochotę go wyczuć, ale się powstrzymała. Nie zaryzykuje, że znowu pójdzie coś nie tak, gdy wolność jest tuż tuż. -

Właśnie, dlatego chciałem z panią porozmawiać. Co się wydarzyło podczas sesji z Kevinem?

- Wyglądało to na wylew, ale musi pan zapytać doktor Hunter, czy tak było naprawdę.

- Cieszę się, że żadne z was nie odniosło poważnych obrażeń.

- Ja też. - Czego chciał? Najwyraźniej do czegoś zmierzał. Megan wolałaby, żeby już to powiedział, wtedy wreszcie będzie mogła wyjść.

- Pewnie byłoby źle, gdyby nie znalazła was recepcjonistka?

Skąd wiedział? Przeglądał jej akta? Nie warto się o to kłócić. I tak nie było tam informacji, których nie mógłby uzyskać gdzie indziej.

- Chyba tak. - Odparła. - Wolę o tym nie myśleć.

- Ależ doktor Chase! Jesteśmy psychologami. Walka ze strachem to nasza praca.

- Nasza praca polega na tym, że pomagamy pacjentom zmierzyć się z ich lękami.

- Powiedzmy. Szczerze mówiąc, właśnie na ten temat chciałem z panią porozmawiać. Strach, oczywiście. - Roześmiał się z własnego żartu.

Megan się uśmiechnęła. Ale nie więcej niż wymagała tego grzeczność.

- Tak?

- No, dobrze. - Wepchnął ręce do kieszeni, oparł się o monitor EKG i stracił równowagę, gdy urządzenie na kółkach odjechało a bok. Megan zagryzła usta, żeby się nie roześmiać, gdy ustawił je na miejscu. Obejrzał się na nią pełen skruchy, z miną dziecka, które spodziewa się kary za niezdarność.

- Głupie kółka. - Powiedziała Megan. - Kto je w ogóle wymyślił? Zachichotał nerwowo.

- No, tak. W każdym razie chciałem rozmawiać z panią o „Pogromcach strachu”.

- O programie, w którym uczestniczył Kevin?

- W którym uczestniczy Kevin. Oficjalnie nie opuścił projektu.

- Podobnie jak większość pacjentów nie odchodzi oficjalnie od terapeuty, prawda, panie Bellingham? Przecież nie ma żadnej uroczystości ukończenia terapii. Ludzie po prostu coraz rzadziej przychodzą na sesję.

Bellingham wzruszył ramionami, ale rysy jego twarzy się wyostriły.

- Pogromcy strachu są... inni. Specjalni. Urządzamy pewnego rodzaju ceremonię, a nasi podopieczni zobowiązują się uczęszczać na spotkania przez określony czas. Jeśli poczują się lepiej, pomagają tym, którzy nie są jeszcze tak silni. To cudowny program.

Może i cudowny, ale chyba nieetyczny.

- Płacą za sesje, podczas których sami spełniają rolę mentorów? Skinął głową.

- Obniżamy im opłatę, ale nasza teoria głosi, a podopieczni zgadzają się z nami, że wciąż uczą się nowych mechanizmów ochronnych, zarazem ucząc innych, jak sobie radzić ze strachem. Często decydują się zostać, nawet po tym, jak odbędą ceremonię pożegnalną.

- Rozumiem.

Zmrużył oczy.

- Jeśli naprawdę chcą odejść, mogą. Muszą nam to tylko powiedzieć. Ale w ciągu dwóch lat odeszła tylko jedna osoba.

- Imponujące.

- Dziękuję. Pani pozwoli, że przejdę do sedna doktor Chase. - Uśmiechnął się. Megan odpowiedziała tym samym. - Bardzo chciałbym mieć panią na pokładzie. Wczoraj słyszałem panią w radio, jak poradziła sobie pani z tą kobietą, która słyszała głosy. Była pani wspaniała. Większość naszych podopiecznych ma podobne problemy, stąd nasza nazwa. Wydaje mi się, że byłaby pani wspaniałym nabytkiem w naszej ekipie.

Czy jest w mieście ktoś, kto nie słuchał jej audycji? W najgorszych koszmarach nie wyobrażała sobie, że głupia kampania reklamowa Richarda będzie tak skuteczna.

- Pochlebia mi pan. - zaczęła. - Ale mam własną praktykę i program, pracuje sześć dni w tygodniu. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym znaleźć czas cokolwiek więcej.

- Ale może przyjdzie pani kiedyś i zobaczy, jak wygląda nasza sesja? Spotykamy się tu, w szpitalu, o siódmej w dni powszednie, w sali konferencyjnej B, w ambulatorium. Bardzo mi zależy na pani obecności.

- Spróbuję.

Bellingham się rozjaśnił.

- Wspaniale. Oto moja wizytówka. - Była cieńsza niż ta, którą poprzedniego wieczoru wręczył jej tajemniczy gość. - Proszę zadzwonić, gdyby zdecydowała się pani nas odwiedzić.

- Dobrze. - Megan zsunęła się z łóżka i jej stopy głośno uderzyły o podłogę. Łóżko okazało się wyższe, niż przypuszczała. Sięgnęła po torebkę. - Było mi miło pana poznać, panie Bellingham.

- Mów mi Art. - Kolejny wiotki, słaby uścisk dłoni. Miała wrażenie, że wymieniła go z surowym kotлетem kurczaka. Powstrzymała się, żeby nie otrząsnąć się z obrzydzeniem.

- Megan. - odparła. - A zatem, Megan, mam nadzieję, że zadzwonisz.

Poczekala aż wyjdzie, zanim wytarła rękę w spódnicę.

ROZDZIAŁ 3

Clafe Neus powstało w efekcie projektu Nowego Millennium, na punkcie, którego miejscy radni oszaleli kilka lat temu. Megan go nie znosiła. Wszystkie stare kamienice, które nadawały centrum miasta specyficzny charakter, ustąpiły miejsca nowoczesnym fasadom i modnym knajpkom, które wyglądały, jakby miał je pokonać pierwszy silniejszy podmuch wiatru.

Musiała jednak przyznać, że nowa zabudowa przyczyniła się do wzrostu popularności okolicy. Przez piętnaście minut szukała miejsca, żeby zaparkować malutkiego focusa, aż wreszcie znalazła je - siedem przecznic od miejsca, do którego zdążała. Kiedy wchodziła do chłodnego wnętrza restauracji, była zła, obolała i wściekła na siebie, że w ogóle zgodziła się poprowadzić program radiowy.

Don Tremblay nie jest taki zły, prawda? Co z tego, że Megan nie znosi go tak samo, jak on jej - zwłaszcza odkąd rok temu na konferencji, na którą oboje byli zaproszeni, straciła panowanie nad sobą i wygarnęła mu, że prędzej poleciałaby, jako terapeutę Hannibala Lectera niż jego? Co z tego, że co najmniej jednej pacjentce kazał wydorosnąć i przestać jęczeć, a potem policzył jej podwójną stawkę, twierdząc, że to, dlatego, że jej nie znosi? Czy mogłaby z ręką na sercu powiedzieć, że nigdy jej nie kusilo, by postąpić podobnie? Co za hipokryzja osądzać biednego Dona, który od lat zajmuje się terapią. Którego trzy lata temu zostawiła żona i który... idzie prosto do niej.

- Megan. - Uśmiechnął się sztucznie i ucisnął jej rękę. Skoncentrowała się na barierach ochronnych, gdy znalazła się w pułapce między parawanem ze sztucznego bambusa a jego pulchnym ciałem. Cmoknął ją w policzek wilgotnymi ustami. - Co za niespodzianka. Słuchałem twojego programu, nieźle sobie radzisz.

- Nieźle?

- No pewnie. - Założył ręce na piersi i uśmiechnął się do niej. Miało to zapewne wyrzucić zupełnie inny efekt, ale wyglądał jak szalony naukowiec, który zaraz rozetnie zwłoki i ułoży śmieszne figury z wnętrzości. - Kiedy Richard Randall powiedział, że zgodziłaś się poprowadzić tę audycję, pomyślałem, że oboje oszaleliście. Ale kiedy cię słuchałem... - Uniósł jej dłoń do ust. - Mugnifique. Ale pozwól, że udzielenie ci przestrogi. W naszym chwalebny zawodzie są tacy, którym twoja nagła sława będzie solą w oku.

Na przykład ty, pomyślała, ale tego nie powiedziała. Tremblay obserwował ją chłodnym, czujnym wzrokiem i wiedziała, że nie boi się urządzać awantury. Nie chciała pogarszać sytuacji, zwłaszcza, że gdzieś w sali czekał na nią dziennikarz. „*Spragniony sławy terapeuta atakuje gwiazdę nowej audycji!*” Nie miała ochoty zobaczyć takiego nagłówka w gazecie. W każdym razie nie, jeśli jej nazwisko miałoby widnieć w tekście.

- Dzięki za ostrzeżenie, zapamiętam to sobie.

- Zawsze chętnie służę pomocą młodej damie, nie nawykłej do wielkiego świata i gubiącej się w regułach, które nim rządzą. - Dobry stary Don, zawsze gotów się wywyższać. - A skoro o tym mowa, dlaczego masz jeść sama? Zapraszam do naszego stolika.

- Przykro mi, jestem umówiona.

- Randka w ciemno? Takiej jak ty trudno dzisiaj kogoś poznać, prawda?

Niektórzy ludzie budzili w niej taką agresję, że najchętniej wydłubałaby im oczy łyżeczką do owoców. Na przykład Don. Z trudem się powstrzymała przed jakimś drastycznym czynem.

- Tak, moje rozbuchane libido wszystkich odstrasza. A teraz wybacz, ale muszę znaleźć towarzysza.

Zostawiła go obok zaskoczonych hostessy.

- Już mówię, jak to działa. - Brian Stone, dziennikarz z „Hot Spot”, wyjął z plecaka dyktafon i położył na stoliku. Oczy mu rozbłysły. Megan pozazdrościła mu entuzjastycznego podejścia do pracy. - Ja pytam, pani odpowiada. Niby proste, ale sztuka polega na tym, żeby nie przejmować się tym urządzeniem. To ma być dobry artykuł. Nie chcę pani zniszczyć, proszę się nie obawiać. Jeśli

wszystko pójdzie dobrze, zaraz zapomnimy, że wszystko się nagrywa. Będziemy się spotykać przez cały tydzień, więc najlepiej, żebyśmy szybko się uporali z niechęcią do dyktafonu. Dobrze, doktor Chase?

Mówił lekko, swobodnie. Miał krótkie, schludnie przycięte ciemne włosy i szeroki, ciepły uśmiech. Emanował pewnością siebie, ale Megan nie uległa łatwo pierwszemu wrażeniu.

- Spróbujemy.

- Nie chce pani tego.

- Czego?

- Wywiadu, wyczuwam to. Nic nie szkodzi. To znaczy szkodzi, bo będzie mi trudniej, ale rozumiem panią. Wiele osób tak ma.

- Ale nie daje pan za wygraną.

- A pani daje? - Przyszpilił ją do krzesła błękitnym spojrzeniem. Odwróciła wzrok.

- Inaczej to postrzegam. Ludzie mi płacą, żebym zadawała pytania, żebym się dowiedziała, na czym polega ich problem. Czasami, żeby to osiągnąć, zmuszam ich do konfrontacji z tematami, przed którymi do tej pory uciekali.

- A więc to pani teoria? W pracy zmusza pani pacjentów, żeby zajrzeli w najciemniejsze zakamarki swoich umysłów?

- To niekoniecznie mroczne zakamarki i nikogo do niczego nie zmuszam, panie Stone. Podobnie jak nie uważam, że zasada poznania prawdy, by zmierzyć się z rzeczywistością, to teoria. Jeśli idzie pan do lekarza z bólem brzucha, ale nie zgadza się na badanie, marnuje pan czas. Tak samo podczas terapii.

Nie spodziewała się, że ten wywiad okaże się przyjemny, ale nie miała pojęcia, że ogarnie ją wściekłość. Stały przed nią nietknięta cola i sałatka. Żałowała, że nie zamówiła czegoś solidniejszego.

- Ale to chyba nie to samo? No, bo to, czego nie powiesz prawdziwemu lekarzowi, może cię zabić. Ale to...

- Chwileczkę, panie Stone. Może nie jestem lekarzem, ale zrobiłam doktorat z psychologii i jestem wykwalifikowaną, licencjonowaną terapeutką, a nie laikiem.

- Wiem.

- Ponadto... Co? Jak to, wie pan?

Stone się uśmiechnęła.

- Oczywiście, że znam pani kwalifikacje. Ma pani doskonałą reputację i na pewno nie każdy zdołałby obronić pracę magisterską i doktorską w ciągu ośmiu lat. Ale udało mi się panią trochę rozluźnić. Teraz jest pani bardziej skora do rozmowy, prawda? I może bardziej chętna, żeby zwracać się do mnie po imieniu?

- Jedyna rzecz, na jaką mam teraz ochotę, to wywalić ci sałatkę na głowę.

- Proszę, nie. Strasznie trudno zmywa się sos z włosów.

Roześmiała się wbrew sobie.

- No dobrze. Przyznaję, nie jestem tak zdenerwowana jak wcześniej. Co nie oznacza, że pochwalam twoje metody.

- Robię, co w mojej mocy. - Odparł i zabrał się do sałatki. - Powinnaś coś zjeść.

- A co, chcesz mi zrobić zdjęcie ze szpinakiem w zębach?

- Nie, ale zrobię, jeśli nie będziesz dla mnie miła.

Megan uśmiechnęła się ze zrozumieniem i upiła łyk coli. Rozejrzała się po restauracji nad krawędzią szklanki. Jej wzrok zatrzymał się na dwóch stolikach z tyłu. Przy jednym siedział Don Tremblay z Jeffem Howardem.

Jeff był jednym ze wspólników w jej firmie i głośno się sprzeciwiał, gdy dołączała do ekipy. Towarzyszyła im kobieta, której nie poznała. A więc Tremblay żył w przyjaźni z Howardem? Nie wiedziała o tym, ale to z pewnością układało się w całość.

Na drugi stół spojrzała z prawdziwym niepokojem. Ledwie chichocząca kelnerka oddaliła się od niego, Greyson Dante uniósł kieliszek wina w niemym toaście. Zignorowała go.

- No dobrze. - Zaczął Brian, gdy podziękował kelnerce za przystawkę. - Będę przychodził do ciebie do gabinetu co rano, o dziesiątej. Tym sposobem fotograf pstryknie niezłe fotki i może mi się uda przeprowadzić wywiad z jakimś pacjentem.

- Nie możesz przeprowadzać wywiadów z pacjentami. Mają prawo do prywatności.

Brian wzruszył ramionami.

- Zapewniam cię, że chętnie wypowiedzą się anonimowo. I idę o zakład, że znajdzie się kilku, którzy oddadzą wiele za zdjęcie w naszej gazecie, żeby wszyscy się dowiedzieli, że regularnie odwiedzają Pogromcę Demonów.

Megan niemal zadławiła się befsztykiem.

- Kogo?

- Pogromcę Demonów. Stacja jasno określiła, że tak mamy cię opisywać. Część tematu audycji.

- O Boże! - Megan ukryła twarz w dłoniach. Już czuła tępy pulsujący ból głowy, a będzie gorzej, jeśli to piekło jeszcze trochę potrwa.

- Tak sobie myślałem, że zrobimy ci zdjęcie z widłami, na przykład. Albo z wielkim drewnianym krzyżem. Co ty na to?

Wpatrywała się w niego. Uniósł ręce i odchylił się do tyłu, jakby obawiał się, że zaraz go opluje.

- Ej, tylko żartowałem.

- Bardzo śmieszne.

- O! Uwielbiam dobre dowcipy. - Greyson Dante stanął u jej boku.

- Witam, panie Dante. Obawiam się, że to prywatna rozmowa, więc, oczywiście, zaraz pan nas opuści.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nie sposób obrazić tego człowieka.

- Doprawdy, doktor Chase, bo uznam, że nie chce mnie pani widzieć.

- Bo nie chcę.

- Skąd przekonanie, że wszystko wie pani najlepiej?

- Bo wiem.

Brian wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

- Megan, nie przedstawisz mnie przyjacielowi?

Dante wciąż stał uśmiechnięty, z kieliszkiem wina w dłoni. Wyglądał jak Cary Grant na luksusowym rejsie wycieczkowym. Nie pomyliła się wtedy, gdy widziała go po raz pierwszy w świetle księżycy - naprawdę był przystojny, z ciemnymi włosami i oczami, i gładką, lekko opaloną skórą. Zawsze lubiła ciemnowłosych mężczyzn, pewnie, dlatego że sama była blada i miała blond włosy. Wydawało jej się, że jest bezbarwna jak duch. Ciemnowłosy mężczyzna wprost przykuwał ją do ziemi. A może to tylko efekt uboczny szczenięcego zauroczenia Burtem Reynoldsem.

Zanim mogła się wyprzeć przyjaźni z Dantem i odmówić, Pan Mrocznie Przystojny i Upiędyliwy ścisnął dłoń dziennikarza.

- Dante. Greyson Dante.

Brian się uśmiechnął.

- A zatem, panie Dante, proszę siadać. Chętnie porozmawiam z przyjaciółmi Megan. Chciałbym zdobyć o niej trochę więcej informacji, rozumie pan?

- Chętnie podzielę się wszystkim, co wiem. - Greyson przysunął sobie puste krzesło ze stolika obok, nie pytając siedzących przy nim osób o pozwolenie, jak zauważyła Megan. Usiadł.

- Czyli prawie niczym. - Mruknęła pod nosem.

Brian rzucił na nią okiem.

- Co?

Dante się uśmiechnął. Megan najchętniej wbiłaby mu widelec w dłoń.

Oczywiście, że się uśmiechał. Nie mogła go stąd wyprosić. Nie mogła krzyknąć albo stwierdzić, że to szalony nieznajomy. Nie mogła nawet zachować się niegrzecznie. Brian to dziennikarz, ma władzę, może zbudować albo zniszczyć jej reputację. *„Radiowa terapeutka nie pamięta nazwisk kochanków na jedną noc”*. *„Spragniona władzy gwiazdka jednej audycji zapomina o starych znajomych, upojona sławą”*. *„Popularność doprowadza ją do obłędu”*. Już widziała nagłówki.

- Właściwie skąd się znacie? - Brian albo próbował udawać, że nie widzi, co się między nimi dzieje, albo tego nie widział i prowadził zwyczajną rozmowę. Miała nadzieję, że to drugie. Już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale Greyson ją uprzedził.

- Jestem terapeutą. Spoza tego stanu. Poznaliśmy się w zeszłym roku na konferencji.

Megan założyłaby się o samochód, że najbliższy kontakt Greysona z terapią polegał na sugerowaniu klientom, żeby się jej poddali, jeśli chcą uzyskać w sądzie większe odszkodowanie.

O ile był prawnikiem, czego - musiała przyznać - wcale nie była pewna. To tylko przeczucie, ale nie miała pewności, bo nie mogła go przeczytać.

- Nasze metody bardzo się różnią. - Zaczęła, ale Dante wpadł jej w słowo.

- Ale oboje lubimy pomagać ludziom. O ile wiem, „pomagać” to ulubione słowo doktor Chase.

- A twoje to „błąd w sztuce”?

- Och, nie! - Oparł dłonie na stole i pochylił się nad nią. - Moim ulubionym słowem jest „grzech”, doktor Chase. Grzech.

Przykuł ją spojrzeniem. Pochyliła się do przodu, zanim zdała sobie sprawę z tego, że to robi. Cofnęła się tak szybko, że straciła swój nóż na podłogę.

Dante cmoknął z dezaprobatą, podniósł nóż i skinął na kelnerkę, która podbiegła do ich stolika, jakby byli jedynymi klientami w restauracji. Megan uspokoiła się i rozejrzała po sali. Starła się nie patrzeć na intruza.

Może to efekt wcześniejszych wydarzeń, ale sałatka, która do tej pory wydawała się bardzo smakowita, nagle nie chciała przejść jej przez gardło.

Nawet nie tknęła czystego noża. Obawiała się, że pierwszy lepszy hałas sprawi, że straci panowanie nad sobą, i nie będzie to wyłącznie reakcja na stresy tego dnia.

Mężczyźni gawędzili dalej, nieświadomi jej nagłego milczenia.

- Och, Megan cieszy się wielkim szacunkiem. - Zapewnił Dante. - To prawdziwa terapeutka terapeutów.

Terapeutka terapeutów? Skąd on bierze te bzdury?

Chcąc uspokoić wzburzony żołądek, Megan sięgnęła po colę i upiła duży łyk.

Coś zawisło w powietrzu nad prawym ramieniem kobiety przy sąsiednim stoliku. Ciemny kształt wymykał się definicji, ale Megan dostrzegła błysk ciemnej zieleni, zanim kolor zniknął. Cień został, niewyraźny na krawędziach, a jednak obecny w powietrzu.

Kobieta niczego nie zauważyła, ale Megan wpatrywała się zafascynowana.

Niewyraźna ciemna macka wysunęła się, przemknęła przez twarz kobiety i wróciła do bezkształtnej masy.

Widok przyprawiał o mdłości, ale Megan wpatrywała się nadal, niezdolna się poruszyć, mrugnąć. Czy to coś zniknie, jeśli się odwróci? A może przeniesie się na innego klienta restauracji, usiłując dostać się do jego ciała? To coś było dziwne... Złe. Swędziała ją skóra.

Kobieta śmiała się i jadła, a niewyraźny kształt odwrócił się i rozejrzał dokoła. Cały czas znajdował się w tym samym miejscu, ale zdawał się walczyć z niewidzialną przeszkodą.

Żołądek Megan przegrał bitwę. Zerwała się z krzesła, przewracając je przy okazji, i pobiegła do damskiej toalety. Ledwie zdążyła na czas.

- Odprowadzę cię do samochodu, jeśli nie chcesz, żebym zadzwonił po taksówkę. - Dante całkiem niezłe udawał troskę.

- Wołałabym się przejść. - Najchętniej powiedziałyby, że nie potrzebuje jego towarzystwa, ale było już późno, znajdowali się w centrum, a ona nie należała do głupich. Dlaczego miałyby iść sama. skoro może jej towarzyszyć ktoś, komu co prawda nie do końca ufa, ale co, do kogo ma względną pewność, że jej nie zaatakuje? - Czego pan właściwie chce, panie Dante?

- Proszę, mów mi Grey. - Dostosował długość swoich kroków do jej tempa. Mijali akurat rozbawionych imprezowiczów, którzy wyglądali, jakby balowali zawodowo. Megan, blada, w grzecznym kostiumie, poczuła się nie na miejscu, jak babcia usiłująca zaprzyjaźnić się z nastolatkami. To śmieszne.

Miała trzydzieści jeden lat i wciąż mieściła się w przedziale wiekowym, do którego sklepy i kluby adresowały swoją ofertę, ale nigdy nawet do głowy jej nie przyszło, żeby z niej skorzystać. To po prostu nie jej świat. Zresztą trudno byłoby jej utrzymać barierę ochroną w ciasnym dusznym pomieszczeniu i po kilku drinkach.

- Megan?

- Co?

- Co zdarzyło się tam w restauracji?

- O co ci chodzi?

- Zanim wybiegłaś, wpatrywałaś się w kobietę za mną. Miałem wrażenie, że coś w niej ci przeszkadza.

Opanowała odruch wymiotny. Nie chciała nawet myśleć o tym, co widziała, o tej pulsującej masie, o wrogości, którą w niej wyczuwała. Z pewnością nie będzie o tym rozmawiała z Greysonem.

- Źle się poczułam, to wszystko. Od rana coś było nie tak.

- Zanim trafiłaś do szpitala?

Osobiste demony

- Tak. ja... - Zatrzymała się. Stała naprzeciw niego. - Skąd o tym wiesz, do cholery? Śledzisz mnie? Kim ty do diabła jesteś?

Greyson podniósł ręce, cofnął się.

- Spokojnie, zaczekaj. Nie musisz...

- Nie mów mi, co muszę, a czego nie. Powiedz mi, co innego, skąd tyle o mnie wiesz? I kim do cholery jesteś? Czego ode mnie chcesz?

Jeśli liczyła, że tym go rozbroi, jej plan się nie powiódł. Z twarzy Dantego niczego nie dawało się wyczytać. Wsunął ręce do kieszeni.

- Chcę jedynie, żebyś wysłuchała propozycji mojego klienta. To wszystko.

- Dlaczego mnie śledzisz? Albo jesteś kretyńcem, albo robiłeś wszystko, co w twojej mocy, żebym się zorientowała, że to robisz? Dlaczego? Co ty knujesz?

- Chcę ci pomóc.

- Pomóc? W czym?

- Nagła sława może się okazać bardzo trudna. Możesz przyciągać... niepożądane elementy.

- Przestań kłamać!

- Nie kłamię. Stalkerzy...

- Stalkerzy? Czyli prześladowcy tacy jak ty?

- Nie jestem stalkerem.

- Nie? Zastanówmy się. Co właściwie robi stalker? Śledzi ofiarę, usiłuje dostać się do jej życia, może jeszcze dorzuci niejednoznaczne aluzje i groźby? Brzmi znajomo? Co, teraz poinformujesz prasę, że jesteś moim ukrywanym mężem?

Spochmurniał.

- Megan, gdybyś tylko mnie wysłuchała...

- Pieprz się. - Odwróciła się, chcąc odejść. - Daj mi spokój. Dante! - zawołała przez ramię. - To, że jesteś prawnikiem, nie oznacza, że nie można cię aresztować.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem prawnikiem! - Zawołał za nią.

Nie połknąć przynęty... nie połknąć przynęty... Nie. nie, nie... - myślała.

Odwróciła się, gdy doszła do rogu ulicy. Zniknął.

W domu powitała ją migająca na czerwono dwójka na sekretarce automatycznej. Pewnie jakaś firma usiłowała ją namówić na zakup nowych paneli czy coś równie oryginalnego. Ostatnio otrzymywała mnóstwo takich ofert.

Uśmiechnęła się, gdy usłyszała, jak Brian Stone pyta ją o samopoczucie.

Nie jest taki zły, jak sądziła. Nie paradował w słomkowym kapeluszu z legitymacją prasową zatknietą za pasek, nie cedził słów kącikiem ust i nie usiłował przekupić nikogo, żeby uzyskać wiadomości o niej. Przynajmniej na to liczyła.

Druga wiadomość starła uśmiech z jej twarzy. Z automatycznej sekretarki dobiegał drżący głos Kevina Walforda.

- Halo, doktor Chase? Mam nadzieję, że się pani nie gniewa, że dzwonię do domu... Przykro mi, jeśli to pani nie odpowiada, ale chciałem podziękować za... dzisiaj? Za to, że mnie pani zabrała do szpitala i w ogóle. Liczę, że się tam jutro spotkamy. Na mityngu Pogromców Strachu. Pan Art mówił, że z panią o tym rozmawiał i że może pani jutro wpadnie. Chciałbym pani osobiście podziękować. - W końcu przerwał, żeby zaczerpnąć tchu. - No, więc jakby pani mogła oddzwonić... Do mnie albo do pana Art, dobrze? Jeszcze raz dziękuję. - Wreszcie skończył, podając swój numer telefonu trzy razy.

Pan Art. To zapewne Arthur Bellingham. Dlaczego tak bardzo mu zależało, żeby przyszła na spotkanie jego grupy terapeutycznej? Przez sekundę wyobrażała sobie, że facet po prostu chce, żeby splendor jej świeżo zdobytej sławy spłynął na jego program, ale zdusiła tę myśl, zanim się w pełni ukształtowała. To tylko skromna audycja w niedzielne wieczory, skierowana do wąskiego kręgu radiosłuchaczy. Więc dlaczego Pogromcy Strachu zabiegają o jej udział w spotkaniu?

Odłożyła wizytówkę Bellinghama na tackę z brązu, na stole, koło drzwi wejściowych, tam, gdzie kładła pocztę. Tani papier wydawał się śliski i nietrwały pod palcami. Oczywiście zaraz pomyślała o eleganckiej, drogiej wizytówce Dantego. Ją także wzięła do ręki.

Dwóch mężczyzn, obaj z ukrytymi zamiarami, obaj chcą, żeby coś dla nich zrobiła.

Albo nagle stała się najpopularniejszą dziewczyną w mieście, albo coś się święci. Jutro dowie się, o co chodzi.

ROZDZIAŁ 4

Budynek ambulatorium skrywał się za główną bryłą szpitala. Prowadziła do niego starannie utrzymana ścieżka wśród zadbanych trawników. Nawet mały, jaskrawo rozświetlony parking był niewiarygodnie czysty. Przypominał dziecięcą zabawkę, planszę, na której plastikowa stacja benzynowa sąsiaduje z gładkim helikopterem.

Megan zaparkowała i przeszła przez parking. Zadrżała od wczesnojesiennej bryzy. Nadciągało ochłodzenie, typowe dla tej pory roku, i żałowała, że nie zabrała żakietu. Miała na sobie swobodny strój - dzinsy, bluzę z długimi rękawami i ulubione buty sportowe. Nie chciała, żeby jej wygląd sugerował, że zjawiała się tu z przyczyn zawodowych. Schludna, poważna i kompetentna? Tak. Gotowa dołączyć do grupy i zacząć pracę? Nie.

Nie żeby praca nie była jej potrzebna. Wspólnicy tego ranka jasno dali wyraz swoim odczuciom. Program Megan i związany z nim rozgłos szkodziły gabinetowi. Rozwiążą z nią współpracę, jeśli pojawią się dalsze problemy. Na razie miała zatrudnić własną recepcjonistkę i zastanowić się nad dodatkową izolacją akustyczną gabinetu - wszystko, żeby chronić ich pacjentów przed dalszym naruszeniem prywatności. Na razie zatrudnili zastępcę, który przyjmował jej pacjentów, póki nie spełni ich oczekiwań. Oficjalnie była na urlopie.

Drzwi zastała zamknięte na klucz, w recepcji nie było nikogo. Megan nacisnęła dzwonek dla gości przychodzących po godzinach.

- Słucham?

- Megan Chase. - Powiedziała do maleńkiego mikrofonu. - Miałam się spotkać z...

- Megan! - To był Art. - Tak się cieszę, że przyszedłeś!

Zamek cicho zabrzączał, coś stuknęło. Megan otworzyła drzwi i weszła do budynku.

Przestronny hol wypełniał zapach szpitala, spodziewała się go w takim miejscu. Ale przytłaczała go inna woń, która przywodziła jej na myśl pokoje w akademikach i sklepiki New Age. Po chwili zdała sobie sprawę, że to kadzidełka. Kadzidełka? Nie był nawet w połowie tak przyjemny jak aromat w restauracji, do której zabrał ją Brian. Co prawda zapach był jedną z nielicznych dobrych rzeczy tamtego wieczoru. Brian nie był zły, ale pytania o dzieciństwo sprawiły, że poczuła się nieswojo. Wyjechała z rodzinnego miasta, żeby od wszystkiego uciec. Teraz musiała wrócić do tego myślni. Nie pomogła nawet starannie ocenzurowana wersja, którą mu podała.

Cicho szła po podłodze z terakoty, mijała smętne, samotne niebieskie krzesła w poczekalni.

- Witam! - Pojedyncza jarzeniówka w korytarzu spowijała Arta Bellinghama zielonkawą poświatą i odbijała się w jego okularach, zasłaniając oczy. Sztuczne oświetlenie nie poprawiało też wyglądu tandetnego krawata ani za krótkich i za ciasnych spodni.

- Dobry wieczór.

- Miałem nadzieję, że skorzysta pani z mojej propozycji. - Zaczął entuzjastycznie. Uścisnął jej dłoń.

- Ja nie... - Zaczęła, ale wyszedł do nich Kevin. Urwała.

- Doktor Chase. - Zawołał i wyciągnął rękę. Jego zapał był jak pułapka.

Zaprowadzili ją do sali spotkań. Więc to stąd docierał zapach kadzidła. W kątach płonęło cztery czy pięć patyczków. Meble przycupnęły pod ścianami, pośrodku była wolna przestrzeń przykryta niebieską matą gimnastyczną.

Art podążył śladem jej spojrzenia.

- Wspólnie siedzimy na podłodze. Jeśli ktoś chce, może się położyć.

Megan skinęła głową.

- A fotele? - Na obu krańcach maty stały dwa siedziska wyglądające na wygodne.

Art się uśmiechnął.

- Jeden dla mnie, a drugi, dzisiaj, dla pani.

- Rozumiem. - Megan nie podobała się taka organizacja spotkania. Nie chodziło o pacjentów siedzących na podłodze, tylko o

fakt, że z niepojętych powodów Art uważał, że nie powinien siedzieć razem z nimi.

Może należy zmienić pierwotny plan i poczekać z pytaniem prosto z mostu, o co chodzi Artowi. Zazwyczaj starała się nie czytać w ludziach, o ile nie wyczuwała niebezpieczeństwa, ale tym razem otworzyła się odrobinę i szukała jego umysłu. Najczęściej szybko docierała do tego, czego chciała, ale zawsze była ostrożna.

Czasami ludzie wyczuwali, co robi, tak jak Dante dwa dni temu. Nie wiedzieli dokładnie, co się dzieje, ale coś czuli. Musi uważać. Nauczyła się tego już dawno, jako mała dziewczynka. Zdobyła sobie wtedy opinię paskudnej dziewczuchy, bo nie była w stanie zapanować nad umiejętnościami.

Art chyba niczego nie zauważył. Nie przestał mówić, tłumaczył jej filozofię grupy, ale przestała już słuchać.

Coś przemknęło przez jej umysł. Znikło, zanim zdążyła to zidentyfikować. Coś zimnego... pustego. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, przez chwilę nie mogła oddychać. Żołądek podszedł jej do gardła. Chłód przeniknął jej ciało i duszę. Zrobiło jej się...

Megan.

Głos nadchodził zewsząd, był w jej głowie, niski, natrętny. Zagryzła usta, żeby nie krzyczeć. Art mówił dalej, jego chuda twarz pałała dumą.

Przerwała mu. Głośno zaczerpnęła tchu, gdy ciemność odeszła. Nagle światło zrobiło się jaśniejsze, jakby ktoś odsunął zasłony. Złe samopoczucie minęło i zastanawiała się, czy to się naprawdę wydarzyło, czy tylko to sobie wyobraziła.

- Megan? Wszystko w porządku?

Przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu. Mięśnie jej twarzy zaprotestowały tak gwałtownie, że niemal spodziewała się usłyszeć, jak skrzypią.

- Wszystko w porządku. - Zapewniła. - Ja... jestem pod wrażeniem.

- A najlepszego jeszcze nie słyszałaś. - Art złapał ją za rękę i zaprowadził do fotela. Usiadła. Nie miała dość siły, żeby zrobić to, co chciała. A chciała odwrócić się na pięcie i uciekać, gdzie pieprz rośnie. Zresztą obawiała się, że nawet to nie powstrzymałoby Arta i dalej by ją nękał.

Oczywiście, niewykluczone, że ma poważny problem. Nikt nie twierdzi, że terapeuci sami nie miewają kłopotów. Może jej moc się wyczerpała. Może to, co widziała, to ciemność jej duszy. Takie rzeczy na pewno zdarzyły się już wcześniej. Przecież właśnie, dlatego została terapeutką. Z powodu tego, co się wydarzyło, gdy miała piętnaście lat.

To bardziej prawdopodobne wyjaśnienie niż pomysł, że Art jest potworem, który chce pożreć jej duszę. Przecież nawet go nie stać na przyzwoite spodnie.

- A co jest najlepsze? - Zapytała.

- Nasi pacjenci! - Odpowiedział z tym samym piskliwym śmiechem, który słyszała poprzedniego dnia. Brzmiał trochę jak chichot starszej pani. - Są wyjątkowi i, jeśli się nie mylę, już tu są... - Rozległ się brzęczyk w drzwiach. - Zostaniesz z Kevinem, a ja po nich pójde, dobrze?

Kevin się uśmiechał.

- Mam nadzieję, że nie gniewa się pani, że zadzwoniłem do domu? Pan Art dał mi pani numer.

Skinęła głową.

- Domyśliłam się tego. - Podobnie jak tego, że drań wziął go z jej akt szpitalnych. - Nie ma sprawy.

- Nigdy więcej tego nie zrobię. - Zapewnił, wykręcając opuszczone ręce. - Obiecuję.

- Nie przejmuj się już. Jak się czujesz?

- O wiele lepiej. - Odparł. - Zwłaszcza teraz, kiedy pan Art nie... - Z holu dobiegały podniesione głosy i echo kobiecych kroków.

- Pan Art co, Kevinie? - Megan pochyliła się do przodu. - Co chciałeś powiedzieć?

Ale tylko pokręcił głową.

- Nieważne, naprawdę.

Reszta grupy weszła do pomieszczenia. Szli dziwnie, razem, ale jednocześnie osobno. Rozmawiali ze sobą, nawet uśmiechali się, ale jedyne, co Megan wyczuwała w powietrzu, to poczucie wyobcowania. Byli zamknięci w sobie, kulili się w ciałach jak wystraszone mięczaki w skorupkach. Nic ich nie łączyło.

Może za surowo osądziła Arta. Czy z taką grupą można pracować tylko tak? Posadzić ich na podłodze, sprawić, żeby się dotykali, poczuli bliskość i wzajemnie wyciągali się ze skorupy.

Musiałyby to zobaczyć.

Przedstawiali się jedno po drugim, z różną dozą podejrzliwości i sympatii.

Bob był potężnym olbrzymem o czarnych włosach ostrzyżonych na jeża. Hanna przyglądała się Megan spod długich jasnobrązowych kosmyków, zza swoich okularów w różowych oprawkach. Ubrała się na szaro, a jej sukienka wyglądała jak spadek po babce osadnicze. Joe, puciołowaty i uśmiechnięty, emanował takim zdenerwowaniem, że wyczuła je mimo wzniesionej bariery ochronnej.

Ostatni był Grant, mniej więcej dwudziestoletni. Miał ufarbowane na czarno włosy i paznokcie pociągnięte czarnym lakierem. Nosił kocyk w brwi.

Art zamknął za nimi drzwi i zgasił górne światło. Do tej pory Megan nie zauważyła świec, ale płonęły na parapetach okiennych i stołach pod ścianami, spowijając pomieszczenie delikatnym światłem. Napięcie pacjentów częściowo opadło, gdy usadowili się na macie, ale wszystko to bardziej przypominało seans spirytystyczny niż sesję terapeutyczną.

- No dobrze. - Zaczął Art, splótł dłonie i usiadł w fotelu na skraju maty. - Wszyscy poznaliście już doktor Megan Chase. - Wskazał ją głową. - Prowadzi własną praktykę, jest terapeutką, ale przyjęła moją propozycję i postanowiła nam pomóc tutaj.

- Ja nie... - Zaczęła Megan, ale urwała. Ci ludzie płacili za sesję. Nie będzie marnowała ich czasu, sprzecząc się z Artem.

- Ostatnim razem omawialiśmy niektóre uczucia, które pojawiają się w nas, zanim nadejdzie strach. - Art obniżył głos. - To, co widzimy i słyszymy, zanim zauważymy lęk.

Grupa zamruczała zgodnie. Kevin z całej siły zaciskał dłonie.

- Porozmawiajmy o tym. - Ciągnął Art. - Hanno, co widzisz, słyszysz albo czujesz, zanim się zorientujesz, że się boisz?

Głos Hanny zadrżał.

- Słyszę głos. Szepcze mi do ucha. Mówi, że wydarzy się coś złego.

- A może to tylko wrażenie, że coś szepcze ci do ucha?

- Nie!

- To tylko głos w twojej głowie, Hanno.

- Nie!

Megan pochyliła się do przodu, próbując zrozumieć, dlaczego Art wdaje się z dziewczyną w kłótnię i dlaczego ona wchodzi w dyskusję.

- To naprawdę jest szept w moim uchu. Czasami czuję coś jakby oddech.

- Ja też to słyszę. - Wtrącił Grant. - Dokładnie tak samo.

- Nieprawda. - Sapnął Joe. Megan miała rację, co do tego, że był zdenerwowany i darzył niechęcią całą grupę. - Zawsze zgadasz się ze wszystkim, co powie Hanna.

- Nieprawda!

- Spokojnie, panowie. - Wtrącił Art. - Nie kłóćmy się. Wróćmy do Hanny. Powiedz, co ci mówi ten głos?

W miarę jak Hanna opowiadała, Megan czuła się coraz bardziej nieswojo.

- Mówi mi, że jestem straszna. Albo, że inni ludzie są straszni i powinnam zadawać im ból. A któregoś dnia w pracy głos kazał mi usunąć pliki szefa, kiedy nie patrzył.

Bob się roześmiał.

- To podświadomość i tłumiony gniew.

- Bob. - Mruknął Art ostrzegawczo. Wydawał się... zadowolony, jakby usłyszał to, co chciał. - Nie zapominaj, kto tu jest terapeutą. Jeszcze nie jesteś mentorem.

- Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej od Hanny. - powiedział Grant.

Tak przynajmniej wydawało się Megan. Nie do końca było wiadomo, kto mówi.

Jej oczy jakby nie mogły przywyknąć do światła. Ba, pomieszczenie zdawało się ciemnieć, choć ciągle widziała płomyki świec.

- To już wszystko. - Odparła Hanna. - Jestem przeklęta. Słyszę ten głos i muszę robić, co mi każe albo mu wierzyć, bo inaczej nie umilknie. Nie da mi spokoju.

ROZDZIAŁ 5

W głowie Megan rozbrzmiał na nowo głos Reginy. „Nie chce odejść, nie chce...”.

- Hanno? - Zaczęła. Nie wiedziała i nie obchodziło jej, czy popełnia grzech, przerywając sesję. - Słyszysz ten głos, gdy jesteś sama, czy także wtedy, gdy w pobliżu są inni ludzie?

Jeśli Hanna była zaskoczona, to nie okazała tego.

- Nie, kiedy jestem sama. I nie tutaj. Nigdy tutaj, w tym budynku.

- Bo wiesz, że tutaj się leczysz. - Wtrącił Art. - Podświadomość się nie odzywa, ponieważ wiesz, że tutaj twój stan się poprawia.

Megan wolałaby, żeby się zamknął. Czy istnieje jakiś związek między przeżyciami Reginy i Hanny? Jeśli tak - i jeśli Grant też tego doświadczał - miała szansę to wyczuć, koncentrując się na Hannie. Teraz nie czas na lęki. To jej praca.

Wpuściła powietrze z płuc i pozwoliła, żeby jej umysł odnalazł Hannę wśród ciał na podłodze, by ją obmacał, dotknął. Przygotowała się na koszmarne wizje i zajrzała do środka.

Malutki domek, staroświeckie meble, wiejski urok i obrusy w kratkę. Na kanapie obok Megan - obok Hanny - tuliły się trzy koty i oglądały, jak się wydawało, film tygodnia w telewizji.

I nic poza tym.

Megan próbowała dalej. Teraz widziała biuro. Koledzy z pracy lubili Hannę, mimo że wydawała im się nudna. Była niezawodna i miła. Szef na niej polegał. Wszystko było miłutkie, nigdzie żadnej makabrycznej twarzy, krwi, powykrzywianych stóp. Nic z tego, co zobaczyła nie sugerowało, że Hanna i Regina cierpiały z tego samego powodu.

Więc dlaczego ich historie były tak podobne? Większość ludzi miewa podobne lęki, ale Megan nigdy nie słyszała o dwóch osobach,

które w odbiorze parapsychicznym wydają się normalne, a jednocześnie mają te same wizje.

Potem skoncentrowała się na Grancie. Jego dom był o wiele mniej pogodny niż Hanny, ale równie samotny. Dorośli - zakładała, że to jego rodzice - kręcili się dokoła jak ćmy. Ignorowali go. Byli obok, ale go nie widzieli. Jego siostra śmierdziała alkoholem i śmiała się, gdy Grant jej to wypominał. Koledzy w szkole też go ignorowali. Nie był to przyjemny widok, ale nie znalazła tu niczego, co przeraziłoby ją tak jak to, co widziała u Reginy.

Rozległ się kolejny głos. Bob.

- Mój głos każe mi palić różne rzeczy.

- A mój każe mi zabijać. - Wypalił Joe.

Ach, tak. Członkowie grupy starali się wzajemnie przebić, okazać się lepsi. Takie rzeczy nie zdarzają się pod opieką dobrego terapeuty. Art okazał się kiepskim fachowcem. Cała ta sprawa wzbudzała jej niechęć i niesmak.

Opowieści się przeciągały, ale Megan już ich nie słuchała. Nic dziwnego, że Kevin próbował odejść. To niebezpieczne, kpina z prawdziwej terapii, ale Art Bellingham rozkoszował się tym, co robił. Słyszała to w jego głosie, charakterystyczną satysfakcję z dobrze wykonanej pracy.

Nieważne, co mu dawała ta nieudolna zabawa w terapię, Megan położy temu kres. Już jutro zadzwoni do odpowiednich osób. To nie może dłużej trwać.

Pokój spowijała niemal całkowita ciemność. Megan nie pojmowała, dlaczego świece nie dają już dość światła i dlaczego temperatura wydawała się spadać. Mata do ćwiczeń szeptała cicho w rytm ruchów siedzących osób.

Czyżby przysuwali się do siebie? Z zimna czy potrzeby bliskości? Nie wiedziała. Energia w pomieszczeniu zmieniała się, przybierała na intensywności. Głosy zlały się w jeden zaśpiew, ale nie mogła rozróżnić słów.

Ich energie też się połączyły. Ich uczucia wirowały wokół niej, łącząc się w jeden strumień i dzieląc na nowo.

Płynęła w ciemnościach, wyciągała ramiona, patrzyła w górę. Głosy, smutek i strach były gdzieś daleko, pod nią. Czuła to i tak było... dobrze.

Słusznie. Uczucie przywierało do jej skóry jak syrop. Polizała je, rozkoszowała się ostrym smakiem. Po co wykonywać tę pracę, jeśli nie można czegoś zyskać?

Nie można przyjąć w siebie strachu?

Wizja zmieniła się nagle. Stała w kuchni, w domu, gdzie spędziła dzieciństwo, z podręcznikami pod pachą. Miała szesnaście lat i właśnie wróciła ze szkoły do pustego mieszkania. Czy mogłoby być coś bardziej fascynującego?

Megan rzuciła książki na podłogę i pobiegła na górę, do swojego pokoju.

Pod łóżkiem czekała plansza ouija, do wywoływania duchów. Odkąd zdała sobie sprawę, że jakimś cudem wie, co inni myślą, że potrafi zaglądać im do głów, chciała to zrobić. Może uda jej się porozmawiać z duchami. Może sprawią, że Todd Gentry zakocha się w niej, albo zmuszą tę sukę Tarę Coleman, żeby dała jej spokój.

Wyciągnęła pudełko spod łóżka. Dorosła Megan usiłowała walczyć, próbowała krzyczeć. Wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie, czuła to...

Krzyczała w głowie najgłośniejszym, jak umiała.

Światła się zapaliły. Megan zamrugnęła, oczy zaczęły jej łzawić od nagłego potoku światła. Na podłodze obok jej fotela pacjenci mrużyli oczy, ziewali, przeciągali się. Sesja się skończyła.

Co tu się działo, do cholery?

Wszyscy ruszyli do stolika przy drzwiach. Stały na nim papierowe kubki, butelki soku, ciastka i przekąski. Art uśmiechnął się do Megan.

- Po sesji musimy coś zjeść. - Powiedział. - Po takim wysiłku trzeba uzupełnić zapasy energii, prawda?

Pozostali zamruczeli coś zgodnie, ale byli zbyt zajęci jedzeniem, żeby odpowiedzieć. Rzucili się na przekąski jak stado wygłodniałych wilków.

Art podał jej kubek ciepłej coli i ciastko i zaciągnął do kąta. Jego dłoń czepiała się jej rękawa jak koszmarny owad, którego nie można się pozbyć.

- I co ty na to? Ciekawe?

- Hm, tak. - Cola nie dość, że ciepła, nie miała już w sobie gazu. - Ciekawe, na pewno. - Kiedy będzie mogła wyjść? Czy zachowa się bardzo niegrzecznie, opuszczając to spotkanie już teraz?

Art ją obserwował. I znowu światło odbijało się w jego okularach i zasłaniało oczy. Zaczynała podejrzewać, że robi to celowo.

- A jak ci się podobały końcowe afirmacje? Sam je napisałem.

Afirmacje? Och, ten monotony śpiew na końcu. Chyba. Taką miała nadzieję.

- Wspaniale. Poproszę o kopię.

Art pogroził jej palcem.

- O, nie. Jeśli chcesz mieć do nich dostęp, musisz do nas przyjść jeszcze raz i z nami pracować.

- Wiesz, z wielką chęcią. - skłamała. - Ale już mówiłam, że w ogóle nie mam teraz czasu. Mimo to uważam, że to świetny program terapeutyczny. - Najdyskretniej jak mogła zerknęła na zegarek. Za kwadrans dziewiąta.

Wcześniej dzwoniła do Dantego i umówiła się z nim o dziewiątej przed szpitalem. Pomyślała, że oszaleje, jeśli będzie musiała rozmawiać z Artem przez kolejne piętnaście minut.

- Może wspomniałabyś o nas w twoim programie. Sama wiesz, pacjentów nigdy nie za dużo.

- Przykro mi, ale nie wolno mi nikogo reklamować.

- Oczywiście. Rozumiem. - Sądząc po jego minie, wcale nie rozumiał. - Ale może zobaczysz, co da się zrobić?

- Pewnie. - Odparła. Zdawała sobie sprawę z tego, że Art wie, iż tego nie zrobi. Uśmiechali się fałszywie, a Megan nerwowo podkurczała palce u nóg, chcąc się uspokoić.

Kilka minut później pożegnała się z Pogromcami Strachu i niemal pobiegła do drzwi, chcąc uciec przed spojrzeniem Arta. Nadal nie wiedziała, co tu się właściwie stało. Czyżby zasnęła w ciemności przesyconej zapachem kadzidełek? Nie byłoby w tym nic dziwnego, zważywszy na ciężką noc i jeszcze cięższy poranek. Żądania współników wisiały w powietrzu jak ostrze gilotyny.

Jutro musi zacząć szukać nowej recepcjonistki i firmy, która zajmie się wygłuszeniem ścian. I za wszystko zapłaci z własnej kieszeni, która, mimo zastrzyku finansowego, jakim okazał się program radiowy, wcale nie była przesadnie głęboka I do tego będzie

musiała wytłumaczyć jakoś Richardowi Randallowi z radia, że jego strategia reklamowa naraża jej praktykę. Nie żeby go to obchodziło, ale może chociaż zastanowi się nad tym przez chwilę.

A jednocześnie musi sprawiać wrażenie opanowanej, kompetentnej profesjonalistki w oczach Briana Stone'a.

Drzwi wejściowe byty zamknięte na klucz. Drgnęły, gdy je szarpnęła, jednak nie ustąpiły. Szukała przycisku przy drzwiach, ale nie mogła go znaleźć.

Nie mogła się też dostać za ladę w recepcji, oddzielał ją blat sięgający nieco powyżej pasa. Cholera, będzie musiała wrócić i prosić Arta, żeby ją wypuścił.

Z westchnieniem odwróciła się w kierunku sali. Po prawej wisiał napis „wyjście”, ale podejrzewała, że chodzi o wyjście ewakuacyjne. Nie chciała uruchomić alarmu tylko, dlatego, że wolałaby nie oglądać ponownie Arta Bellinghama.

Trzymając kluczyki do samochodu w dłoni, zawróciła i pokonała hol, co trwało o wiele dłużej, niż powinno. Mroczna cisza budynku zbijala ją z tropu.

Dziwne, przecież nadal jest tu grupa ludzi. Powinna słyszeć ich rozmowy, kiedy szykowali się do wyjścia, ale nie.

Coś z brzękiem upadło na posadzkę. Z cichym nerwowym okrzykiem Megan odwróciła się w tamtą stronę, ale zanim odnalazła źródło dźwięku, zgasło światło.

Przez okno nie zaglądały nawet promienie księżyca. Było tak, jakby zniknęli albo coś ich okryło. Zniknął napis „wyjście”. Hol był ciemny i cichy jak grobowiec.

Megan przeszył dreszcz. Ktoś jeszcze tu był.

Najpierw wyczuła tylko maleńki ruch, szelest, jak szept trawy na wietrze.

Przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że to jeden z uczestników spotkania, ale nie słyszała, żeby drzwi się otworzyły ani żadnego głosu. Mimo to miała niewzruszoną pewność, że nie jest sama w duszącej ciemności przepastnego pomieszczenia.

Kolejny dźwięk jak kropla wody spadająca na powierzchnię stawu. Plusk.

Bołały ją oczy, bo nie chciała mrugnąć. Ciemność, sucha i gorąca, napierała na powieki.

Cichy szelest był reakcją na jej niepewny krok wprzód. Coś przemknęło przez posadzkę. - tupot małych stopek na kafelkach podłogi. Wydawało się, że dźwięk dochodzi z prawej strony, ale nie miała co do tego pewności.

- Nie boję się. - Nie mogła zaczerpnąć tchu. Ciemność pełzała po niej, uruchamiała alarmy w głowie, przyprawiała o ból mięśni. Zsunęła torebkę z ramienia, zawinęła pasek na nadgarstku, gotowa do ataku, a jednocześnie przekonana, że i tak nie trafi... tego, co tu się kryje. Nie wiadomo, skąd czerpała pewność, że tajemniczy intruz w ciemności nie jest człowiekiem. Zanim go zlokalizuje, będzie za późno.

Rozległ się chichot, piskliwy, świergotliwy. Przeszył ją dreszcz. Jej serce biło tak szybko, że obawiała się, iż pęknie. Nie bała się tak bardzo od... od szesnastego roku życia.

Uświadomiła to sobie i mało brakowało, żeby się roześmiała. A więc to efekt dziwnego snu. Nie po raz pierwszy jej się to zdarzało. Zawsze uważała, że ze względu na jej umiejętności, podświadomość czuwa dłużej. Zważywszy na to, że kilka minut temu wróciła do tamtej zimy sprzed lat, nic dziwnego, że teraz doświadcza takich uczuć. Pot na jej czole powoli wysychał, poczuła chłód z klimatyzacji. Jest chyba bardziej zmęczona, niż sądziła, skoro wpadła w panikę. Co ona sobie myślała? Że potwór zaatakuje ją w szpitalu?

Szła z powrotem w stronę holu, jak jej się zdawało. Wyciągnęła rękę. Lada chwila dotknie ściany i wróci do sali.

Coś zimnego złapało jej dłoń, coś twardego, mokrego, pokrytego łuskami.

- Megan? - Powiedział głos, ten sam oślizgły pisk, który słyszała przed chwilą. Szeptał jej prosto do ucha.

Krzyknęła. Zamachnęła się torebką, ale trafiła jedynie we własne biodro. Nawet tego nie poczuła. Chciała odejść, jednak to coś trzymało mocno, tak mocno, że miała wrażenie, iż czuje, jak jej kości ocierają się o siebie. Słyszała wysokie żałosne zawodzenie i dopiero ból gardła uświadomił jej, że to ona krzyczy.

I wtedy - równie nagle, jak się zjawiała - ręka zniknęła Zapaliły się światła.

Była sama.

- Megan?

Odwróciła się, ciągle drżąc. Art szedł w jej stronę.

- Słyszałem twój krzyk. Wszystko w porządku?

Skinęła głową i zmusiła się, by odpowiedzieć.

- Tak, wydawało mi się, że widziałam szczura.

- O nie, to straszne. - Art rozejrzał się dokoła. - Gdzie?

- To pewnie nic takiego. Chyba jestem przemęczona. - Ostatnie, na co miała ochotę, to prosić go, żeby poszukał tego, co tu było. - Mógłbyś mnie wypuścić?

- Oczywiście. - Pochylił się nad recepcją i wcisnął guzik. Zadźwięczał brzęczyk, drzwi drgnęły. - Powinienem być ci powiedzieć, gdzie jest przycisk.

- Nic nie szkodzi. Dzięki. - Jeszcze nigdy nic nie wyglądało w jej oczach tak pięknie jak starannie skoszony trawnik na zewnątrz budynku. Megan dosłownie puściła się biegiem. W jej żyłach nadal tętniła adrenalina, myśli wirowały niespokojnie.

- Jeszcze się zobaczymy! - Zawołał za nią. Nie zwracała sobie głowy odpowiedzią.

Zdawała sobie sprawę, że powietrze na zewnątrz przesycają miejskie spaliny, ale bryza osuszyła zimny pot na jej skórze i spaliny pachniały wolnością. Parking był jasno oświetlony. Samochody wciąż stały w równych szeregach jak dzieci na zbiórce. Szła do swojego wozu, spragniona ochrony metalowej karoserii. Nie widziała Dantego, ale w tej chwili w ogóle jej to nie obchodziło.

Miała nadzieję, że się nie zjawi. Chciała tylko wrócić do domu i zwinąć się w kłębek w łóżku z dobrą książką i torebką chipsów.

Po jej lewej rozbłysły reflektory. Silnik samochodu pracował tak cicho, że w ogóle go nie słyszała. Zerknęła w tamtym kierunku. Jaguar... Jaguar Dantego.

- Wsiadaj. - Dante stał od strony kierowcy. Opierał się o dach niskiego samochodu.

- Nie wsiadę z tobą do auta.

- Sama do mnie dzwoniłaś i prosiłaś, żebym się tu z tobą spotkał.

- Owszem, spotkał i porozmawiał, a nie zabierał na przejażdżkę po mieście.

Spojrzał na budynek ambulatorium i wrócił wzrokiem do Megan.

- Daj spokój. Gdybym chciał cię skrzywdzić, zrobiłbym to już dawno temu, nie uważasz?

Nadal nie była przekonana, zwłaszcza, że ciągle nie mogła go odczytać, ale musiała przyznać mu rację. Widzieli się już dwukrotnie, za każdym razem było ciemno, a on nie dotknął jej nawet przypadkiem.

Wiatr rozwiewał jej włosy na ramionach, gdy szła przez parking. Było to przyjemne uczucie. Podobnie jak to, które ogarnęło ją, gdy wsiadła do chłodnego, wykończonego skórą wnętrza samochodu. Dante nie zawracał sobie głowy otwieraniem jej drzwi, ale poczekał - ledwo - aż usiadła i zapięła pas, zanim nacisnął pedał gazu i wyjechał z parkingu na jezdnię przed szpitalem.

- Nie musisz jechać tak szybko.

- Bo co? - Zacisnął usta.

- I daruj sobie taki humor. Nie musiałeś tu przyjeżdżać.

- O ile sobie przypominasz, usiłowałem się wymigać. - Skręcił w prawo, wyjechali poza teren szpitala.

- Wydawało mi się, że chciałeś mi pomóc. Uchronić mnie przed tłumami stalkerów. Wczoraj byłeś moim bohaterem, dzisiaj nawet nie chcesz ze mną rozmawiać. Nie żeby mnie to obchodziło, po prostu uważam, że to dziwne.

- Zmieniłem zdanie, to wszystko.

- W takim razie, dlaczego przyszedłeś? Dlaczego nie wystawiłeś mnie do wiatru? Będziesz mówił czy nie?

Westchnął.

- No dobrze, zmieniłem raz i teraz zmieniam znowu. Okłamałaś mnie!

- Wcale nie!

- Ależ tak. Wczoraj obiecałaś, że nie przyjmiesz żadnych innych ofert, a potem zgodziłaś się pracować z Arthurem Bellinghamem i jego bandą dziwaków. I co, nie oszukałaś mnie?

- Nie zgodziłam się z nim pracować. Obiecałam tylko, że przyjdę na sesję. Zaprosił mnie jeden z moich pacjentów.

- A Bellingham o tym wie? Idę o zakład, że powiedział im wszystkim, że będziesz z nim pracować, może nie?

- Nie, on... - urwała. Przecież właśnie to powiedział, prawda? Pokręciła głową. - Nieważne, co on sobie myśli. Nie pracuję tu i nie mam takiego zamiaru. Szczerze mówiąc, wołałabym tu nie wracać.

- Straszne? Przeróżające?

- Tak, ja... to nie twoja sprawa.

- Ależ owszem. Mnie pierwszemu dałaś słowo.

- O mój Boże, co ty, jesteś Klingonem? Dobrze, poszłam tam. Tak, przyjąłam ofertę, choć obiecałam, że tego nie zrobię. I co teraz, wytniesz mi język?

- Niestety, nie pozwolono mi na to.

- Słucham? - Najdyskretniej, jak tylko umiała, Megan sięgnęła do klamki. Może na następnym skrzyżowaniu uda jej się wyskoczyć z samochodu.

Niestety, Dante wydawał się mieć piekielne szczęście ze światłami. Zmieniały się na zielone, ledwie zaczął hamować.

- Nie wolno mi sprawić ci bólu. W żaden sposób. Zostałbym ukarany, gdybym złamał zakaz.

- Ukarany? - Zacisnęła palce na klamce.

Reflektory samochodów jadących w przeciwnym kierunku to rozjaśniały jego twarz, to spowijały ją w mroku.

- To idiotyczny pomysł reklamowy. Nie wolno nam już krzywdzić ludzi. To wpływa negatywnie na nasz wizerunek czy coś takiego. Wyobrażasz to sobie?

- Co ty opowiadasz? Czyj wizerunek?

- Demonów.

- Słucham?

- Demonów. - Znowu skręcił w prawo. Byli już w jej dzielnicy.

Megan zastanawiała się, jak zadać następne pytanie.

- Chcesz powiedzieć, że uważasz się za demona?

- Nie uważam. - odparł. - I nie jestem twoim pacjentem, więc nie mów do mnie jak do chorego.

- Może powinieneś rozważyć konsultację psychiatryczną, jeśli uważasz, że jesteś demonem.

- Nie uważam, że jestem. Ja to wiem. I ty także musisz to zrozumieć. To będzie dobre.

- A dlaczego?

- Bo wielu z nas cię poszukuje.

ROZDZIAŁ 6

Megan nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Najwyraźniej jest chory, pytanie tylko, czy niebezpieczny?

- Rozumiem. - Powiedziała w końcu. - Ścigają mnie demony. Hm... Nie widziałam do tej pory żadnego, ale będę miała oczy szeroko otwarte, dobrze?

Skręcił w jej podjazd i zgasił silnik.

- Co za arogancja. Masz zdolności parapsychiczne a jednocześnie nie chcesz uwierzyć, że istnieją nadprzyrodzone istoty?

Megan zeszywniała.

- Zdolności parapsychiczne?

- Daruj sobie, Megan. Dobrze o tym wiesz, podobnie jak ja. Wiem też, że pierwszego wieczoru usiłowałaś mnie czytać, podobnie jak zawsze czytasz pacjentów.

Odchrząknęła. Zapiekły ją oczy.

- A co ci do tego?

Dante poruszył się w fotelu. Megan, wpatrzona w schowek przy kierownicy, dostrzegła to kątem oka.

- Wygląda na to, że ta rozmowa musi poczekać. - Stwierdził. - Zdaje się, że masz gości.

Brian Stone stał koło samochodu, zaglądał przez szybę z rękami splecionymi na piersi. Zacisnął usta w wąską linię.

Megan wzięła torebkę.

- To jeszcze nie koniec.

- Zdecydowanie nie. - Wydawał się równie ponury, jak ona. Brian prawdopodobnie pomyśli, że to kłótnia kochanków. Następny nagłówek: „*Terapeutka radiowa nie radzi sobie w związku*”.

Megan i Dante wysiedli z samochodu jak skazańcy, którzy skończyli ostatni posiłek.

- Cześć, Brian. - Usiłowała nadać głosowi pogodne, spokojne brzmienie, ale podejrzewała, że dziennikarz nie da się nabrać. Albo jest tak zły, że jest mu to obojętne.

- Możemy chwilę porozmawiać?

Miała na końcu języka „Nie”, ale zagryzła wargi i wzruszyła ramionami. Niech mu będzie.

- Wejdiesz?

We trójkę poszli w stronę schodów. Mężczyźni zatrzymali się na ganku i gapili się w niebo z głupimi minami, jak nieznajomi w kolejce do bankomatu, gdy Megan otwierała drzwi.

Ledwie zapaliła światło, Brian złapał ją za ramię i pociągnął w stronę szaroniebieskiej kuchni. Dante minął ich i ruszył do saloniku, ale nie była pewna, czy tam zostanie. Tuż obok znajdowała się jej sypialnia. Nie zdziwiłaby się, gdyby zaczął myszkować w szufladach.

Brian odwrócił się, żeby się upewnić, że Dante z nimi nie idzie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Megan?

- O co ci chodzi?

- Wiem, że cały ten pomysł z wywiadem nie bardzo przypadł ci do gustu. Ale jestem dobrym dziennikarzem, a taka sprawa musiała wyjść na jaw. Powinnaś była mi powiedzieć.

- Ale co? - Zerknęła w stronę salonu.

Brian podążył za jej spojrzeniem, po chwili znów patrzył jej prosto w oczy.

- Dostałem dzisiaj mail z obcego adresu. Wykasowałem go, jako spam, ale tematem było twoje nazwisko, więc go otworzyłem.

- I?

Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął dwa złożone arkusze papieru. Rozłożył je i podał jej jeden.

Szanowny panie Stone, wiem, że pisze pan o Megan Chase. Megan to morderczyni. Nie zasługuje na pana artykuł.

Zatroskany przyjaciel.

- O mój Boże! - Powiedziała to bezwiednie. Oparła o blat kuchenny. Marmurowy gzyms wpijał się w jej chłodną linię. Uspokajał. Wydawał się rzeczywisty. Tylko on.

Odchrząknęła i chciała mu oddać kartkę.

- Zakładam, że to jakiś wariat?

Nie odpowiedział, tylko podał jej drugą kartkę. Wzięła ją drżącymi rękami. Był to skan z fotokopii, zdradzała to nie najlepsza jakość, ale przecież dawało się odczytać nagłówek: „*Nastolatka nie stanie przed sądem*”. Megan zamknęła oczy.

- Przeczytaj.

- Nie muszę. - odparła. - Wiesz, że nie muszę.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

W sąsiednim pokoju ożył telewizor. Dante skakał po kanałach. Ilekroć zmieniał się dźwięk, kuliła się w sobie. Brian górował nad nią, Dante czuł się jak u siebie w jej saloniku. Nawet dom przestał należeć tylko do niej. O życiu już nie wspominając.

- Próbuję o tym zapomnieć. To było dawno temu, byłam niewinna i historia nigdy nie trafiła do większych gazet. Myślałam, że to już przeszłość.

Myślała, że zostawiła to za sobą. W Grant Falls, jak wszystko inne.

Dlatego o tym nie wspomniała. Była na siebie wściekła. Co za arogancja liczyć, że może o tym zapomnieć.

- Rozmawialiśmy o twoim dzieciństwie. - Zaczął Brian. - O życiu w małym miasteczku, pamiętasz? I to dzisiaj. A ty zataiłaś coś takiego. - Wsunął kartki do kieszeni. - Nie rozumiesz, w jakiej mnie stawiasz sytuacji, ukrywając to przede mną?

- Piszesz pochlebny artykuł. Dlaczego musisz wiedzieć, że kiedy miałam szesnaście lat, byłam podejrzaną w sprawie zabójstwa miejscowego bezdomnego? Nie popełniłam tej zbrodni!

- To nie było zwykłe zabójstwo, Megan, tylko brutalne, rytualne morderstwo. A muszę wiedzieć, bo mój redaktor naczelny też dostał te listy i zapytał, dlaczego sam do tego nie dotarłem. W gazetach z Redwoods City nie było o tym ani słowa. Logiczne, skoro kłamałaś na temat miejsca, z którego pochodzisz. - Niemal czuła, jak jego gniew pulsował dokoła niej. - Przywykłem do powściągliwości u osób, o których piszę. Rozumiem nawet, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś. Ale widzisz, i tak dowiedziałbym się prędzej czy później. Jestem dobrym dziennikarzem, naprawdę.

Założyła ręce na piersi.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- To, co muszę. - Łzy napłynęły jej do oczu, ale Brian jeszcze nie skończył. - Jeśli mi pomożesz, jeśli będziesz szczerą i uczciwą, zmienię to w nieistotną wzmiankę w bardzo pochlebnym tekście. Ale jeśli nie... jeśli nadal będziesz kłamać i ukrywać coś przede mną, żeby móc chodzić na randki jak dzisiaj...

- Nie byłam na randce. Dante mnie tylko podwiózł. Mój samochód nie chciał zapalić. Zadzwoiłam do niego. - O co mu właściwie chodzi, do cholery?

No dobrze, kłamała na temat swojej przeszłości. Nie wierzyła, że była pierwszą osobą, o której pisał i która zrobiła coś podobnego. A co, wszystkie miejscowe celebrytki mówią prawdę o wieku i pochodzeniu?

Za gniewem Briana kryło się coś więcej, ale na samą myśl, że miałyby go czytać, żeby dowiedzieć się, o co chodzi, ogarnęło ją zmęczenie. Zajmie się tym jutro. I całą resztą też.

- Jasne. - Nie patrzył jej w oczy. - No, dobrze. Jutro czeka nas dużo pracy. Tylko obiecuj, że będziesz mówić prawdę.

Megan przełknęła ostrą ripostę i skinęła głową.

- Obiecuję.

- Świetnie. - Wyciągnął rękę i złapał ją za ramię. Jego dotyk chłodził przez cienki materiał bluzki. - Lubię cię, Megan. Ale nie będę udawał, że nie ma tematu, skoro jest. Więc bądź wobec mnie fair i nie rób ze mnie durnia, dobrze?

- Nie robię. - Teraz, gdy rozmowa, której się bała odwlekła się w czasie o co najmniej jeden dzień, nie chciała już stać w kuchni. Woląaby usiąść. Najchętniej sama, za to z dużym drinkiem pod ręką.

- Jasne.

- Posłuchaj, nie traktuj mnie w ten sposób. Nie ja chciałam, żebyś pisał o mnie ten artykuł, to po pierwsze. Zgodziłam się, bo szef na to nalegał. Rozmawiamy nie, dlatego, że chcę ci pomóc czy zadbać, żebyś miał dobrą historię. Rozmawiamy, bo muszę.

Nie poruszył się. W sąsiednim pokoju telewizor ryczał na pełny regulator.

Miała ochotę zajrzeć tam i zobaczyć, co porabia Dante. Jeśli się nie pośpieszy, pewnie zamówi płatny kanał erotyczny. Po nim można się wszystkiego spodziewać. Usiłował jej wmówić, że jest demonem. Raczej się nie zmartwi, jeśli zamówi sex kanał na jej koszt.

- Megan? Szykuję drinki. - O wilku mowa... albo myśl. Głos Dantego dotarł do kuchni i zakłócił nieprzyjemną ciszę. Pewnie znalazł jej barek. - Potrzebny mi lód. - Spojrzała na Briana.

- Skończyliśmy?

Opuścił rękę.

- Tak. Ale wydaje mi się, że twój przyjaciel robi nam drinki.

Prawdopodobnie robi je tylko dla siebie i dla mnie, pomyślała, ale nie powiedziała, tego głośno. Nie mogła - chciała utrzymać w tajemnicy ten cholerny artykuł. Co za noc. Nigdy by nie pomyślała, że chciałaby zostać sam na sam z kimś, kto się uważał za demona, ale teraz zdała sobie sprawę, że właśnie tak jest. Tylko, jeśli zostaną z Dantem we dwoje, pozna jego - zapewne idiotyczną - historię i interpretację ostatnich wydarzeń.

- Zostań jeszcze. Zawrzyjmy pokój.

- Poproszę lód. - W sąsiednim pokoju brzęknęły szklanki. Megan otworzyła drzwi zamrażarki, wyjęła tackę z lodem i poszła do saloniku. Brian został w kuchni.

- Widzę, że się rozgościłeś. - Powiedziała do Dantego. Zdjął marynarkę, położył na oparciu jej ulubionego fotela, podwinął rękawy, rozpiął najwyższy guzik koszuli. Stał przed telewizorem z pilotem w dłoni.

- A nie powinienem? - Wziął od niej tackę z lodem. Zauważyła, że zdążył już wyjąć kilka butelek. - Imponujący barek. - Stwierdził. - Nie jesteś abstynentką, prawda?

Spiorunowała go wzrokiem, zabrała mu tackę, wysypała kostki lodu.

- Czego się napijesz, Brianie?

- Dżin z tonikiem, jeśli masz.

Wrzuciła kilka kostek lodu do szkockiej, którą nalał sobie Dante, potem przygotowała dżin z tonikiem dla siebie i Briana. Ociągała się w nadziei, że jeden albo może obaj znikną, jeśli nie będzie na nich patrzeć, ale kiedy się odwróciła, cały czas tam byli, wpatrzeni w nią. Podała im szklanki.

- Co to za grupa, do której dzisiaj pojechałaś? - Brian zadał to pytanie lekkim konwersacyjnym tonem, co sprawiło, że bardziej niż kiedykolwiek poczuła, iż udziela wywiadu. Zastanawiała się, co odpowiedzieć.

- To Pogromcy Strachu. - Zaczęła. - Mają swoją siedzibę przy szpitali.

- Pracujesz tam?

Dante uniósł brwi. Zignorowała to.

- Nie, nie. - Odparła. - Poproszono mnie, żebym uczestniczyła w jednej sesji, więc to zrobiłam, ale byłabym wdzięczna, gdybyś o tym nie pisał. Nie mam z nimi żadnych powiązań i obawiam się, że to zabrzmiałoby jak reklama.

- A nie chcesz ich reklamować?

- Tego nie powiedziałam. - Nie po raz pierwszy czuła się jak owad pod mikroskopem, gdy zasypywał ją gradem szybkich pytań. Nie dawał jej czasu do namysłu, odpowiadała pierwszymi słowami, które wpadły jej do głowy. Technika tyleż skuteczna, co irytująca.

- Nie musiałaś. - mruknął Dante.

- Nie wolno mi reklamować żadnych grup wsparcia. - Powiedziała. - To część mojego kontraktu z rozgłośnią.

- A gdybyś mogła, poleciałabyś tę grupę?

- Dlaczego o to pytasz?

Wzruszył ramionami.

- Z ciekawości.

- Może usiądziemy? - zaproponował Dante.

Z uśmiechem usadowił się na kanapie. Czyżby jej pomagał? No tak, jeśli miał coś przeciwko Pogromcom Strachu, pewnie nie chciał ryzykować, że powie na ich temat coś miłego. Do tej pory nie zdradził jej, czym się zajmuje, chyba, że jakoś przeoczyła moment, gdy bycie demonem stało się normalnym zawodem. Może reprezentuje inną grupę terapeutyczną, która pozwała Pogromców Strachu? Nie, to nonsens.

- Czym ty się właściwie zajmujesz, Dante? - Zadała to pytanie, zanim zdążyła się nad nim zastanowić.

Obaj mężczyźni wbili w nią wzrok. Cholera. Zupełnie zapomniała, że Dante miał być terapeutą z innego miasta.

- Bardzo zabawne. - Stwierdził. Odwrócił się do Briana, który przysiadł na drugim krańcu kanapy. - Wydaje mi się, że w ten czarujący sposób Megan chciała ci dać do zrozumienia, żebyś zapytał o moje zdanie na temat grup terapeutycznych. Chętnie ci je zdradzę, jeśli chcesz.

Brian uśmiechnął się uprzejmie, a serce Megan znowu zaczęło bić. Gdyby Brian po raz kolejny złapał ją na kłamstwie, zrobiłby z niej w artykule seryjną morderczynię.

- Nie, dziękuję. Może innym razem.

- Tylko daj mi znać. Mam mnóstwo ciekawych opinii na różne tematy. - Dante wstał, żeby dolać sobie szkockiej.

- Na pewno. - Mruknęła Megan. - Pomysłów też masz sporo.

Dante odwrócił się do niej, podniósł prawą rękę i skinął... Na czubku jego palca wskazującego pojawił się mały płomień. Patrzyła jak zahipnotyzowana, a płomyk rósł, ogarnął jego rękę i zniknął. Rzuciła okiem na Briana. Patrzył wprost na nią.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Upiła spory łyk drinka. To na pewno jakaś sztuczka. Magiczny trick. Nie można podpalić sobie rąk. Nie można wyczarować ognia z niczego. Ale jakoś nie bardzo mogła sobie wyobrazić Greysona Dantego, jak wyciąga królika z kapelusza w tandetnej spelunie koło lotniska.

Brian bawił się szklanką.

- Wybierasz się na tę dużą imprezę dobroczynną, którą rozgłośnia organizuje w piątek?

- Tak.

- Może pójdziemy razem?

- Dobrze.

Dante wrócił na miejsce.

- Fundacji Femmel? Ja też się wybieram.

Megan uniosła brwi.

- Popierasz organizacje charytatywne?

- Moja droga, popieram wiele organizacji. - Odparł. - A więc zobaczymy się tam.

Co za radość. Megan dopiła drinka i wstała po następnego. Ten wieczór chyba nigdy się nie skończy.

- Wreszcie. - Mruknął Dante. - W końcu sami. - Rozłożył się na kanapie i oparł jedną nogę o skraj szklanego blatu. Spojrzała na jego stopę. Nie przesunął jej.

- Tak. - Sama już nie wiedziała, czy jest zbyt pijana, by się denerwować, czy zbyt zdenerwowana, by się upić.

- Tylko ja i człowiek- demon.
Wydawał się urażony.
- Nie jestem człowiekiem- demonem, tylko demonem czystej krwi.
- Skąd wiesz? - Zamrugła. - Muszę się jeszcze napić.
- A ja myślę, że masz już dość.
- Skąd wiesz?
- Ponieważ nie wydajesz się wystraszona, zdenerwowana ani nawet zła na mnie. I ponieważ nie nazywasz mnie wariatem.
- Jestem terapeutką. My nie nazywamy ludzi wariatami.
- No dobrze, więc nie twierdzisz, że mam urojenia. -
Wyprostował się, opuścił nogę na ziemię pochylił i oparł łokcie na udach.
- Jak to zrobiłeś? - Nie pytała o zdjęcie nogi ze stołu.
- Już ci mówiłem.
- Demony potrafią wywołać samozapłon?
- Niektóre z nas tak. Zależy od rodzaju demona.
- A ty?
- Vregonis. Demon ognia. - Pstryknął palcami i pojawił się kolejny mały płomyk. Ujął go w dłonie, przechylił rękę. Płomień pełzał po jego palcach. Na oczach Megan powędrował w górę, do barku Greysona, stoczył się po rękawie i zniknął.
Megan była pod wrażeniem, ale starała się tego nie okazać.
- To tylko sztuczka.
- Jak rozdzielanie dwóch obręczy? - Uśmiechnął się. Megan wbrew sobie odwzajemniła uśmiech.
- Wyobrazilam sobie ciebie, jak wyciągasz królika z kapelusza.
- Są demony, które to potrafią. Choć wolałbym nie wiedzieć, co później robią z tym królikiem. - Megan pokręciła głową.
- Nie zmieniaj tematu. - Powiedziała. - Twierdzisz, że jesteś demonem, a ja uważam, że demonów nie ma. Masz jakiś dowód?
Podniósł brwi i spojrzał na małą kulę ognistą, wciąż płonąca w jego ręce.
- No tak, ale to może być tylko trik. Może mnie zahipnotyzowałeś.
Pokręcił głową.

- Wiedziałybyś, gdybym próbował, tak mi się zdaje. To bardzo trudne zahipnotyzować osobę mającą zdolności parapsychiczne. Nie zauważyłaś?

W jej głowie rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Coś, co wcześniej zdarzyło się na sesji Pogromców Strachu, ale nie mogła sobie dokładnie przypomnieć... Potarła czoło koniuszkami palców.

- Co się dzieje?

- Nic - Pomyśl o tym później, gdy jej umysł będzie trochę jaśniejszy. - No dobrze, nie możesz mnie zahipnotyzować, ale.

- Nie powiedziałem, że nie mogę, tylko, że to bardzo trudne. - Zaciśnął dłoń i zdusił płomyk. - Ale jestem w tym dobry.

Sugerował bardzo dużo, starała się nie zwracać na to uwagi.

- Nie zahipnotyzowałeś mnie, ale skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

Wstał, wyprostował wysokie, szczupłe ciało.

- No dobrze. - Jego palce pomknęły do guzików koszuli. Zaczął je rozpinąć. - Miejmy to już z głowy.

- Przepraszam bardzo. - Zaszło jej w gardle. - Nie rozumiem.

- Cicho. - Skończył rozpinąć koszulę i rozchylił poły, zdjął ją, odsłaniając muskularną klatkę piersiową i płaski brzuch. Demon czy człowiek, drań czy wybawca, Greyson Dante wyglądał bardzo dobrze i Megan nagle zdała sobie sprawę, że sypialnia jest tylko kilka kroków dalej.

Rzucił koszulę na kanapę i się odwrócił Megan jęknęła. Rząd małych czarnych wypustek zaczynał się nieco poniżej jego szyi i biegł przez całe plecy. Kończył się tuż nad paskiem spodni.

- Co to...

- W języku demonów nazywają się sgaegas. Wypustki, w luźnym tłumaczeniu.

Megan wstała.

- Mogę dotknąć?

Nie chciała go dotykać. Nie teraz, gdy atmosfera w pokoju zmieniła się, niewiele, a jednak na tyle, że miała kłopoty z oddychaniem. Ale to też nie tak, że mogła to sobie darować. Przecież równie dobrze te wypustki mogą być zrobione z czarnej gumy i przyklejone, żeby ją nabrać.

Odwrócił głowę w jej stronę. Z jego wzorku nie dało się niczego wyczytać.

- Proszę bardzo.

Wystarczyło kilka kroków, żeby znalazła się obok niego. Jego naga skóra emanowała ciepłem. Zawahała się, pozwalając, by ogrzewał jej dłoń. Choć starała się zachować spokój, musiała przyznać, że niepokoi ją myśl o tym, że za chwilę go dotknie. Drażni. Sama i lekko pijana we własnym saloniku, z dziwnym i przystojnym półnagim facetem, który też nie stronił od alkoholu.

Bywała w bezpieczniejszych sytuacjach.

Dante odchrząknął.

- W porządku. Zdaję sobie sprawę, że musisz się upewnić.

Megan zagryzła wargę i położyła koniuszek palca na jednej z wypustek.

Była tak ciemna, jak na to wyglądała. Podświadomie oczekiwała, że wypustki okażą się oślizgłe, wrogie. Ale nie. Były jak skóra.

Zadrzały jej palce, ale nie zwracała na to uwagi. Ignorowała również przyspieszone bicie serca, gdy muskała palcami jego plecy. W górę i w dół.

Skóra była miękka, kontrastowała z twardością mięśni, które zdawały się prężyć pod jej dotykiem. Poczowała gorąco w dole brzucha.

Z trudem zaczerpnęła tchu i zmusiła się do powrotu do rzeczywistości. To nie jest randka. Już sam taki pomysł jest śmieszny, w każdym razie według niej.

Nie miała wątpliwości, że Greyson byłby chętny. Podejrzewała, że potrafiłby przełożyć nadejście apokalipsy, gdyby pokrzyżowała mu plany łóżkowe.

Lekkie muśnięcie nie dowodzi, że te wypustki są prawdziwe. Przełknęła ślinę.

- Teraz naprawdę sprawdzę.

Kiwnął głową, ale milczał, nie odwrócił się też do niej. Znowu odetchnęła głęboko i ujęła wypustkę między kciuk a palec wskazujący. Przekręciła z całej siły. Skóra się napięła. I tyle.

Mięśnie Dantego drgnęły.

- Auć.

- Przepraszam.

Spróbowała z kolejną, i jeszcze jedną. Ciągnęła szczypała, szarpała. Dante drżał za każdym razem, ale się nie odzywał.

W końcu opuściła rękę i się cofnęła. Jej dłoń drżała. Odwrócił się.

- Coś jeszcze? - Jego przystojna twarz lekko poczerwieniała.

Megan skrzyżowała ręce na piersi. Unikała jego spojrzenia.

- Sama nie wiem. Masz rogi, ogon, rozwidlony język?

- Nie, raczej nie.

- Raczej nie?

Wystawił język. Patrzyła, zafascynowana, jak jego gładki różowy czubek się rozdzielił i pojawiło się małe zagłębienie pośrodku.

- Och! - Woląca nie mówić, o czym pomyślała. - I to już? To wszystko?

- Wydajesz się zawiedziona. - Odwrócił się, wziął koszulę i ją włożył.

Mrugnęła, gdy jego klatka piersiowa zniknęła jej z oczu.

- Czy pomoże ci to w czymś, jeśli powiem, że urodziłem się z błoną między palcami?

- Nie.

- A tak właśnie było. Dzięki Bogu za chirurgię plastyczną.

- Wolno ci to mówić?

- Co? - Skończył zapinać koszulę i wziął szklankę ze stołu. Na dnie wciąż była odrobina whisky. Wypił ją i nalał sobie kolejnego drinka.

- No... Bóg?

- Dlaczego nie? A... no tak. To bardzo skompilowane i nie mamy teraz czasu na wyjaśnienia, ale zasadniczo, chrześcijański Bóg ma niewiele wspólnego z demonami. Nie ma żadnej rywalizacji, nie walczymy o rządy dusz... No, nie do końca, ale do tego dojdziemy. I nie ma na nas wpływu. Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana niż walka dobra ze złem, czy jak wy to tam nazywacie.

- Więc Bóg istnieje?

- Oczywiście. Istnieją różni bogowie. Bóg płytkich stawów, bóg przechodzenia pod drabiną. Natomiast sam człowiek wybiera, jak są dla niego ważni. Sama wiara już od dawna nie jest warunkiem życia po śmierci. - Umilkł na chwilę. - Poza Skandynawami. Nadal są bardzo wybredni, jeśli chodzi o wpuszczanie do Walhalli.

Osobiste demony

- Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? - Drżącą ręką dolała sobie drinka.

- Jeszcze nie wiesz? Myślałem, że jesteś mądrzejsza.

Wiedziała, tylko nie dopuszczała do siebie tej myśli.

- Audycja. - powiedziała. - Pogromca Demonów. Uważają, że to prawda. - Spojrzała na Dantego.

Skinął głową.

- Traktują to poważnie. I chcą cię dopaść pierwsi.

ROZDZIAŁ 7

- Ile mam czasu? - Nie chciała tego powiedzieć, ale pytanie samo cisnęło się na usta. Greyson pokręcił głową.

- Nie wiem. Jest w to zaangażowanych wiele demonów. W tej chwili cię nie lubią, a nie są to istoty, które łatwo wybaczą.

- A ty się nie boisz? - Boże, ależ jest głupia. Ten facet to demon, czy raczej ten demon to demon... Czy może nadal mówić o nim „facet”? I zaufała mu. Siedzi w swoim salonie sam na sam z kimś, kto może się okazać demonicznym odpowiednikiem płatnego zabójcy. Przecież mówił coś o klientach, prawda?

- Nie. - odparł. - Przyznaję, że czułem pewien niepokój, kiedy przyszedłem do ciebie po raz pierwszy. Było oczywiste, że nie wiesz, kim jestem. Nawet, gdy zobaczyłaś demona w restauracji, nie miałaś pojęcia, na co patrzysz.

- De...? To coś... ta rzecz na tamtej kobiecie... To był demon? I ty go widziałeś?

- Oczywiście, że go widziałem. Pokazał mi się. Tylko wy, ludzie, nie widzicie ich, gdy to robią, nieważne, jak silna jest wasza moc paranormalna. - Upił kolejny łyk ze szklanki. Teraz, gdy już się ubrał i wrócili na miejsca, napięcie w pokoju jakby nieco zelżało. A może po prostu świadomość, że demony czyhają na twoje życie, nieco studzi pożądanie.

- Ale nic nie powiedziałaś.

- A co miałem powiedzieć? „O, widziałaś demona! Ale nie przejmuj się, na pewno wszystko będzie dobrze”. Nie chciałem ci niczego mówić, liczyłem, że sam to załatwię, ale nie, musiałaś przyjąć ofertę Arta.

Jak długo jeszcze będzie do tego wracał?

- Co do cholery jest nie tak w przyjmowaniu ofert?

Pochylił się do przodu na krześle.

- Chodzi o zasady demonów. Obiecałaś mi coś i to cię wiąże. Nie dotrzymałaś słowa. Przyjęłaś inną ofertę i jej też nie dotrzymasz. Kolejna zerwana umowa.

Megan wstała. To śmieszne, więcej niż śmieszne. Wstała, zaczęła chodzić po saloniku i zatrzymała się tylko po to, by wyłączyć telewizor, w którym śpiewali głos. Pracował tak przez cały wieczór. Już nie wieczór. Rzuciła okiem na zegar. Minęła północ.

- Nie przyjąłem propozycji Arta. Chciał, żebym z nim pracowała. Odmówiłam. Zresztą, co on ma z tym wszystkim wspólnego?

- Nie powiedziałaś „nie”, powiedziałaś „może”. Co więcej, pojechałaś tam dziś wieczorem i zadawałaś pytania. A co gorsza, gdy powiedział swoim klientom, że będziesz tam pracować, nie zaprotestowałaś.

- Nie zadałam żadnego... - Och! Owszem, zadała. Pytała Hannę o głosy.

Zajmowała się jedną z pacjentek na sesji grupowej. Greyson nie musiał jej tłumaczyć, co to oznacza. O ile dobrze go zrozumiała, liczą się pozory, wrażenie. Intencje są mało istotne.

- Skąd wiedziałeś?

- Wieści szybko się roznoszą.

- I teraz wszyscy wiedzą.

Skinął głową.

- Zadawałaś pytania, co w oczach i Arta, i świata demonów oznacza, że teraz pracujesz dla tego frajera. Ale najpierw obiecałaś mi coś. A ja skrupulatnie poinformowałem o ty moich... zwierzchników. To ich rozgniewało. Myślą teraz, że jesteś bronią Arta.

Zatrzymała się. Chodzenie i tak nie pomagało.

- Bronią?

- Mówisz o sobie, że zabijasz demony. Masz zdolności parapsychiczne. A to dużo. To ma dla nas ogromne znaczenie. Zwłaszcza dla demonów osobistych, bo to im wchodzisz w paradę. A teraz wygląda na to, że dokonałaś wyboru i weszłaś do gry. Co niby mają myśleć?

To sen, to na pewno sen. Tak, właśnie tak, to na pewno koszmar senny, lada moment się obudzi, będzie już rano... Przez chwilę rozkoszowała się tą myślą, ale zaraz machnęła ręką. To nie żaden sen.

- Demony osobiste... - Każde słowo, które zostało tu powiedziane, wciągało ją bardziej w to wszystko, pchało na równię pochyłą. Dzisiaj i nie tylko dzisiaj. - A nie mógłbyś im wytłumaczyć? Powiedzieć, że nie jestem Pogromcą Demonów? Może wtedy zostawią mnie w spokoju?

Pokręcił głową.

- Wcześniej pewnie dałoby się zrobić. - Odparł. - Ale teraz myślą, że dokonałaś wyboru. Demony nie dadzą ci spokoju. Pewnie zauważyłaś, że jesteśmy uparci. Nie rozumiemy słowa „nie”. Tkwisz w tym po uszy. Albo wy grasz, albo zginiesz.

Nie chciała z nimi dłużej rozmawiać. Chciała stąd wyjść. Uciec jak najdalej, jak najdalej, jak... Była zbyt pijana i zmęczona, żeby myśleć o czymkolwiek.

Musi być inne wyjście z tej sytuacji, nie tylko walka na śmierć i życie.

Nie wiedziała, czy wierzyć w to, co mówił Greyson. Z jednej strony brzmiało to całkiem rozsądnie. Z drugiej wciąż nie wiedziała dokładnie, o co właściwie mu chodzi. Miał ją chronić? A może czeka na okazję, żeby ją zabić, spragniony chwaty, która - jak się domyślała - spłynie na demona, który tego dokona? A może po prostu chce się przekonać, czy zdoła zaciągnąć ją do łóżka?

Była skłonna uwierzyć w to ostatnie, zwłaszcza, gdy usiłował ją przekonać, że powinien u niej nocować. Bo wszystkie zaklęcia świata, że będzie spał na kanapie w salonie, nic nie znaczą, gdy facet patrzy na kogoś takim wzrokiem.

Nie, żeby uważała, że chodzi o nią osobiście. Dante to myśliwy, a ona stanowi wyzwanie. I tyle. Gdyby kiedykolwiek poszła z nim do łóżka - czego oczywiście nie robi - wiedziała, że nie zadzwoniłby następnego dnia.

Może to sposób, żeby się go pozbyć. Przespać się z nim i powiedzieć, że powinien ją poślubić. A potem przyglądać się, jak informuje radę demonów albo coś w tym stylu, że Megan nie jest żadnym zagrożeniem i nie muszą się już nią przejmować.

Skupiając się na zabawnych, a nie zmysłowych aspektach tej wizji, położyła się do łóżka z torbą nachos, szklanką wody i książką. Nie była szczególnie głodna ani nie chciało jej się pić, „Hot Spot”

zaplanowało sesję zdjęciową następnego dnia i byłoby lepiej, gdyby stawiła się na niej bez kaca.

Fajnie będzie mieć profesjonalnie zrobione zdjęcia, z efektownym makijażem i fryzurą.

Książka nie pomogła. Tym razem nie zdołały jej wciągnąć przygody lorda Gruffydda i jego opornej ukochanej. Miała zbyt wiele zmartwień na głowie.

Sprawdziła telefon obok łóżka i położyła obok wizytówkę Dantego. Uparł się, żeby zapisać jej swój numer komórkowy i domowy. Swoją drogą ciekawe, gdzie mieszkają demony? Choć nie była pewna, co do niego, musiała przyznać, że cieszy się, że podał jej telefony. Tak na wszelki wypadek.

Może nachos i woda to kiepski pomysł. Może powinna pić do nieprzytomności. Przynajmniej wtedy po zgaszeniu światła nie usiłowałyby zasnąć, mając przed oczami nagie plecy Gryesona Dantego, wyraźne jak na fotografii.

Cholerny demon.

Megan nie miała pojęcia, co ją obudziło. Coś wyrwało ją z głębokiego snu prosto w rzeczywistość. Wyciągała rękę do lampy przy łóżku, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

Za dużym oknem panoramicznym po jej prawej stronie coś stało. Coś przypominającego człowieka. To coś stało na tle okna, w świetle księżyca, i rzucało cień na firanki w sypialni. I to nie był profil. To, co stało za oknem zaglądało do pokoju. Patrzyło na nią.

Powoli wsunęła rękę pod kołdrę, zaciskała dłonie na skraju prześcieradła.

Serce waliło jej jak oszalałe.

Jakaś jej część chciała ukryć się pod kołdrą i udawać, że wszystko w porządku, tak jak to robiła, jako dziecko. Chowwała się, gdy rodzice rozmawiali o niej, kłócili się o nią, gdy jej brat sprowadzał do domu coraz bardziej podejrzanych przyjaciół i gdy wraz z nimi dom wypełniał się zapachem marihuany i głośną muzyką.

Skarciła się w myślach. Jesteś dorosłą kobietą, Megan. Wstawaj! Walcz, niech to szlag! Wstawaj!!!

Oprócz swojego chrapliwego oddechu słyszała jeszcze jeden dźwięk.

Szur. Szur. Pazury drapiące w klamkę okna, koło szyby. Ktoś usiłował dostać się do środka. Do jej sypialni.

Krzyk narastał jej w gardle. Stłumiła go. Pot wystąpił jej na czoło.

Coś zabrzęczało w kuchni. Wcześniej zamknęła drzwi na klucz za Dantem, prawda? Zresztą to i tak nieważne, bo teraz ktoś próbował włamać się do jej sypialni, a ktoś inny był w kuchni i... Boże, umrze, jeśli zostanie w tym łóżku!

Odetchnęła głęboko, skoncentrowała się. Da radę. Zrobi to. Musi!
Jeden... Dwa... Trzy!

Wyskoczyła z łóżka, prawie przewracając się o kołdrę. Złapała telefon i wizytówkę Dantego, wpadła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi, przekręciła klucz w zamku. Tłumiąc szloch, weszła do wanny, otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. Niewiele niżej zobaczyć miękką ziemię. Jeszcze nigdy nic nie wydawało jej się równie kuszące, jak wysypane piaskiem podwórko skąpane w chłodnym świetle księżyca.

Położyła telefon i wizytówkę na parapecie, przesunęła się tak, że stała na palcach na wąskim obramowaniu wanny, przywierając pośladkami do parapetu.

Dom sąsiadów znajdował się jakieś czterdzieści metrów dalej. Dlaczego zamieszkała w tak cholernie wyludnionej okolicy?

Gdzieś w domu posypało się szkło. Drgnęła i zsunęła się do wanny.

Telefon spadł na ziemię pod oknem. Nic nie szkodzi. Podniesie go, gdy się stąd wydostanie. A poza tym wcale nie jest jej potrzebny. Przecież skorzysta z aparatu sąsiadów. Tam będzie bezpieczna.

Łzy spływały po jej twarzy. Adrenalina buzowała w żyłach. Nie miała pojęcia, gdzie są intruzi. Nie wiedziała, co zbili - szybę w oknie, blat stolika czy może coś innego.

Coś się poruszyło w krzakach na podwórzu. Najpierw pojawiła się głowa, potem ramiona. Nie musiała nawet czytać tego kogoś, żeby wiedzieć, że coś z nim jest nie tak. Ciemność płynęła od niego jak wilgotna mgła.

Hałasy dochodziły z jej sypialni. Słyszała to mimo oszalałego bicia serca.

Odgłos otwieranej szafy, brzęk tłuczonej lampy.

Telefon leżał na ziemi. Człowiek w ogrodzie patrzył prosto na nią. Nie wiedziała, czy zdoła przedostać się przez okno i złapać aparat na czas, jeśli nie dopadnie do telefonu, umrze tu. Ludzie czy demony... Proszę bardzo, nazywajmy rzeczy po imieniu - demony. W każdym razie wiedzą, gdzie jest. Lada chwila sprawdzą drzwi do łazienki i zobaczą, że są zamknięte. Co zrobią?

Przestrzelą zamek? Strzelą do niej? Czy demony posługują się bronią? Miała nadzieję, że tak. Wolałaby zostać zastrzelona umrzeć szybko, niż żeby ją rozerwały na strzępy, pożarły żywcem czy zrobiły jedną z tych rzeczy, o których Greyson wspominał mimochodem. Czy tej nocy to ona jest królikiem wyciąganym z kapelusza?

Mężczyzna wynurzył się z zarośli. Poruszał się powoli, nierówno. Światło księżycy padało na jego twarz. Megan zdusiła przerażony szloch.

Klamka łazienki poruszyła się gwałtownie. Mężczyzna w ogrodzie, pozbawiony połowy twarzy, szedł w jej stronę, powłócząc nogami w suchej trawie. Twarz mu gnęła. Spod zielonkawej skóry wyglądały kości i zęby. To jakiś rodzaj demona, na pewno, bo jej umysł odrzucał słowo, które przyszło jej do głowy. Demony może istnieją, ale przy zombie jej umysł stawiał opór.

Może go wyprzedzi, a może nie. Nie chciała, żeby pożarła ją okropna gnijąca istota, nie chciała, by ostatnim, co zapamięta, był jego makabryczny uśmiech.

W ogrodzie pojawiła się kolejna postać, kobieta. Szła tym samym nierównym krokiem. I kolejna. Ile ich tam jest?

Nóż - albo długie ostre pazury - skrobały w drzwi. Ktoś zajęczał.

Z płaczem wspięła się na parapet i zeskoczyła na ziemię. Zombie idący w jej stronę przyspieszył, poruszał się krokiem, który przypominał jej dziecianną zabawę - wraz z koleżankami biegły zupełnie jak on, gdy udawały konie. I ten krok przybliżał go do niej szybciej, niż się spodziewała. Pozostałe stwory także przyspieszyły. Nie łudziła się już, że zdąży dotrzeć do domu sąsiadów.

Ziemia pod jej stopami była chłodna, pachniała bezpieczeństwem. Marzyła, by się w niej zakopać.

Nieprawda! Zakopać, czyli dać się pogrzebać. Umrzeć! Nie zamierzała umierać.

Istota idąca na czele zawyla przeraźliwie. Pozostali podchwycili wojenny okrzyk, ich głosy przedarły nocną ciszę, Megan też krzyczała. Podniosła telefon i wrzuciła do łazienki. Może jednak w środku ma większe szanse.

Złapała się parapetu, podciągnęła. Ramiona jej drżały, stopy zaszurały o tynk. Była boleśnie świadoma wszystkich odgłosów. Szelest trawy gniecionej stopami zombie wypełniał jej głowę.

Palce jej nóg ślizgały się po ścianie, wilgotne od krwi.

W końcu udało jej się przerzucić jedno ramię nad gzymsem, do łazienki.

Drzwi drżały, gdy ktoś w nie walił. Oby wytrzymały na tyle długo, żeby zdążyła zadzwonić do Dantego... Żeby on tu przyjechał albo wysłał moce piekielne czy co tam ma do dyspozycji...

Wsunęła całą górną część ciała do łazienki i dźwignęła się ostatkiem sił, gdy zombie... demon... Cokolwiek to było, złapało ją za kostkę. Lodowato zimne palce ciągnęły silniej, niż jej się to wydawało możliwe. Krzyczała.

Krzyczała podczas szamotaniny, gdy napastnik usiłował wciągnąć ją z powrotem na zewnątrz. Zęby wbiły się w jej łydkę. Z całej siły kopała drugą nogą, szarpała się, aż poczuła, jak coś śliskiego, zimnego i mokrego pokrywa jej stopę. Zęby i trzymające ją ręce ustąpiły.

Drzwi łazienki dygotały i ugiwały się za każdym razem, gdy uderzali w nie napastnicy. Megan drżącymi rękami wzięła telefon. Z trudem naciskała klawisze.

Zadzwoniła do Dantego. Przyciskając telefon do ucha lewą ręką, prawą szukała broni. Butelecзки i słoiki spadły z brzękiem na podłogę, gdy gorączkowo szukała po omacku czegoś, czegokolwiek do obrony. Nie miała nawet porządnej maszynki do golenia, bo wolała depilację woskiem. Kiedyś w filmie widziała, jak kobieta bije mężczyznę w głowę klapą z toalety, ale w tej chwili miała wolną tylko jedną rękę. Złapała pudełko zapalek, które tu przyniosła, gdy urządzała sobie kąpiel przy świecach.

W szafce pod umywalką znalazła starą puszkę lakieru do włosów, butelkę wybielacza, szczotkę klozetową, środek do czyszczenia toalet i przepychacz do rur. Mokre od potu palce ślizgały się na metalowych puszkach, gdy wyciągała rękę po solidny drewniany trzonek

przepychacza W słuchawce przy uchu ucichł sygnał. Dante wydawał się zupełnie przytomny.

- Megan?

Krzyk niósł się echem po pomieszczeniu. Obróciła się gwałtownie.

Mężczyzna i kobieta byli tuż przy oknie księżyc oświetlał ich od tyłu i sprawiał, że otaczała ich dziwaczna aureola. Wyli. Wyciągali ręce. Po nią.

Megan wrzasnęła.

- Dante, są w środku! W domu!

Drzwi ustąpiły. Telefon wypadł jej z rąk. Chwyciła przepychacz jak kij bejsbolowy, zamachnęła się.

Uderzyła pierwszego z brzegu w czoło. Huk był ogłuszający. Krzyki - jej, istot na zewnątrz i tych pod drzwiami - niosły się echem po ciasnej łazience wyłożonej kafelkami. Na świetle nie istniało nic innego, tylko obrzydliwy smród zgnilizny i brudu.

Istota upadła. Megan zamachnęła się do kolejnego ciosu, ale rączka przepychacza się złamała. Kobieta zaszłochała i złapała lakier do włosów. Jej palce zamknęły się na puszcze w tej samej chwili, gdy zimne ręce złapały kurczowo jej głowę, ciągnąc z całej siły w prawo. Wrzasnęła i machnęła puszką w kierunku napastnika. Metal aż zadrżał, gdy go uderzyła.

Istota ją puściła, ale pierwszy napastnik znowu zaatakował. Megan złapała zapalnik. Ustawiła sobie puszkę między nogami, wyjęła zapalnik i drżącą dłonią potarła o pudełko.

Nic się nie wydarzyło. Jeden z napastników wyciągał do niej ręce.

Zapalnik się zapalił.

Lewą ręką wzięła puszkę i nacisnęła przycisk. Zapalnik upadł na ziemię.

Niezbyt dobrze celowała, gdy uniosła zapalnik, strumień powietrza stanął w ogniu. Czowała ciepło, ale nie ból, gdy kula ognia trafiła w pierwszego napastnika, zmuszając go, by uciekł pod ścianę. Padł na ziemię.

Lakier płonął. Skierowała strumień ognia na drugiego napastnika, ignorowała kakofonię, którą wypełniła się łazienka. Widziała tylko płomień unoszący się z ciał. Poczwała koszmarny triumf, gdy napastnicy wili się w płomieniach.

Jeden z nich wstał, nadal chciał ją dopaść. Płomienie się rozprzestrzeniały, jego łańcuchy stanęły w ogniu. Megan weszła do wanny i poczuła palce we włosach. Szarpnęła się, uderzyła barkiem w ścianę. Płonąca ręka wyciągała się za nią. Odepchnęła ją, przerażona, że się poparzy. Lewą ręką szukała kurka. Woda była zimna, ale ledwie to poczuła, gdy włosy oblepiły jej głowę, a koszulka przywarła do ciała. Jedna z istot konała na szaro-brązowych kafelkach jej podłogi. Poruszała się coraz wolniej. Chyba zaryzykuje ugaszenie tego drugiego - za żadne skarby nie chciała spalić się żywcem. Miała na sobie tylko starą koszulkę, która szybko zajmie się ogniem.

Wyszarpnęła końcówkę prysznicza i z całej siły zdzieliła nią napastnika.

Woda zalewała jej oczy i nos, obolałe, podrażnione gardło. Ledwie widziała na oczy, ledwie oddychała. Nogi się pod nią uginały, ale jakimś cudem utrzymała równowagę, stojąc na śliskim dnie wanny.

Zakręciła wodę. Mimo bólu ramion ciągle okładała napastnika rączką prysznicza. Jego zwęglone ręce szukały jej, nie ustępował, nawet, gdy złamała mu nos. Palce wbijały się w jej ciało. Zalał ją ból, poczuła kolejną falę adrenaliny i przymus, by walczyć dalej i się nie poddawać.

Okładała napastnika, myśląc tylko o jednym - zabić! Zabić to coś, skatować, zwyciężyć.

Jej krzyki wydawały się dochodzić z jej całego ciała. Ręce żyły własnym życiem, machały prowizoryczną bronią, uderzały napastnika.

Czaszka intruza pękła pod rączką prysznicza, oślizgła, od szlamu i wody.

Megan bolały zaciśnięte palce.

W końcu stwór osunął się do wanny. Dwie istoty za oknem wciąż wymachiwały poparzonymi rękami, ale nie mogły jej dosięgnąć. Zmuszała się, by na nie nie patrzeć. Stała w wannie, drżąc z wysiłku, przemoczona na wylot, Dante zawołał ją po imieniu.

W oddali zawyły syreny.

ROZDZIAŁ 8

- Przecież już panu powiedziała, co się stało. - burknął Dante. - Pani Chase jest wam bardzo wdzięczna za przybycie, ale jest też ranna i chciałbym najszybciej, jak to możliwe, zawieźć ją do szpitala.

Megan się nie odezwała, tylko skuliła pod kocem. Jej ciało ciągle oblepiała zimna, mokra koszulka. Bolały ją mięśnie.

Policjant, posterunkowy Barrow, jak głosił jego identyfikator, popatrzył na nią.

- Na pewno pani nie chce, żebyśmy wezwali pogotowie?

Megan kiwnęła głową.

Posterunkowy Barrow schował notes z powrotem do kieszeni.

- Nasi ludzie ich szukają, ale szczerze mówiąc, nie liczyłbym na to, że ich znajdziemy. Prawdopodobnie mieli tu gdzieś zaparkowany samochód.

Policjanci nie znajdują pobitych, zwęglonych ciał. Greysonowi udało się jakimś cudem wynieść ciała do jej altanki i pobieżnie opłukać łazienkę uszkodzonym prysznicem. Nie miała pojęcia, jakich sztuczek parapsychicznych czy kontroli umysłu użył, by zmylić policję. I chyba nie chciała wiedzieć.

- Tak to zazwyczaj jest. Na pewno ich pani nigdy wcześniej nie widziała? Nie dostawała pani żadnych anonimów z groźbami?

Megan pokręciła głową.

- Samotna kobieta w domu na odludziu jest łatwą ofiarą. - Posterunkowy Barrow rzucił okiem na Dantego, który miał na sobie czarne jedwabne bokserki od piżamy i luźną koszulkę z czarnej bawełny. Maleńkie wypustki na jego kręgosłupie napinały tkaninę, ale żaden z policjantów chyba ich nie widział. - Może powinna pani poprosić swojego... prawnika, żeby tu z panią na razie został. Tak na wszelki wypadek.

- Nie zostanie sama. - obiecał Dante i wyciągnął rękę. To był wyraźny znak, że policjanci mają odejść i posterunkowy to wyczuł. - Bardzo dziękujemy. Dacie nam znać, gdy kogoś aresztujecie?

Posterunkowy Barrow skinął głową, posłał Megan ostatnie spojrzenie i wyszedł, a wraz z nim pozostali policjanci, którzy stali w holu i popijali kawę. Greyson zamknął za nimi drzwi i oparł się o nie ciężko.

- Ubieraj się.

- Dokąd jedziemy?

Odwrócił się. Jego ciemne oczy wydawały się czarne na tle bladej skóry.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

- Do szpitala. Ubieraj się.

- Oczyściłam ugryzienia. Wszystkie... - Przełknęła. - Rany.

- Pieprzyć bactine i neosporin. Musisz dostać zastrzyk przeciwtężcowy. - Otwierał i zamykał szuflady

- Ja... - Stał w drzwiach z naręczem ubrań.

- Wkładaj to. Natychmiast. Ukąsił cię zombie. To siedlisko bakterii. Na wszelki wypadek powinnaś też przyjąć antybiotyk.

- Zombie?

Greyson zerwał z niej koc, a potem ściągnął mokrą koszulkę, aż została tylko w staniku i majtkach. Jakaś jej część wiedziała, że powinna się czuć zakłopotana, ale nic jej to nie obchodziło.

- Tak, zombie. Co, z każdą chwilą uczysz się czegoś nowego?

- Ale czy ja... no... Też się zamienię w zombie?

Materiał koszulki zasłonił jej oczy, gdy Greyson naciągał ją przez głowę.

- To nie jest *Noc żywych trupów*. - Wyjaśnił. Jego ręce otarły się o jej piersi, gdy pomógł jej wysunąć ręce z rękawów. - To raczej zombie jak z woodoo. Tyle, że kierują nimi demony. Ktoś na ciebie poluje. Zostali wysłani, by wykonać zadanie.

- Art?

Greyson próbował jej pomóc włożyć dzinsy, ale odepchnęła jego rękę.

Może i jest wstrząśnięta, jednak nie na tyle, żeby sama nie umiała się ubrać. I to dopiero po tym, jak zmieni majtki na suche.

Jego głos podążył za nią do sypialni, bo Greyson został tam, gdzie był, gdy kończyła się ubierać.

- Nie wiem tego na pewno. To możliwe, ale nie wydaje mi się, żeby Art miał odpowiednie znajomości.

- A jest demonem? Nie odpowiedziałeś mi wcześniej na to pytanie.

- Nie wiem, czym jest. Jednak na pewno nie chciałybyś się angażować w jego sprawy.

Chciała pytać dalej, ale uparty dźwięk dzwonka przestraszył ją tak, że prawie wpadła na framugę, wychodząc z sypialni.

Greyson zaklął. Podeszedł do skórzanej teczki, którą przyniósł ze sobą, gdy przyjechali policjanci. Wyjął mały lśniący pistolet.

- Dante, nie lubię mieć broni w domu.

- Trudno.

Był na bosaka, bezgłośnie zbliżał się do drzwi. Trzymał pistolet dwiema rękami, jak policjanci na filmach. Megan patrzyła, jak wygląda przez judasza.

Rozluźnił się.

- To Brian. Chwileczkę!

Schował pistolet za pasek spodni od piżamy.

- Ani słowa. - Powiedział do niej. - Trzymamy się tej samej wersji, jaką przedstawiliśmy glinom.

Nie czekając na pozwolenie, otworzył drzwi. Brian wpadł do środka

- Megan! - Złapał ją, przyciągnął do szerokiej, ciepłej klatki piersiowej.

Pachniał mydłem i proszkiem do prania.

- Wszystko w porządku? Martwiłem się.

- Dlaczego? - Usłyszała cichy zgrzyt za plecami. Pewnie Dante schował broń do teczki.

- Zadzwoił do mnie kumpel. - Wyjaśnił. Widząc jej minę, tłumaczył dalej. - Słucham radia policyjnego, tak jak i inni dziennikarze... A kiedy usłyszałem twój adres... - Rozluźnił się, wypuścił ją z ramion. Opadła na kanapę i zobaczyła, jak Brian mierzy Dantego chłodnym wzrokiem. Dostrzegł koszulkę i spodnie od piżamy. I Megan w rozpiętych dżinsach. Doszedł do oczywistych wniosków.

- Zadzwoiłam do Greysona. - Powiedziała. - Kiedy usłyszałam policyjne syreny, pomyślałam, że przyda mi się... doradca. - Za jej plecami Dante się skrzywił.

- Jasne.

- Do cholery, Brian, Greyson nie jest terapeutą.

- Wiem, sprawdziłem go w Google'u zaraz po naszym spotkaniu. Wiedziałem, że na ten temat też kłamiesz.

- Przepraszam.

Wzruszył ramionami.

- Teraz już wiesz, dlaczego...

- Dlaczego nie omówicie tego wszystkiego w drodze do szpitala?

- Zasugerował Dante. Podał jej kluczyki. - Megan, kiedy spałaś, ściągnąłem tu twój samochód. Brian może prowadzić.

- Sama nie wiem...

- Ale ja wiem. Powinnaś pojechać. Posprzątam tu wszystko.

Na szczęście najbliższy szpital nie był tym samym, do którego trafiła w poniedziałek po utracie przytomności. Gdyby pojawiła się tam dwa dni później, jako ofiara przestępstw, wzbudziłaby nie lada zainteresowanie.

Zanim wrócili do domu, była niemal piąta nad ranem. Megan, nafaszerowana antybiotykami, z baterią środków przeciwbólowych, kuśtykała do domu wsparta na silnym ramieniu Briana. Dodawał jej otuchy.

Wszystkie światła w domu były zapalone i bardzo ją to cieszyło. W ten sposób Greyson chciał jej zakomunikować, że dom jest czysty, tak to sobie przynajmniej wyobrażała. A może po prostu miał w nosie rachunek za elektryczność. W tym momencie nic jej to nie obchodziło. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek poczuje się bezpieczna.

Niesprawiedliwość całej tej sytuacji - chora, bolesna niesprawiedliwość - uderzyła ją z całą mocą, gdy weszli do domu i znaleźli się w przedpokoju. W ciągu zaledwie trzech dni jej życie z uporządkowanego, spokojnego i w miarę szczęśliwego stało się niebezpieczne, okropne i brudne. Polują na nią demony.

Atakują ją zombie. Nic nie mogła na to poradzić, a jedyny człowiek, który się w tym wszystkim orientował, był tajemniczy jak pieprzona Mona Lisa.

Ten człowiek leżał na kanapie, zajadał chipsy i oglądał reklamy.

- Już jesteście?

- Nie było nas prawie trzy godziny. - sapnęła Megan. Brian pomógł jej usiąść. Dante nie kłamał, kiedy mówił o sprzątanu. Pokój był nieskazitelnie czysty. Nawet odkurzył.

Zauważył jej spojrzenie.

- Wszystko załatwione. - Zapewnił. - Zabiłem okno deskami, mam zaprzyjaźnionego szklarza. Przyjedzie jutro, kiedy ciebie nie będzie.

Cholera. Sesja zdjęciowa.

- Możemy przełożyć sesję, jeśli nie czujesz się na siłach. - Powiedział Brian, widząc jej minę. - Może we czwartek albo w piątek?

Pokręciła głową.

- Zobaczymy, jak się będę czuła, dobrze?

- Dobrze. Nie chcesz, żebym został?

- Chce mi się tylko spać. Równie dobrze możesz iść do domu.

Rzucił okiem na Dantego i poklepał ją po ramieniu.

- Postaraj się przespać.

- Ty również.

- Dobrej nocy! - Zawołał za nim Dante. Brian wymamrotał coś, czego Megan nie zrozumiała, i zamknął za sobą drzwi. Dante wstał, by przekręcić klucz w zamku.

- Ale frajda. Dziwne. Twój przyjaciel z gazety dotarł tu tak szybko, nie uważasz?

Owszem, ale nie da mu tej satysfakcji i nie przytaknie. Spiorunowała go wzrokiem. Kiedy tak siedział na kanapie z paczką chipsów, wydawał się rześki i świeży, jakby dopiero, co wrócił z porannego biegania.

- Co zrobiłeś z ciałami? Znalazłeś coś?

- Ciała zniknęły, nie masz powodu do zmartwień. - Odparł.

- A jeśli ktoś je ze mną połączy?

- Nie połączy.

- Skąd wiesz?

- Bo je spaliłem.

Megan rzuciła okiem w kierunku ogródka.

- Chcesz powiedzieć, że ich szczątki są w mojej szopie?

- Wszystko uprzątnąłem, zrozum. - Dante się pochylił. - Już po sprawie. Może zajmiemy się ważnymi sprawami, a nie drobiazgami?

- Trupy w moim ogrodzie to dla mnie nie drobiazg, a bardzo poważna sprawa. - Odczęła się. - Kryminalna.

- Nie po to przyjechałem tu w środku nocy, żeby cię wysłać do więzienia.

- Ależ skądże, panie Nigdy- Nie- Twierdziłem- Że- Jestem- Prawnikiem.

Wzruszył ramionami.

- Bo nie twierdziłem.

- Ale jesteś?

- Między innymi.

- I czym jeszcze? Gosposią? Pewnie pracowałeś jak szatan... - Zagryzła usta.

Wargi Dantego drgnęły, ale milczał. Nagle to wszystko wydało się Megan szalenie zabawne. Zachichotała. Patrzył na nią, gdy jej chichot przeszedł w śmiech. A gdy śmiech zamienił się w płacz, przyciągnął ją do siebie, pozwolił, żeby jej głowa spoczęła na jego szerokiej piersi.

To nie trwało długo. Miał cały czas napięte mięśnie, mimo to ciągle trzymał ją w ramionach i była mu za to wdzięczna. Wypuścił ją z objęć, gdy była na to gotowa. Podał jej chusteczkę, którą wyciągnął nie wiadomo skąd.

Spojrzał na masywny srebrny zegarek na rękę.

- Już bardzo późno, Megan. Spróbuj się przespać. Słyszałem, że masz później sesję zdjęciową?

Skinęła głową. Nie chciała spać. Myśl, że znowu będzie sama w sypialni, nawet teraz, po wschodzie słońca, przyprawiała ją o dreszcze. Dante spojrzał w kierunku sypialni.

- Będę tuż obok. - Zapewnił. - Chyba, że zmieniłaś zdanie co do...

- Nie zmieniłam.

Ułożył się na kanapie i splótł dłonie za głową. Jego koszulka się podwinęła, ukazując cienki pasek opalanej skóry.

- Jestem tu, na wypadek gdybyś jednak zmieniła zdanie. - Powiedział falsetem i zatrzepotał rzęsami.

Megan się uśmiechnęła, wdzięczna za zmianę nastroju.

- Nie zmienię.

ROZDZIAŁ 9

- Śpi?

Odgłos uderzenia.

- A co ty sobie myślisz? Pyta, czy śpi. A nie wygląda jakby spała?

- No, wygląda.

- No to śpi. Najbardziej śpiąca kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem. - Ciągnął drugi głos.

Megan otworzyła oczy.

Trzech mężczyzn stojących obok jej łóżka odskoczyło do tyłu. Na ich twarzach malowały się różne uczucia, od przerażenia do ciekawości.

- Nie śpi! - Powiedział ten stojący najbliżej. Rozpoznała głos drugiego z rozmawiających. Miał silny cockneyowski akcent.

- A dopiero, co mówiłeś, że śpi. - Odezwał się trzeci. Był najwyższy. Miał wielki nos i blizny na twarzy.

Wszyscy wydawali się potężni - mieli szerokie bary, małe oczka i zarost. Ubrali się jak płatni zabójcy do pracy - czarne spodnie, czarne golfy, czarne buty na gumowych podeszwach, czarne wiatrówki, czarne czapeczki. I wszyscy nosili złote pierścienie i zegarki.

Megan ogarnęła ich jednym spojrzeniem, złapała lampę stojącą na stoliku nocnym, uniosła ją nad głową. Niestety, sznur nie chciał wyjść z kontaktu.

Szarpnęła lewą ręką, świadoma nie tylko tego, że wygląda idiotycznie, ale też, że trzech napastników ma mnóstwo czasu, żeby zaatakować, gdy ona szykuje sobie sprzęt do obrony. Ich bezruch stanowił pewne pocieszenie, ale serce nadal tłukło jej się w piersi.

- Kim jesteście? - zapytała piskliwie.

Mężczyźni wymienili smutne spojrzenia. Najwyższy się odezwał.

- Ależ pani, czyż nie...

- Dzień dobry, panowie. - Greyson wszedł do pokoju, ubrany w czarny garnitur z kantami tak ostrymi, że przy odrobinie nieuwagi mógł się o nie skaleczyć. Był po kąpieli, świeżo ogolony, pachniał wanilią i dymem. - Dzień dobry, Megan. Coś takiego. Zmieniasz wystrój wnętrza?

Megan rzuciła okiem na lampę w ręku i spiorunowała go wzrokiem.

Spojrzała na zegar. Jedenasta trzydzieści!

- Cholera! - Odstawiła lampę na stolik i odrzuciła kołdrę, chcąc wstać.

- Siadaj. - Uniósł rękę. - Dzwoniłem do Briana, żebyś nie musiała się spieszyć. Sesja dopiero o drugiej.

- Co to za ludzie i co robią w mojej sypialni?

- Och. - Greyson popatrzył na trzech nieznajomych, którzy wyprostowali się pod jego spojrzeniem. - Megan Chase, przedstawiam ci twoich ochroniarzy: Malleus, Maleficarum i Spud.

- Moich kogo?

- Twoich ochroniarzy. Ten po lewej to Malleus, wysoki to Maleficarum, a ten to Spud. Przydzieliłem ci ich.

Megan spojrzała na trzech mężczyzn stojących pod ścianą jak podczas konfrontacji policyjnej. Wstała, złapała Dantego za ramię.

- Musimy porozmawiać.

- Przepraszamy bardzo. - Mruknął Greyson, gdy prowadziła go do saloniku i zamknęła za nimi drzwi.

- Kto to jest? I co ty sobie do cholery myślisz, tak mnie straszyć? Jak sądzisz, jak się poczułam, gdy po wczorajszej nocy obudziłam się w pokoju pełnym nieznajomych?

- Już ci mówiłem, kim są. To twoi ochroniarze. Potrzebujesz kogoś przez cały czas, a ja nie mogę stale ci towarzyszyć. - Oparł się o ścianę. - Wiesz, nie byłoby ich tam i nie patrzyliby, jak śpisz, gdybyś pozwoliła mi zostać. Może zmienisz zdanie?

- Nie. - Nagle do niej dotarło, że ma na sobie tylko koszulkę. Co prawda wczoraj widział ją w samym staniku, jednak to co innego. Wzięła koc z kanapy i się owinęła. Niewiele, ale zawsze lepiej. - Słuchaj, Greyson nie myśl, że nie jestem ci wdzięczna za pomoc. Jestem i to bardzo, i mam nadzieję, że nadal będziesz mi pomagał, bo

nie chcę umrzeć. Tyle, że ci ludzie... Nie mogą ciągle mi towarzyszyć. Wyglądają, jakby chcieli kogoś zabić.

- Każdego, kto wejdzie im w drogę. - Odparł. - Albo tobie. A poza tym to nie ludzie, tylko demony.

- Oczywiście. Mogłam się domyślić.

- Fakt. Środki przeciwbólowe mącą ci umysł? Chodź. - Nie czekając na odpowiedź, podał jej filiżankę kawy i wyprowadził przez drzwi na taras. Mały stoliczek i foteliki z kutego żelaza kusiły, biało-niebieska mozaika na blacie była równie urocza, jak zawsze. Uwielbiała tu przesiadywać.

Słońce nagrzało krzesło i rozgrzało jej skórę, ledwie usiadła. Westchnęła, odprężyła się i wtedy jej wzrok spoczął na szopie. Wszystko wróciło, gnijące twarze, zapach, krzyki... Odstawiła kubek i ciałniej otuliła się kocem.

Dante milczał przez chwilę.

- Pomyślałem, że tu będzie ci się łatwiej odprężyć. Wolisz wrócić do środka?

- Nie, nie. Nic mi nie jest. - Kawa była gorąca i mocna, prawie paliła w język, ale zmuszała się do dużych łyków. Ciągle była na wpół przytomna, a musiała dojść do siebie. Wszystko ją bolało.

- Bardzo cię boli?

- To było do przewidzenia. - Skłamała, było o wiele gorzej. Kiedy się obudziła, myślała, że nie jest źle, ale wystarczyło kilka kroków, żeby się przekonała, jak bardzo bolą ją mięśnie i podrażniona skóra.

- Mógłbym ci pomóc.

- Niby jak? Zmysłowym masażem? - Pożałowała tych słów, ledwie je wypowiedziała. Miał być żart, a zabrzmiało jak zaproszenie. Sztuczny śmiech tylko pogorszył sprawę.

Dante nie odpowiedział, wstał i zbliżył się do niej. Podniosła rękę.

- Słuchaj, z tym masażem to był żart, OK? Kiepski, ale tylko żart...

- Cicho. - Stał za nią, na tyle blisko, że czuła ciepło jego ciała, ale jej nie dotykał. Poczwała jego ręce nad głową. Mruczał coś pod nosem.

Energia spływała przez jej głowę do całego ciała, gęsta, lepka, koła obolałe barki i ramiona, rozluźniała mięśnie pleców. Usiłowała

się uchylić, ale ją powstrzymał. Jego moc dalej na nią spływała. Jej palce drżały i napinały się mimowolnie, gdy energia płynęła do każdej komórki jej ciała.

To trwało zaledwie kilka minut, po wszystkim czuła się lepiej niż w ciągu wielu ostatnich dni. Na próbę podniosła rękę. Nic nie zabolęło.

- Jak to zrobiłeś?

- Demony ognia szybko się uczą takich rzeczy. - Odchrząknął. - Lepiej?

- Tak.

- Dobrze. - Pochylił się i podniósł kubek drżącymi rękami. Zauważył jej spojrzenie. - Czasami mnie to wyczerpuje, ale nic mi nie będzie. Mamy ważniejsze rzeczy na głowie.

O rany, coraz lepiej. Chłodny powiew poruszył pierwsze opadłe liście.

- Nawet nie chcę o tym myśleć.

- Musisz, Megan, bo inaczej...

- Słuchaj. - Wycodziła przez zęby. - Wiem, że inaczej umrę. Rozumiem. Przystaniesz mi to powtarzać? Zachowujesz się, jakbyś nie mógł się tego doczekać.

Wzruszył ramionami.

- Dzięki. Wielkie dzięki.

- A co mam powiedzieć? Och! Nie, to nie tak. Myślę, że to oczywiste. Nie byłoby mnie tu, nie oddałbym ci trzech najlepszych ochroniarzy, których ma moja rodzina... moja firma, gdybym chciał twojej śmierci. - Energicznie odstawił filiżankę na stół. - Do cholery, Megan gdybym chciał, sam mogłem cię już kilka razy zabić. To nie jest horror. Nie czekam na odpowiedni układ planet, nie chcę, żebyś zapisała mi duszę. Pomagam ci wyłącznie z dobroci serca.

Wydawał się szczery, ale nie wierzyła mu nawet przez chwilę. Z pewnością czegoś chciał, tylko nie wiedziała, czego.

W tej chwili wydawało się, że oczekiwał przeprosin. Niech ma.

- Przepraszam.

Skinął głową.

- A co do braci, myślę, że ich polubisz, jeśli dasz im szansę.

- Mam wybór?

- Nie.

- Są uzbrojeni?
- Nie. Nie muszą być.
- Ale ty owszem.

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem demonem ochronnym, a oni tak.

Przez chwilę Megan rozważała, czy nie kazać mu spieprzać i zostawić ją w spokoju. Niech zabiera swoich demonicznych ochroniarzy i idzie sobie, a wtedy ona ucieknie... To była jedna słodka minuta.

Ale nie mogła zaprzeczyć wydarzeniom poprzedniej nocy. Nie chciała mu ufać, jednak nie miała innego wyboru. Jeśli proponuje jej pomoc teraz, a potem sam zacznie na nią polować - trudno. A jeśli to on się za tym wszystkim kryje, nie powstrzyma go, mówiąc, że mu nie ufa. To jej życie i musi o nie zadbać.

Uznał jej milczenie za zgodę.

- Dobrze. - Mruknął. - Muszę iść.

- Chwileczkę. Musisz mi powiedzieć więcej o tym, co tu się dzieje. Nie wiem, kim są demony osobiste ani o co im chodzi. O co tobie chodzi, też nie mam pojęcia. A powinnam to wiedzieć.

- Teraz musisz wiedzieć jedno, że masz trzymać się chłopców. Będą cię chronić. Aha! I zabroniłem im dotykać cię i niepokoić. Daj znać, gdyby to robili.

- Zabroniłeś im mnie...

- Później pogadamy.

Wyszedł bez pożegnania.

Jego chłopcy byli tam, gdzie ich zostawiła.

- Cześć, panowie. - Zaczęła. - Jak tam? - Plotła głupoty, ale co miała powiedzieć. Jak się rozmawia z demonicznymi ochroniarzami?

Wysoki - Maleficarum - uklonił się, zdjął czapkę i jej oczom ukazały się dwa nieduże, ale charakterystyczne rogi na jego głowie. A zatem niektóre demony mają rogi.

- Do usług, pani. - Powiedział. - Mam nadzieję, że będziesz, pani, zadowolona z usług moich i braci.

Pozostali poszli w jego ślady i po chwili sześć małych rogów sterczało wycelowanych w sufit i połyskiwało na tle łysych głów.

- Dziękuję. - Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. - Doceniam, że tu jesteście.

Osobiste demony

- Nie nam dziękuj, pani. - Odparł Malleus. - Pan Dante powiedział, że jesteśmy tu potrzebni, no to jesteśmy. Gotowi cię chronić. Własnym życiem.

- Ano. - Burknął Spud.

- No świetnie, jednak pomyślałam sobie, że moglibyście poczekać w saloniku, aż się wykapię i przebiorę.

- Przykro nam. - Sapnął Malleus. - Pan Dante kazał nam strzec cię, pani, bezustannie. Cały czas, powiedział. Mamy cię nie spuszczać z oczu.

- Na pewno nie chciał, żebym... - Woląta nie używać słowa naga, więc dokończyła. - żebym się przy was przebierała. Nie czułabym się komfortowo w takiej sytuacji. Chyba to rozumiecie?

- Pan Dante powiedział cały czas i tak będzie.

- Nie wydaje mi się, żeby chciał, byśmy widzieli ją nagą. - Mruknął Maleficarum. - I ona też tego nie chce.

- Ale mówił cały czas, Lif, może nie? - Malleus skrzyżował ramiona na muskularnej piersi. - Chcesz być tym, który mu powie, że nie wypełnialiśmy jego poleceń? Chcesz, żeby znowu ktoś ją napadł? Bo ja nie. Łby nam pourywa, jeśli do tego dojdzie.

- A ja myślę, że będzie gorzej, kiedy się dowie, że widzieliśmy ją nago. - Upierał się Maleficarum. - Bo ona jest jego.

Tego już było za wiele dla Megan.

- Nie jestem jego. - Powiedziała i wyprostowała się na całe swoje metr sześćdziesiąt. - I nie będziecie patrzeć, jak się kąpię. Możecie przeszukać łazienkę, zanim do niej wejdę. To wszystko.

Maleficarum zmrużył oczy.

- I powiesz panu Dante, że kazałaś nam na siebie nie patrzeć, pani?

Skinęła głową.

- Tak.

Malleus odwrócił się do Maleficarum i szepnął mu coś do ucha. Maleficarum odwrócił się do Megan.

- A dasz nam to na piśmie?

Spiorunowała go wzrokiem. Malleus spojrzał w bok.

- Dalej, panowie, sprawdźmy łazienkę.

We trzech powędrowali do łazienki, pewnie zajrzą do toalety i rur odpływowych. Trzeba przyznać, że wydawali się bardzo oddani pracy.

I Greysonowi Dantemu. Kto to właściwie jest?

Była ciągle pogrążona w myślach, gdy wrócili.

- Czyściutko, pani. - Zapewnił Malleus i posłał jej, jak się domyślała, uśmiech pełen otuchy. W jego wykonaniu był to złośliwy grymas. - Możesz iść, pani. Poczekamy, aż...

Westchnęła.

- Świetnie.

Łazienka, podobnie jak reszta domu, nie nosiła żadnych oznak nocnych wydarzeń, nie licząc zabitego deskami okna.

Woda płynęła nierównym strumieniem ze zniekształconej główki prysznicza. Musi kupić nową. Myła się pospiesznie.

Znajome ściany zdawały się na nią napierać.

Nie płacz. Uspokój się. Odsuś sobie.

Oparła się o ścianę nad kranem i czuła, jak strumień wody spływa jej po plecach. Nogi się pod nią ugięły. Zaraz przejdzie. Zaraz.

Znowu miała szesnaście lat, stała pod prysznicem. Przez szum wody przebijał się głos.

- Megan... Megan... zapomniałaś... Obiecałaś, pamiętaj, co obiecałaś, pamiętaj, co obiecałaś...

Stłumiła krzyk. Nie chciała pamiętać ani tego, ani niczego, co wydarzyło się tamtej zimy. Cholerny Brian i jego anonimowy informator, cholerny artykuł ciągle czyhający w archiwum. Niech ich wszystkich szlag trafi.

Gorące wilgotne powietrze niosło ulgę jej płucom. Zaczepnęła kilka głębokich oczyszczających wdechów i zakręciła kran. Będzie musiała zmierzyć się z tym wspomnieniem. Wiedziała, że kiedyś do tego dojdzie, podobnie jak wiedziała, że ma to coś wspólnego z obecnymi wydarzeniami. I że jest jakiś powód, dla którego nie wpadła w histerię na wieść, że istnieją demony. Bo gdzieś w głębi duszy od początku zdawała sobie z tego sprawę.

Odsunęła zasłonę prysznicową i wrzasnęła. Oskoczyła w tył, osłaniając się zasłoną. Była mokra i oślizgła.

- Co wy tu robicie?

- Nie patrzemy, pani. - Zapewnił Malleus. Rzeczywiście, wszyscy trzej stali do niej plecami. Nie, żeby to cokolwiek zmieniało.

- Mieliście czekać na zewnątrz.

- I tak było. Poczekaliśmy, aż weszłaś, pani, pod prysznic. Nie patrzyliśmy, jak się myjesz, ale byliśmy tutaj. Przez tę zasłonę niczego nie widać, pani. Dajemy słowo. Staliśmy tyłem. Tak, jak nam kazał pan Dante.

- Wiem, co wam kazał. - Jej serce nadal nie odzyskało zwykłego rytmu. Musi o tym porozmawiać z Dantem. - Teraz poczekacie na zewnątrz. Chcę się ubrać.

- Stoimy tyłem.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Głęboko zaczerpnęła tchu. – Wyjdźcie. I to już.

Po upływie czterdziestu minut była ubrana w czarny kostium i rajstopy. Uczesała się, umyła zęby. Nie malowała się, ale Brian prosił, żeby tego nie robiła, gdy do niego dzwoniła, żeby wszystko ustalić.

- Cieszę się, że jednak zdecydowałaś się na sesję. - Powiedział. - Może później wyskoczymy na kolację?

- Chętnie. - Pożegnali się. Odłożyła słuchawkę. Bracia czekali pod sypialnią. Prawie na nich wpadła, gdy otworzyła drzwi. - Panowie. - Zaczęła. - Nie wydaje mi się, żeby Dante chciał, żebyście pilnowali mnie aż tak uważnie.

- Ależ owszem, pani. - Zapewnił Malleus. - Niech nam pani wierzy. Powiedział, że jesteś bardzo ważna i musimy cię chronić. A z nikim nie będziesz bezpieczniejsza niż z nami.

- Dajemy słowo. - Dodał Maleficarum.

- Ano.

W bladych zieleniach i brązach jej saloniku przypominali gawrony na polu. Wielkie, czarne i groźne. Mogła sobie tylko wyobrazić, co to za uczucie, mieć ich u boku przez cały dzień. Dzień w dzień, na razie. Nigdy nawet jej do głowy nie przyszło, że będą jej towarzyszyć trzy mówiące cockneyem demony ubrane w czarny kaszmir.

- Posłuchajcie. Nie musicie się tak do mnie zwracać. - Usiadła na kanapie. Samochód przysłany przez „Hot Spot” miał przyjechać mniej więcej za kwadrans.

- Jak?

- Pani To trochę... no cóż, innym może się to wydać dziwne.

- Jak się mamy do ciebie zwracać, pani? Po imieniu? - Malleus zachichotał. Pozostali mu zawtórowali, jakby pomysł, by zwracali się do niej po imieniu, był zbyt absurdalny żeby traktować go poważnie.

- Moglibyście – powiedziała. - Byłoby super.

Przestali się śmiać. Na ich twarzach malowały się różne emocje, od zgorznienia po oburzenie.

- Nie moglibyśmy. To się nie godzi! - Malleus skrzyżował muskularne ręce na piersi. Czapka zsunęła mu się na bok, przez co wyglądał zawadiacko jak pirat.

- To tak, jakbyśmy cię, pani, dotykali tam, gdzie nie wolno. - dodał Maleticarum. - Nie możemy, pani. Panu Dante się to nie spodoba.

Spud milczał, ale z przekonaniem pokręcił głową Megan westchnęła.

- No to może „pani Chase”? Przynajmniej publicznie?

- A nie jesteś pani lekarzem czy coś takiego? Pan Dante coś wspominał.

- Mam tytuł doktora, ale nie medycyny i nie używam go na co dzień.

Bracia wymienili spojrzenia.

- Pani Chase? - Szepnął Malleus.

- Pani Chase. - Zawtórował mu Maleficarum.

Smakowali te słowa przez dłuższą chwilę, a Megan wstrzymała oddech.

Ich reakcja sprawiła, że czuła się, jakby obserwowwała Obcego poznającego współczesną kulturę.

I chyba nie bardzo mijała się z prawdą.

W końcu skinęli głowami.

- Niech będzie. - Orzekł Maleficarum. - Kiedy ktoś będzie w pobliżu, będziemy się do ciebie zwracać „pani Chase”. Pod warunkiem, że powiesz, pani, panu Dante, że nam kazałaś. Nie chcemy, żeby pomyślał, że się spoufalamy.

- Powiem mu. - Zapewniła. - I jeszcze jedno... - Nie wiedziała za bardzo, jak poruszyć temat ich imion. Malleus, Maleficarum i Spud? Może to normalne imiona wśród demonów, ale wśród ludzi zwrócą uwagę każdego, kto je usłyszy.

Chyba najprościej jest chwycić byka za rogi.

- Panowie, przykro mi, ale musimy też pomyśleć, jak się mam do was zwracać w obecności osób trzecich. Wasze imiona są tyleż ciekawe, co rzadkie.

Maleficarum skinął głową.

- To nie stanowi problemu, pani. Publicznie będziesz zwracać się do nas „panie Brown”, ilekroć uznasz, że nasze imiona powinny zostać tajemnicą. Już to wcześniej robiliśmy.

Malleus i Spud zarechotali i wymierzili sobie kuksańca pod żebra.

- Pan Brown? Ale skąd będziecie wiedzieli, do którego mówię?

Brwi Maleficarum powędrowały w górę.

- Nie martw się o to, pani. Zawołasz pana Browna, a jeden z nas się zjawi. Przysięgamy.

Studio, pełne ludzi i sprzętu, wyglądało zupełnie inaczej. Na ciemnoniebieskim dywanie porzrucano pudła, wszędzie poniewierała się taśma samoprzylepna, ściany nikły za reflektorami i zasłonami. Nie mogła uwierzyć, że zaledwie kilka dni temu nadawała stąd audycję. I że wtedy największym jej problemem była popularność, a nie walka o życie.

Richard szedł w jej stronę, uśmiechał się szeroko i rozkładał ramiona. Już miała uśmiechnąć się w odpowiedzi, ale Malleus stanął jej na drodze.

- Ej, kolego. - Powiedział i dźgnął Richarda w pierś grubym palcem wskazującym. - Nie za blisko, co?

- W porządku. Ma... panie Brown. - Megan interweniowała, widząc minę Richarda. Był oburzony i zszokowany. Łagodnie wzięła rękę Malleusa i odsunęła ją od piersi Richarda. - To mój szef, Richard Randall.

Malleus cofnął się, ale z jego twarzy nie zniknęła podejrzliwość. Niechętnie skinął głową.

Richard rzucił okiem na demony i wrócił do niej spojrzeniem.

- Megan. - Częściowo doszedł do siebie. - Jesteś taka dzielna, że przyszłaś! Brian zadzwonił do nas dziś rano. Wszyscy się cieszymy, że już ci lepiej. Jak się czujesz? Świetnie wyglądasz. Chyba się wyspałaś. To dobrze.

Czyżby to demony tak na niego działały?

- Dzięki, Richard. - Mruknęła. - Nic mi nie jest.

- Super! Wspaniale! - Zerknął w bok. Megan także.

- Witaj, Megan. - Powiedział Don Tremblay. - Miło znowu cię zobaczyć.

Megan skinęła głową. Przynajmniej teraz wiedziała, dlaczego Richard był zdenerwowany. Don na pewno poinformował go o rozmowie w restauracji.

Albo może Richard jakoś wyczuwał zmianę energii w Donie.

Wystarczyło, że na niego spojrzała, a przeszywał ją zimny dreszcz. Właściwie, co on tu robi? Richard go zaprosił? Przecież się przyjaźnią.

Malleus wrócił do niej wzrokiem.

- Wszystko w porządku, pani Chase? - Uśmiechnął się i puścił oko, zadowolony, że z taką lekkością nazwał ją „panią Chase”.

- Tak, dziękuję, panie Brown. - Zarechotali wszyscy trzej. Megan spojrzała na Richarda. - To są panowie... Brown. To... znajomi mojego znajomego. Panowie, to mój szef, właściciel stacji, Richard Randall... I Don Tremblay, znajomy z pracy.

Bracia skinęli głowami, ale założyli ręce na piersiach. Nie podali mu dłoni.

- Megan? - Jasnowłosa kobieta w luźnej koszulce szła w jej stronę z szerokim uśmiechem. - Jestem Dana Cross. Miło cię poznać. Zrobię ci makijaż. - Wyciągnęła rękę do Megan... I natrafiła na Spuda, który zastąpił jej drogę.

- Przepraszam. - Uśmiech powoli zniknął z pogodnej twarzy kobiety.

Spud ani drgnął. Po chwili Megan zdała sobie sprawę, że musi coś powiedzieć.

- Panie Brown, proszę się odsunąć. Dana chce mi zrobić makijaż.

Wszyscy trzej patrzyli na nią z różnym stopniem dezaprobaty na twarzach.

- Mówię poważnie. - Podkreśliła.

Odsunęli się, ale każdy napięty mięsień w ich potężnych ciałach dawał jej jasno do zrozumienia, że ich zdaniem popełniła błąd. Megan usiadła przed lustrem. Drgnęła, gdy ktoś dotknął jej włosów rozgrzaną lokówką. Bracia opierali się o ścianę i gniewnie łypali na fryzjera, ale posłusznie nie reagowali.

- Wydają się bardzo... mili. - Dana smarowała jej twarz watką zanurzoną w zimnej substancji o plastikowym zapachu. Zostawiała mokre ślady na skórze. Megan miała ochotę je zdrapać...

Jeszcze trochę i zacznie drapać się po całym ciele. Nie wiadomo, dlaczego była niespokojna. Pogodne trajkotanie Dany drażniło ją, a nie relaksowało. A przecież mimo wszystko spodziewała się, że będzie się dziś dobrze bawić. Która kobieta na świecie nie marzyła nigdy, żeby zostać modelką? Gwiazdą, dokoła której kręci się tłum fachowców i której podaje się butelkowaną wodę, a potem zaprasza na plan, żeby na wieki zachować jej urodę w kadrze?

Dla Megan marzenia nie trwały długo - skończyły się, gdy zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie dość wysoka, żeby zostać modelką. Nawet gdyby była wystarczająco ładna, a nie była. Och, jest całkiem całkiem, ale na okładkę „Vogue'a” się nie nadaje.

Może to, dlatego czuła się nieswojo, a nie przez fryzjera, który dźgał ją w głowę grzebieniem. Może irytowało ją wspomnienie młodej Megan, która uświadomiła sobie, że na świecie pełnym atrakcyjnych dziewczyn ona jest tylko jedną z wielu. A może to reszki koszmaru poprzedniej nocy?

Chciała się odwrócić. Coś albo ktoś stał za nią, prawda? Skóra ją swędziała, jakby ktoś chciał ją czytać.

Odwróciła się, na wpół przekonana, że zobaczy Dantego z uśmiechem na ustach, ale w progu stali tylko fotograf, jego asystent i Don Tremblay. Żaden z nich nawet na nią nie patrzył.

Może to Don stanowi problem. Jego agresja, jego gniew i nienawiść przepelniały otaczające ją powietrze Wróciła wzrokiem do lustra i zaraz podskoczyła, słysząc głośny stukot. Odwróciła się i zobaczyła, jak Malleus, Maleficarum i Spud chichoczą, gdy jeden z asystentów fotografa runął jak długi na podłogę tuż przy sprzęcie.

- Potknąłem się. - Powiedział fotografowi. Megan spojrzała na Malleusa.

Zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Opuścił wzrok. Fryzjer uniósł jej głowę, wyprostował, poprawił fryzurę, poklepał po ramieniu i zniknął w obłoku lakieru.

Przez cały czas nie odezwał się do niej ani słowem.

- Zamknij oczy. - Dana sięgnęła po słoiczek zielonkawobrazowego cienia do powiek i pędzelek. Megan spojrzała na nią z powątpiewaniem, ale milczała.

Dana była profesjonalistką.

Ledwie opuściła powieki, głosy w pomieszczeniu ucichły, stały się tylko pomrukiem. Gliniasty zapach grubej warstwy podkładu, który zaaplikowała jej Dana, mieszał się z aromatem perfum, mydeł i czymś jeszcze, mdłym i zimnym, co wypełniało pokój.

Najwyraźniej sześć godzin snu wystarczyło, żeby ktoś - kto jak ona cierpiał od dawna na bezsenność - odzyskał siły. Ale gdy usadowiła się w wygodnym fotelu, czując delikatne palce Dany na twarzy, zaczęła odpływać. Miała wrażenie, że jej umysł zapada się w białej pościeli, niknie w cichej ciemności snu.

- Megan.

Głos zabrzmiał w jej uchu. Gwałtownie otworzyła oczy. Odgłosy w pokoju się zmieniły i teraz błyskawicznie się zorientowała, co się zmieniło.

Bracia nie rozmawiali.

Odwróciła się, żeby na nich spojrzeć, ale palce Dany na brodzie przywołały ją do porządku.

- Już kończę, jeszcze chwila.

Przełykając panikę, Megan pobieżnie przejrzała umysł makijażystki. Nie było tam niczego podejrzanego, niczego, co mogłoby budzić niepokój. Zwykłe problemy singielki w wielkim mieście - były chłopak, który próbował wrócić do jej życia, praca, w której za mało zarabia.

Dlaczego Malleus, Maleficarum i Spud milczą? I dlaczego głos w jej uchu sprawił, że każdy włoszek na jej ciele stanął dęba?

Czyjaś ręka dotknęła jej ramienia.

- Proszę zachować spokój, pani Chase. - Powiedział Malleus.

Ale o co chodzi? Pomknęła wzrokiem do niewielkiego lusterka, które Dana postawiła na stoliku. Czarna plastikowa ramka przekrzywiła się, więc Megan widziała tylko skrawek pokoju.

To wystarczyło. Okropna, uśmiechnięta twarz wypełniła taflę na ułamek sekundy. Na tyle długo, żeby Megan miała wrażenie, że dostrzegła zielonkawą skórę i ostre kły. Jęknęła.

- Podglądasz? - Dana się śmiała. - Wiesz, wszyscy tak robią. Nikt mi nie wierzy, że go dobrze umaluję.

Chwilę trwało, zanim Megan odzyskała głos.

- Na pewno będzie dobrze.

- Z tobą to nietrudne, moja droga. - Odparła Dana machinalnie. Podeszła, wzięła lusterko, podała Megan. - Sama zobacz.

Megan ledwie rzuciła okiem na odbicie. Ledwie musnęła wzrokiem odbicie swoich oczu, niewiarygodnie dużych, nie wiadomo, czy to za sprawą makijażu Dany, czy doznanego szoku. Od razu przechyliła lusterko w bok, szukając dziwacznej istoty.

Na darmo. Pokój wyglądał tak samo jak wtedy, gdy tu weszła. Spojrzała na Malleusa, stojącego nieruchomo po jej prawej stronie.

- Co pan na to, panie Brown?

Zerknął na nią machinalnie. On również przeczesywał wzrokiem pokój.

Maleficarum i Spud już nie stali pod ścianą.

- Przepięknie, pani Chase. Proszę się nie obawiać.

- A niby, czego miałabym się obawiać? - Szepnęła. Wcześniejszy niepokój przerodził się w panikę.

- Kiedy my tu jesteśmy? Niczego. - Nie patrzył na nią.

- Megan, wszyscy są gotowi. - Brian stanął u jej boku. Drgnęła. - Nie denerwuj się. Wyglądasz bardzo ładnie i jestem pewny, że zdjęcia będą świetne.

Megan przywołała na twarz grymas, który - jak miała nadzieję - wyglądał na uśmiech. Wstała. Na drżących nogach dotarła do konsoly otoczonej światłami jak miejska oaza.

- Jestem Gene. - Powiedział fotograf. - Odpręż się.

Aż tak źle wygląda? Pewnie tak. Jej skóra była zimna. Wciąż nie widziała Maleficarum ani Spuda. Malleus stał koło jej biurka, poza zasięgiem wzroku.

- Dobrze, Megan, pochyl się do mikrofonu, o tak. - Mówił Gene. - I uśmiech. Masz być zadowolona, pogodna. Wielu ludzi zobaczy te zdjęcia, więc bawmy się dobrze.

Jakby to miało poprawić jej humor. Mimo tego posłusznie pochyliła się do przodu i oparła ręce na konsolecie.

Coś przebiegło przez pokój za jej plecami, coś burego, z pazurami na stopach i łysej głowie. Właściwie to coś wyglądało jak olbrzymi,

pokryty łuskami szczur. A zatem dzisiaj w studiu czai się niejeden stwór.

Megan drgnęła i szeroko otworzyła oczy. Błysnął flesz i aparat utrwalił wyraz przerażenia na jej twarzy.

ROZDZIAŁ 10

Megan odsunęła się gwałtownie. Malleus skoczył do niej w tej samej chwili.

- Coś nie tak? - Gene świetnie udawał troskę, ale Megan wyczuwała jego zniecierpliwienie. Miał randkę po pracy. Zignorowała go.

- Wiemy o nich, pani. - Szepnął Malleus. - Chłopcy pilnują pozostałych, ja jestem tutaj, więc pani nie dopadną. Uśmiechaj się, pani, bo nikt ich nie widzi, tylko my i ty.

- Biedaczka. - Mruknął Don Tremblay do Briana. - Wiesz, zawsze taka była, bardzo spięta. A podobno ostatnio jest coraz gorzej. Myślę, że presja daje jej się we znaki. Taki wstyd.

Brian, niech go szlag, wyjął dyktafon.

- Doktor Chase, proszę do biurka.

Richard podszedł do niej i wziął ją pod rękę. Łypnął gniewnie na Malleusa.

- O co chodzi, Megan? Robisz to czy nie? - Sękata ręka z długimi, bardzo brudnymi paznokciami zamachała do niej zza jego głowy.

Megan przełknęła żółć, która napłynęła jej do gardła.

- Nic mi nie jest. - Wychrypiała. - Po prostu muszę się czegoś napić. - Malleus wcisnął jej do ręki butelkę wody.

Richard spiorunował ich wzrokiem.

- Napij się i wracaj na plan. Przecież nie mamy studia na cały dzień.

Woda, chłodna i pyszna, niosła ulgę spieczonym ustom.

- Wiem o tym, Richardzie. - Powiedziała. - Jestem gotowa.

Uśmiechać się, słysząc, jak Tremblay rozpowiada o niej plotki? To niełatwe. Uśmiechać się, słuchając kłamstw na własny temat i co jakiś czas widząc w zasięgu wzroku koszmarną rękę albo pysk? Prawie niemożliwe.

- Megan, co się dzieje? - Richard zaplótł ręce na piersi i odchylił się do tyłu. Gdyby opuściła barierę ochronną, jego rozdrażnienie wiłoby się dokoła niej jak wąż.

- Nic, naprawdę. - Żołądek podszedł jej do gardła. Poczowała krople potu na czole.

- Megan... Megan... Megan...? - Monotonny śpiew, początkowo szeptany, potem przybierający na sile.

Maleficarum i Spud podeszli bliżej, stanęli koło konsoly, na tyle daleko, żeby nie zwracać na siebie uwagi, i na tyle blisko, by ich obecność dodawała jej otuchy. Malleus cały czas stał po jej prawej stronie.

Monotonny śpiew trwał. Megan ledwie słyszała instrukcje Gene'a ponad głosami.

Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej twarz. Pochyliła się do przodu, dotknęła mikrofonu, rozpięła pierwszy guzik bluzki, gdy tylko ją o to poproszono, a jednocześnie chciała być kimś innym, gdzie indziej. Przyglądała się, jak kobieta w jej ciele udaje szczęśliwą i czarującą, choć wewnątrz chciała krzyżeć.

Chichot kazał jej spojrzeć na Briana i Dona Tremblaya. Na ramieniu Dona siedział jakiś... chochlik.

Nieprzyzwoicie nagi, odwrócił się i uśmiechnął do niej. Była to ta sama twarz, którą wcześniej widziała w lustrze. Czarnozielona skóra opinała ostre kości, gdy rozchylił wargi, odsłaniając rzędy spiczastych zębów. Pomachał do niej. Miał długie, wąskie palce z wyraźnie zaznaczonymi stawami. Nie widziała uszu, tylko wgłębienia po bokach czaszki. Gdy na niego patrzyła, jego oczy zapłonęły czerwienią.

- Cześć, Megan. - Wychrypiał i znowu zarechotał.

Nie on jeden. Przeniosła wzrok z Dona i postaci na jego ramieniu i zobaczyła ich więcej. Jeden wysuwał język, bezpieczny na barku Dany, gdy ta uśmiechała się, pogodna i niewinna. Demon Richarda, ciemnoniebieski, skakał mu nad głową. Potwór Briana był czerwony, a Gene'a - pomarańczowy.

Zacisnęła zęby tak mocno, że zaboląło. Zaryzykuje złamanie zęba, ale nie ulegnie napięciu. Jeśli otworzy usta, zacznie krzyżeć. A gdy zacznie krzyżeć, nie zdoła się opanować.

Każdy w pokoju miał stwora na ramieniu. Siedem albo osiem zatańczyło na podłodze wokół stóp Dona. Do kogo należały? Wszystkie patrzyły na nią, śmiały się, robiły miny.

A ona? Czy też takiego ma? Równie okropnego i wstrętnego jak pozostałe?

Wolno odwróciła głowę... I zobaczyła tylko swoje odbicie w szklanej ścianie studia.

- O co chodziło, do cholery? - Richard złapał ją za ramię. Pozostali wyszli, a wraz z nimi ich demony. To pewnie te demony osobiste, o których mówił Greyson. Jeśli to one na nią polują...

Ale na razie trzymały się z daleka. Przynajmniej taka była korzyść z obecności Malleusa, Maleficarum i Spuda, choć jeśli wierzyć spojrzeniom, jakie Richard im posyłał, nie był zadowolony.

- Co masz na myśli?

- Wiesz dokładnie, co mam na myśli, Megan, przychodzisz z tymi trzema... typami, którzy wyglądają, jakby się urwali z planu brytyjskiego filmu gangsterskiego. Dziwnie się zachowujesz, nie słuchasz, co się do ciebie mówi i masz taką minę, jakby sesja zdjęciowa była gorsza niż śmierć. - Położył jej dłoń na ramieniu. Spojrzała na nią. Zabrał rękę. - Posłuchaj, wiem, że tego nie chciałaś, ale się zgodziłaś. To jest w twojej...

- Umowie. Tak, Richardzie, wiem. - A co miała powiedzieć? Richardzie, masz demona na ramieniu?

Wiedziała, że nadal tam jest, chociaż się ukrył. Ciągle wyczuwała jego obecność, ciemną i niepokojącą, zakradającą się do jej świadomości.

- Dałem ci tę pracę, bo myślałem, że jesteś profesjonalistką. Jeśli mnie rozczarujesz, zwolnię cię i znajdę kogoś innego.

Miała na końcu języka komentarz, że proszę bardzo, może ją zwolnić.

Zgodziła się na ten cholerny program, bo chciała pomagać ludziom. Teraz, gdy utknęła w koszmarnym świecie demonów, zombie i strachu, marzyła o jednym - nakryć się kołdrą i zwinąć w kłębek.

A jednak się nie odezwała. Nie dość, że czekałoby ją upokorzenie i bardzo realna szansa, że straciłaby gabinet - o ile współpracownicy pierwsi tego za nią nie załatwią, co przypomniało jej, że musi wykonać parę

telefonów - to szanse, że demony odpuszczą, były niewielkie. Greyson powiedział, że jest dla nich wyzwaniem. To ona zaczęła, jakkolwiek nieumyślnie. Nie pozwolą jej po prostu odejść. No i jeszcze ludzie, którzy dzwonią. Tacy jak Regina, która potrzebowała pomocy i nie wiedziała, gdzie jej szukać.

Richard wpatrywał się w nią, czekając na odpowiedź.

- Chyba ciągle jestem w szoku po ostatniej nocy. - Powiedziała. - Powinnam była zmienić plan, ale tak się cieszyłam na tę sesję, myślałam, że poprawi mi nastrój.

Richard zmiękł trochę.

- Domyślam się, że sporo przesłaś. - Mruknął. - No wiesz, współczuję cię. Gene mówi, że ma kilka dobrych fotek, więc zapomnijmy, że to się wydarzyło, dobrze? - Spojrzał na Briana, który czekał przy drzwiach i ostentacyjnie udawał, że nie słucha. - Widzę, że musisz jeszcze pogadać. Nie będę cię zatrzymywał. Zobaczymy się jutro.

Megan wyszła - z Brianem i trzema braćmi idącymi za nią krok w krok.

Zapomniała, że zgodziła się zjeść z dziennikarzem kolację. Przez chwilę zastanawiała się, czy jej nie odwołać, ale nie mogła. Nie po tym, jak szef bardzo jasno dał do zrozumienia, że nieudana współpraca oznaczała jej koniec.

Była skazana na jego towarzystwo.

I znowu piętrowy parking przyprawił ją o dreszcze. Tym razem było gorzej niż w niedzielny wieczór z Richardem. Sufit wydawał się niższy, cienie głębsze. Może czas poszukać innego miejsca do parkowania? Albo chociaż parkować na dachu.

Jeden z cieni ruszył się, zadrżał i nagle stał się Artem Bellinghamem.

Megan zamrugła. Czy to złudzenie? Pewnie po prostu opierał się o ścianę.

Brian zatrzymał się i obejrzał za nią.

- Megan?

Dwie ręce złapały ją za ramiona. Podskoczyła i otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale zdała sobie sprawę, że to tylko bracia, którzy ją chronili.

Art szedł w poprzek garażu, uśmiechał się. Jego ruchy wprawiały w drganie powietrze wokół niej. Jakim cudem nie poczuła tego wcześniej? Jego mocy? Splatała się z podmuchami wiatru w budynku, unosila jej włosy, przyciskała ubranie do ciała.

Skóra Briana przybrała dziwny bladożółty odcień w świetle reflektorów.

- Wszystko w porządku? - Jego głos niósł się echem po zimnym asfalcie.

Usiłowała odpowiedzieć, ale nie mogła. Nie teraz, kiedy zbliżała się do niej mroczna energia Arta Bellinghama. Maleficarum był gotów go odepchnąć, ale Megan go powstrzymała. Nie na oczach Briana, chyba, że nie będzie innego wyjścia.

- Megan. - Stał tak blisko, że musiała się cofnąć. Stała na czymś miękkim. Gwałtowny oddech Spuda zdradził, że weszła mu na nogę.

- Cześć, Art. - Słowa wydawały jej się ciężkie jak kamienie.

- Miło znowu cię widzieć. - Wyciągnął rękę. Ucisnęła ją i prawie upadła.

- Ciebie również. Właśnie wychodzimy.

- No, nie. Chciałem z tobą porozmawiać o tym, kiedy wrócisz do Pogromców Strachu.

- Nie wrócę.

- Ależ owszem. Oboje to wiemy. Dlaczego chcesz z tym walczyć?

Cały strach i ból ostatnich dni nagle skumulowały się w jej piersi. Za kogo on się właściwie uważa?

Za istotę nadprzyrodzoną, o wiele potężniejszą niż ty. I wcale się nie myli. Proszę, daj spokój i nie rób niczego głupiego, wiesz, jaki masz charakter...

Za późno.

- Zaraz ci powiem, dlaczego. - Odparła. - Bo co prawda nie wiem, kim ani czym jesteś, ale chcę, żebyś ty i twoi mali źli kumple dali mi spokój, jasne?

Odwróciła się energicznie i zobaczyła szok na twarzy Briana. W tej samej chwili jej triumf zamienił się w farsę, bo wpadła na Spuda.

- Och, Megan. - Rzucił za nią Art. Czyżby w jego głosie słyszała śmiech? - Jeśli obawiasz się zła, uważaj, z kim się zadajesz. A może jeszcze nie wiesz, kim jest twój Greyson Dante?

Malleus warknął i zrobił krok w przód. Megan go złapała.

- Nie przejmuj się. - Po jej policzkach spływały łzy.

Nie warto mnie irytować, Megan. Głos Arta w jej głowie. Jakoś pokonał jej zaporę, i to z taką łatwością, że nawet tego nie poczuła. Małe dziewczynki, które wygłaszają wielkie przemowy, często się dowiadują, że nie są nawet w połowie tak silne, jak im się wydaje.

Coś przemknęło przez jej ciało, przykre, duszące uczucie, które eksplodowało burzą światła pod jej powiekami. Art śmiał się w jej głowie.

Uciekła do samochodu, pewniejsza niż kiedykolwiek przedtem, że właśnie popełniła olbrzymi błąd.

- Posłuchaj, Megan, naprawdę możesz mi zaufać. Ile razy mam ci to powtarzać? - Brian przerwał ciszę i wstał, żeby wyrzucić papierek do kosza o kilka metrów dalej. Siedzieli nad rzeką, na promenadzie - szerokim chodniku upstrzonym ławkami i drzewami. To także była część projektu Nowego Millennium, ale tę lubiła o wiele bardziej niż modne budynki.

Po wyjściu z parkingu piętrowego nie chciała siedzieć w zamknięciu, nie chciała wielu ludzi dokoła.

Potrzebowała powietrza. Zatrzymali się przy stoisku z hamburgerami i usiedli na ławce, żeby je zjeść.

- Tu nie chodzi o ciebie. - Brianowi łatwo mówić, że może mu zaufać. I nawet ją to kusiło, dopóki nie wyobraziła sobie nagłówków w stylu: *„Radiowa terapeutka wierzy w demony chodzące wśród nas”*. Od razu ugryzła się w język.

- Po prostu źle się z tym wszystkim czuję.

- W takim razie źle wykonuję swoją pracę.

- Albo ja bardzo ci to utrudniam.

Uśmiechnął się.

- Może odrobina jednego i drugiego?

- Pewnie tak. - Przynajmniej nie pytał o scenę w radiu, choć wiedziała, że umiera z ciekawości.

- Opowiedz mi o nich. - Poprosił i zerknął na sąsiednią ławkę, na której trzech braci siedziało w wianuszku papierków po hamburgerach. We trzech spałaszowali co najmniej trzy tuziny. Nie miała pojęcia, jak ich wyżywi w przyszłym tygodniu. Miesiącu? Jak długo ma tak żyć?

- Niewiele jest do powiedzenia. To znajomi znajomego.

- Greysona Dantego?

- A jeśli tak? - Megan wbiła wzrok w rzekę.

Ostatnie promienie słońca odbijały się w powierzchni wody, która dzięki temu wyglądała jak płynące leniwie płynne złoto. Malownicze? Na pewno, ale zaraz pomyślała o prądach i drapieźnikach czających się na dnie. Raz czy dwa w roku ktoś próbował przepłynąć ją wplaw. Niewielu wychodziło z tej próby z życiem.

- Wyglądają mi na ochroniarzy. Nie mylę się?

Megan wzruszyła ramionami.

- Może po tym, co się wczoraj stało, chciałam się czuć bardziej bezpieczna.

- Więc poprosiłaś Greysona o pomoc.

- Dlaczego uważasz, że mają coś wspólnego z Greysonem?

- A nie mają?

Bryza rozwiewała jej jasne kosmyki, sprawiała, że łaskotały ją w nos i wargi. Rozdrażniona, założyła je za ucho.

- Co cię to obchodzi? Może Greyson pomógł mi ich znaleźć. Przyjaciele pomagają sobie wzajemnie. Robią sobie przysługi. Czy nie tak funkcjonuje świat?

- Tak funkcjonuje mafia, jeśli to masz na myśli.

- Przestań na siłę wszystko komplikować.

- Nietrudno to skomplikować. - Brian rzucił okiem na braci, którzy lustrowali przechodniów z założonymi rękami. - Słuchaj, Megan, nie chciałem ci nic mówić, ale uważam, że powinnaś wiedzieć.

- Wiedzieć? Co?

- Chodzi o Dantego. O jego... związki.

- Związki? Że co? O to, kogo zna?

- Związki. Koneksje. - Pochylił się do niej i szepnął: - Megan, twój kumpel należy do mafii. Ci faceci to prawdopodobnie płatni zabójcy.

Zdenerwowanie po konfrontacji z Artem przygasło, ale nie znikło zupełnie, i teraz wróciło z pełną siłą.

- Jeśli tak, czy nie ryzykujesz, mówiąc o tym?

- Nie tak bardzo jak ty. Bo to ty się w to angażujesz. Nie wydaje mi się, żeby wiadomość o takich znajomościach przysłużyła się twojej karierze.

Szantażuje ją? *„Radiowa terapeutka zdemaskowana! Królowa mafii”*.

- Co ty mówisz?

Pokręcił głową.

- Nic takiego. Po prostu powinnaś uważać i tyle.

To śmieszne. Właściwie, dlaczego ma tu siedzieć i doszukiwać się znaczenia jego półsłówki, skoro może go po prostu odczytać? Nie robiła tego wcześniej, ponieważ trochę bała się wykorzystać umiejętności. Ale to byto zbyt ważne, żeby strach stanął jej na drodze. Ostrożnie opuściła barierę i sięgnęła do jego umysłu.

Trwało to ledwie moment, zanim zrozumiała. I kolejny, gdy chciała się wycofać, ale nie zdążyła. Uwięził ją Brian Stone miał zdolności paranormalne. Jego oczy zrobiły się większe.

- Ty....

- Co? - Nie podnosiła wzroku. Może pomyśli, że się pomylił, może ją puści... Ale wiedziała, że tak się nie stanie. I miała rację.

- Megan. - Złapał ją za rękę. Coś spłynęło z jego palców - jego gniew.

Zaczerwieniła się. Wiedziała, że to widzi.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Milczenie zdawało ciągnąć się w nieskończoność.

- Rozumiem. - Powiedział w końcu i cofnął rękę. - Paranormalna pani psychoterapeutka. Logiczne.

Podobnie jak paranormalny reporter, pomyślała. Ma niezły tupet, kwestionując sposób, w jaki zawodowo wykorzystywała swój dar. A on? Ile razy sięgał do ludzkich umysłów, żeby zrobić dobry wywiad? Ba, to on... to on ją czytał, wtedy, w restauracji. Była zbyt roztargniona, żeby się zorientować.

Tylko strach na myśl, co będzie, gdy wspomni o tym w artykule, powstrzymał ją przed kłótnią.

- Jestem prawdziwą terapeutką.

Osobiste demony

- Wiem. - Odsunął się od niej, opadł na oparcie, zwiesił ramię przez poręcz. - Ale domyślałam się, że jesteś też odrobinę lepsza, co?

- Pomagam ludziom.

- Na pewno. Dlaczego nie powiesz mi, co się dzieje.

- Co?

- Och, Megan, nie jestem głupcem. Przypadkiem ktoś się do ciebie włamał, przypadkiem przyjaźnisz się z jednym z najpotężniejszych, niebezpiecznych przestępców w tym mieście, i to na tyle blisko, że można go spotkać u ciebie w środku nocy, w piżamie. Przypadkiem zawieszasz prowadzenie gabinetu. Dalej, mów. O co chodzi? I co Greyson Dante ma z tym wspólnego?

Wciągnęła powietrze. Gdyby nie był taki zimny, taki okrutny, może powiedziała mu wszystko. Może by jej pomógł. Potrzebowała wsparcia z każdej możliwej strony.

Dopóki nie wspomniał Dantego. Dlaczego tak bardzo się nim interesował?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Moje problemy z gabinetem wiążą się z rozgłosem wokół audycji, a pośrednio i z tobą, bo chcesz przeprowadzać wywiady z pacjentami. Greyson był w piżamie, ponieważ pospieszył mi na pomoc. Nie wiem nic o płatnych zabójcach albo członkach gangu, tylko, że jest prawnikiem, którego znam przez wspólnego znajomego. A włamanie to zbieg okoliczności.

- A ty nie czytałaś intruzów, choć to ułatwiłoby identyfikację.

- Nie pomyślałam o tym. - Cholera, tu ją miał. Jak ma mu powiedzieć, że napadły ją trupy kierowane przez demony?

- Zazwyczaj to instynkt. A może używasz mocy w innym celu?

- Co insynuujesz?

- Po prostu zastanawiam się, dla kogo pracujesz. I tyle. Wyobrażam sobie, że wielu podejrzanych biznesmenów oddałoby wiele, by mieć kogoś z naszymi umiejętnościami po swojej stronie.

- To absurd. - Megan ignorowała lodowaty strach pełną wdłuż jej kręgosłupa. - Oskarżasz mnie?

- Nie.

Odprężyła się trochę.

- Oskarżam cię tylko o współudział. Pozwalasz mordercy przebywać w swoim towarzystwie, dostarczać ci ochroniarzy, którzy

wydają się gotowi zamordować każdego, kto wejdzie ci w drogę. Nie jesteś aż tak naiwna, na pewno ich przeczytałaś, sprawdziłaś. Albo jesteś kiepska, a wiem, że tak nie jest, bo przed chwilą poczułem twoją moc, albo ci nie zależy. Więc jak?

Megan ukryła twarz w dłoniach. Gdyby powiedziała Brianowi, że nie może czytać Dantego, zapytałby, dlaczego. A wówczas albo musiałaby mu powiedzieć, że Greyson jest demonem - a tego nie zrobi za żadne skarby świata - albo wmawiać mu, że nigdy nie próbowała - a wtedy wyjdzie na idiotkę.

Druga opcja wydawała się lepsza.

- Nigdy nie próbowałam go czytać. - Odparła. - Nie czytam nikogo poza gabinetem. Ciebie też nie ruszałam do tej pory, prawda? Zresztą, jeśli tak cię interesuje, sam go przeczytaj!

- Próbowałam. - przyznał. - Zablokował mnie.

- A skąd przypuszczenie, że mnie nie?

- Domyślałem się, że owszem, ale sprawdzałem na wszelki wypadek.

Megan uderzyła dłońmi w drewnianą ławkę. Bracia zerwali się na równe nogi. Brian także.

- Dostyc tego. - Powiedziała, wstając. - Mam tego po dziurki w nosie. Nie chcę być przesłuchiwana, jakbym robiła coś złego. Nie muszę być twoim królikiem doświadczalnym, gdy szukasz informacji. Masz mi coś do powiedzenia? Mów.

- Przepraszam. Pomyślałem po prostu, że mi pomożesz przy...

- Powiedz to.

Przez chwilę patrzył w jej gniewne oczy, potem uciekł wzrokiem.

- Chcę napisać o przestępczości zorganizowanej w mieście. - powiedział. - I pomyślałem, że będziesz chętna do pomocy. O ile oczywiście nie jesteś tego częścią. Nie masz nic do stracenia, prawda?

ROZDZIAŁ 11

- Moim zdaniem to jasne. - Stwierdził Greyson i podał jej kolejnego drinka. Siedzieli przy narożnym stoliku w jednej z modnych śródmiejskich knajpek, których Megan zazwyczaj starała się unikać. Jednak tego wieczoru... chciała poczuć dokoła siebie innych ludzi, tłum głośnych, spoconych imprezowiczów, choć zarazem wstrząsał nią dreszcz, ilekroć wyobrażała sobie, co czai się na ich barkach.

A co czai się na jej ramieniu? Po raz piąty, szósty, dwudziesty, pięćdziesiąty tego dnia zaplotła ręce, żeby się powstrzymać od klepania po karku. Cokolwiek tam siedzi, nie chciała tego dotknąć. Nie chciała wiedzieć. Widziała dość jak na jeden dzień.

- Rozbaw mnie. - Pochyliła się w jego stronę. W oczach postronnych obserwatorów wyglądali prawdopodobnie jak... Megan przełknęła ślinę... Jak kochankowie? Albo przynajmniej para na trzeciej czy czwartej randce.

Wrażenie to podkreślało ramię Greysona, spoczywające nonszalancko na oparciu jej krzesła. Gorąco jego ciała pieściło ją przez ubranie, świeży zapach jego skóry drażnił ją, sprawiał, że oddychała głębiej niż to konieczne.

Był tak blisko, że gdyby pochyliła się do przodu jeszcze o kilka centymetrów... Gdyby przechyliła głowę w odpowiednią stronę... Całowaliby się.

Uniósł brew, jakby czuł to samo.

- Niby jak mam cię rozbawić?

Cofnęła się.

- Wyjaśnij mi to dokładnie, od samego początku, jakbym do wczoraj nie wiedziała, że demony istnieją. Jakbym była nowicjuską w pełnym tego słowa znaczeniu. Dobrze?

Skinął głową.

Osobiste demony

- Demony osobiste, Yezer Ha- Ra, jak nazywali je starożytni Izraelici, które na ciebie czyhają, to niewielkie istoty. Przesiadują na prawym barku człowieka. Każdy ma takiego demona... No, prawie każdy. To one są odpowiedzialne za większość nieszczęść i wypadków, które powodują ludzie.

- Wypadków? Nieszczęść? O czym my mówimy? Że ktoś bezczelnie wpycha się przede mnie w kolejce czy że ktoś wpada w szal i strzela na oślep?

- O jednym i drugim. - Sącył drinka i obserwował lokal znad krawędzi szklanki. Wrócił wzrokiem do Megan. - Zależy, ile ich jest.

- Powiedziałeś, że każdy ma takiego demona?

- Nie. Powiedziałem, że prawie każdy go ma. Słuchaj uważnie. To ważne.

Megan przełknęła złośliwą ripostę wraz z łykiem ginu.

- No dobrze, prawie każdy go ma. Kto nie ma?

- Niektórzy mają więcej niż jednego. Czasami któryś demon spisuje się wyjątkowo dobrze, popycha swego człowieka w spiralę nieszczęścia i klęski. Taki śmiertelnik staje się coraz bardziej agresywny i przebiegły, coraz więcej pije, na przykład. Im człowiek słabszy, tym potężniejszy demon. Natychmiast sprowadza kolejnego demona. Obaj atakują śmiertelnika, wysysają jego energię i siłę życiową i przyciągają coraz więcej demonów, które kradną coraz więcej sił witalnych... Aż z człowieka zostaje tylko pusta skorupa, jeśli się ich w porę nie powstrzyma.

Megan zadrżała.

- A jak można je powstrzymać?

- Za każdym razem jest inaczej. Niektórzy chodzą na terapię, dołączają do klubu AA, znajdują coś innego, co pozwala im zachować resztki sił witalnych, a nawet odbudować utracone zapasy. Inni... - Wzruszył ramionami. - Zabijają się.

Albo innych. Albo i jedno, i drugie.

Pijana dziewczyna w sukience tak wydekoltowanej, że Megan myślała, że jej piersi wyskoczą przy pierwszym ruchu, potknęła się i wpadła na ich stolik, rozlała ich drinki, przy czym koktajl Megan wylądował na niej.

- O cholera! - Kobieta otworzyła pełne usta. - Przepraszam.

- Co do diabła... - Zaczęła Megan, ale nagle urwała.

Greyson popatrzył na nią dziwnie, objął dziewczynę i szepnął jej coś do ucha. Jej oczy się powiększyły, spiorunowała wzrokiem kogoś po przeciwnej stronie sali i odeszła.

Greyson odwrócił się do Megan.

- Co tu się stało?

- Mogłabym zapytać o to samo. Co jej powiedziałaś?

- Że jakiś facet taksuje ją wzrokiem i jego dziewczyna nazwała ją dziwką.

Megan popatrzyła. Ich pijana przyjaciółka kłóciła się z jasnowłosą kobietą.

- Naprawdę?

- Nie, dla zabawy. Wracamy do ciebie. Zbladłaś, przestałaś mówić. Dlaczego?

- Po prostu umilkłam i tyle. - Jej towarzysz lubi wywoływać awantury z zupełnie obcymi ludźmi. Z drugiej strony, czego się spodziewała po demonie?

Oderwała wzrok od wrzeszczącej teraz kobiety.

- Megan. Nie obawiaj się, gniew nie jest osobistym zaproszeniem dla demona. Nie pogorszysz sytuacji, wkurzając się na pijaną idiotkę.

- Może nie. Ale też wątpię, żebym ją czegoś nauczyła.

- Nie wiem. Może powinnaś trochę wyluzować.

- Należysz do mafii?

Oczekiwała jakiejś reakcji. Czegokolwiek, co sprawi, że przestanie wpatrywać się w nią w ten sposób, ale nie tego, że Greyson niemal udławi się drinkiem.

- Co? Co to za pytanie?

- Takie, na które chciałabym usłyszeć odpowiedź. - Jeszcze nigdy nie widziała go w pozycji obronnej, o ile tak można to określić. Cudowne uczucie sprawić, żeby poczuł się równie zakłopotany, jak ona.

Potał czoło.

- Zgaduję: Brian Stone ci powiedział?

- A jeśli nawet, to co?

- Nic. Ja też mógłbym ci powiedzieć o nim kilka rzeczy, których zapewne nie chce rozgłaszać.

- Na przykład?

- Niektórzy z nas mają honor.

Było to tak komiczne stwierdzenie, a Dante wydawał się tak przekonany o swojej nieomyślności, że Megan się roześmiała.

- Jeśli chodzi ci o to, że Brian ma zdolności paranormalne, już o tym wiem.

- Owszem. Ale wiesz, bo ci powiedział, czy dlatego, że usiłowałaś go przeczytać i dowiedziałaś się przy okazji.

- Ja... - Umilkła. Greyson skinął głową. W jego oczach odbijały się światła neonów znad baru.

- Nie powiedział ci. Za to naopowiadał ci bzdur o mnie. Pewnie chciał... Zresztą mniejsza o to. Rzecz w tym, że Stone sam nie jest bez skazy. Zastanawiałaś się, ilu ludzi przeczytał bez ich wiedzy, żeby napisać lepszy artykuł?

Skinęła głową, ale jednocześnie dotarły do niej dwie rzeczy. Po pierwsze, rozmyślnie zmienił temat, gdy zadała mu pytanie. A sama zrobiła to samo, i Dante o tym wiedział.

- Czy w ten okrężny sposób chcesz mi powiedzieć, że postępuję nieetycznie wobec pacjentów?

- Nie wcale nie uważam, że to to samo. Pacjenci płacą ci, żeby poczuć się lepiej. Ludzie, z którymi Brian rozmawia, nie płacą mu za nic. A on im nie pomaga.

Rozważała to przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Więc jesteś w mafii czy nie?

Odmówiła Brianowi pomocy przy artykule. Nawet nie brała tego pod uwagę. Do czasu, póki nie pozna prawdy.

- Ciszej Cholera, me możemy tu rozmawiać. Chodźmy – Wstał, włożył marynarkę, skinął na trzech ochroniarzy, którzy siedzieli przy sąsiednim stoliku i pochłaniali hektolitry piwa. Czyżby chciał ją zaopatrzyć w betonowe buciki?

- Ależ owszem. Nie cierpisz takich miejsc.

Cholera, była aż tak przewidywalna?

- Może dzisiaj mi się tu podoba.

- Obawiasz się, że chcę cię... jak to się mówi? Załatwić?

- A powinnam?

Pochylił się nad stolikiem, złapał ją za ramię, pociągnął, aż stanęła przed nim.

- Nie zachowuj się jak dziecko.

- Chwileczkę! - Wyszarpnęła rękę z jego chwytu. Jak śmie jej zarzucać, że jest dziecinna? Nawet, jeśli jest. Zwłaszcza, jeśli jest. - Dlaczego tak nagle musimy iść? Dwadzieścia minut temu chciałeś tu być, teraz chcesz wyjść. Liczy się tylko to, czego ty chcesz. A to, czego ja chcę?

- Dobrze. Czego chcesz, Megan?

W tym momencie najbardziej na świecie chciała go trzasnąć w tę jego twarz. Zamiast tego zaplotła ręce na piersi i powiedziała:

- Jeszcze jednego drinka.

Do tego stopnia przywykła do czytania innych ludzi, że nie zwracała uwagi na mowę ciała, choć uczyła się tego na studiach. Teraz miała okazję. Jego pięści się zacisnęły i otworzyły, poruszył się niespokojnie. Fascynowały ją sprzeczne emocje widoczne na jego twarzy - zacisnął usta, zmrużył oczy.

- Dobrze. - Powiedział w końcu. - Ale czy koniecznie tu?

Zawahała się. Czy warto się droczyć, żeby się na nim odegrać?

Tak, warto.

- Koniecznie tu. - Uśmiechnęła się mile. - Podoba mi się ten lokal. Jego mordercze spojrzenie zdradzało, że dokładnie wie, co zrobiła.

- Przyniosę drinki.

- Dobrze. Poczekam. I... Greyson?

Zatrzymał się, ale nie odwrócił.

- Dziękuję, że jesteś taki miły.

Uśmiechnęła się, gdy odszedł.

- Pospieszcie się. - Otworzyła drzwi i wpuściła wszystkich, spoconych i zmęczonych, do środka. - Porozmawiamy w saloniku.

- Dziękujemy, pani. - Malleus trzymał chustkę przy krwawiącym nosie.

Za nim weszli Maleficarum, Spud i Greyson, wszyscy poturbowani. Pochód zamykała jasnowłosa kobieta w nieskazitelnie czystym czarnym kostiumie, której Megan wciąż nie przedstawiono, a która pomogła im wydostać się z klubu. Megan nie wiedziała, dlaczego tamta przyjechała z nimi, ale Greyson ją znał.

Zamknęła drzwi wejściowe i przekręciła klucz w zamku. Czy naprawdę kiedyś myślała, że spędza zbyt dużo czasu sama w domu?

Stojąc w progu saloniku obok demonów i kobiety, która wyglądała, jakby żywcem zeszała z kart czasopisma „Lepsza od Ciebie Pod Każdym Względem”, zatekniła za czasami, gdy całe jej towarzystwo stanowiła ona sama, przekąski i telewizyjne hity tygodnia.

Greyson już nalewał drinki.

- Ale było łajnie. - Powiedział, choć poryte zmarszczkami czoło i opuchlizna zdawały się przeczyć jego słowom. - Dzięki za pomoc, Tera.

Kobieta rzuciła okiem na Megan, zanim usiadła.

- Nie ma sprawy. - Sądząc po jej tonie, owszem, była sprawa. Kobieta i Greyson najwyraźniej udawali, że mają się dobrze, ale pod pewnym względem byli podobni - nie darzyli się wielkim zaufaniem i oboje byli niezadowoleni ze spotkania. Co ona tu robi? Greyson podał Megan drinka.

- Megan, poznaj Asterope Green. - powiedział dziwnie niezręcznie.

- Mów mi Tera.

Malleus odsunął mokrą chustkę od twarzy.

- Chyba już przestało. - Sapnął. Zerknął na Terę. - Nie wypiszesz mi mandatu. Co, kochaniutka?

Tera się uśmiechnęła.

- Nie zwracałabym sobie tym głowy. Wszyscy wykazali się głupotą, więc chyba możemy puścić to w niepamięć. To wyglądało jak zwykła barowa bójka.

Sądząc po minie, oczekiwała podziękowań, ale jej słowa tylko ich rozdrażniły.

- Głupotą? - Maleficarum splótł ręce na piersi. - To oni są głupi. Nie zorientowali się, że nie jesteśmy ludźmi. I to po tym, jak zrobiliśmy tam porządek. Może teraz się nauczą, że naszej pani nie wolno zaczepiać. Za kogo on się uważa, swoją drogą? Tak po prostu podejść do niej i zagadać, jakby nie wiedział, że...

- Dosyć tego. - Powiedział Greyson. Nawet opuchlizna pod lewym okiem nie zdołała ukryć sińców pod jego oczami. Co chwila nerwowo zerkał na Terę, jakby coś nie dawało mu spokoju. - Chłopcy postąpili, jak uważali za słuszne i jestem pewien, że pani Chase to docenia.

Megan skinęła głową. Miała wrażenie, że powinna to zrobić.

- Oczywiście.

- A co dokładnie tu robią? - Zainteresowała się Tera.

- Wpadli z wizytą. - Odparł Greyson. - I wyskoczyli na drinka ze mną i moją... przyjaciółką.

Tera popatrzyła na braci, potłuczonych i umazanych krwią, na Greysona w rozdartej i pomiętej koszuli, i w końcu na Megan, której ledwie udało się zamknąć buzię.

- Rozumiem.

Greyson klasnął w dłonie.

- No, to chyba by było tyle. Jeszcze raz wielkie dzięki za pomoc, ale zapewniam, że sami sobie poradzimy z chłopcami. Nie musisz się obawiać, że sytuacja się powtórzy.

- Poradzimy sobie? Kto... - Zaczął Maleficarum, ale Malleus szturchnął go w bok, zanim dokończył.

Tera się uśmiechnęła.

- Oczywiście. Jestem pewna, że wasz szef załatwi tę sprawę.

- Super. - Greyson wziął ją pod rękę i chciał odprowadzić do drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Jest tylko jedna, jedyna rzecz. Popraw mnie, jeśli się mylę, a prawdopodobnie tak jest, ale czy nie jesteś zobowiązany informować nas, ilekroć udzielasz osobom postronnym informacji o naszym świecie? - Wzruszyła ramionami. - Pytam na wszelki wypadek, oczywiście. Przecież na pewno wiesz więcej niż ja o rozporządzeniach demonów. W końcu jesteś prawnikiem i w ogóle.

- To szczególnie przypadek, Tero...

- To na pewno. - Mruknęła i machnęła ręką w sposób, który całkowicie przeczył jej słowom. - A ty nigdy, przenigdy nie postąpiłbyś wbrew zasadom.

- Przepraszam. - Odezwała się Megan. - Wolałabym, żebyście nie mówili o mnie tak, jakby mnie tu nie było. Zwłaszcza, że znajdujemy się w moim domu. Pan Dante mi pomaga, jest...

- Mniejsza o to. - Dante wypił drinka jednym haustem, popatrzył na butelkę i zaraz sobie dołał. - Tero, domyślam się, że jutro będziesz chciała się ze mną spotkać w twoim biurze. Będę koło dziesiątej, dobrze?

- Mam czas teraz. - Stwierdziła. - Mniej więcej za godzinę spotykam się z Lexie, ale w tej chwili jestem wolna. Chyba, że chcesz, żebym ją tu ściągnęła?

Greyson otworzył szerzej oczy.

- Nie, nie ma takiej potrzeby.

- W takim razie powiedz mi, co się dzieje, zanim się z nią zobaczę.

- Megan, Tera pracuje w Vergadering. - Dante chyba zobaczył zmieszanie gospodyni.

- Jesteśmy jakby wymiarem sprawiedliwości świata nadprzyrodzonego. Choć może raczej czymś zupełnie innym. - Wyjaśniła Tera.

- Aha. - Megan nie bardzo wiedziała, jak zareagować na tę najbardziej enigmatyczną informację, jaką kiedykolwiek usłyszała, włącznie ze strzępami wiadomości na temat demonów wyciągniętymi od Dantego.

- Pilnują, żeby nasze istnienie pozostało tajemnicą. - Wyjaśnił Greyson i podał Terze drinka. - To czarownice.

- Ach. - Na razie jej wkład w rozmowę był wręcz oszałamiający. I chyba będzie się dalej trzymała tej drogi. - I co? Będziesz nas dalej demaskował? W mojej obecności? Do czego to doszło, Grey! Daj mi jeden wystarczający powód, żebym nie rzuciła zaklęcia zapomnienia...

Greyson wodził wzrokiem od Megan do Tery i z powrotem.

- Może jest taki powód. Może mogłabyś nam pomóc.

Tera się roześmiała.

- O nie. Wiesz przecież, że nie współpracuję z demonami. W przeciwieństwie do mojej siostry.

Greyson odchrząknął.

- Ale z czarownicami tak, prawda? - Skinął głową w stronę Megan. - A ona potrzebuje pomocy.

Tera spojrzała na nią z nowym zainteresowaniem.

- To czarownica? Nie. Jest na to zbyt mdła. Popatrz tylko, jak jej się włosy kręca!

- Nie jestem czarownicą. - Powiedziała Megan. Chciała jeszcze dodać coś o włosach, ale postanowiła to przemilczeć. Nie dość, że to sprawa drugorzędna, to w dodatku prawda. Bardzo jej się kręciły.

Osobiste demony

- Masz zdolności parapsychiczne. - Odparł Greyson. - To prawie to samo.

Wszyscy wpatrywali się w nią. Megan miała wielką ochotę uciec do sypialni i zamknąć za sobą drzwi.

- Zdolności parapsychiczne? Naprawdę? Nawet tego nie poczułam.

- Ma mocną barierę ochronną. - Wyjaśnił Greyson.

Tera wstała.

- Pewnie tak. - Zmierzyła Megan wzrokiem, jej piwne oczy pojaśniały z ciekawości. - Dlaczego potrzebuje pomocy?

- Po prostu musi się nauczyć...

- Przepraszam. - Wtrąciła się Megan. - Mam tu coś do powiedzenia?

- Nie Musi się nauczyć koncentrować moc. Tero, mogłabyś jej w tym pomóc?

Czarownica nie odrywała wzroku od Megan.

- Grey, nie będę pomagała twojej rodzinie w szykowaniu sobie zgrabnej broni parapsychicznej. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle o to prosisz.

- Nie chodzi o nas. - Megan widziała, jak Dante toczy wewnętrzną walkę. Westchnął i dokończył: - Prowadzi audycję w radiu. Przedstawia się, jako Pogromca Demonów. Demony osobiste to usłyszały i....

- Uwierzyły?

Skinął głową.

- A nie możesz im po prostu powiedzieć, że to nie prawda?

Skrzywił się.

Tera westchnęła.

- Nie powiesz mi nawet, czy to w ogóle możliwe prawda? Nie rozumiem całej tej cholernej tajemnicy wśród was, demonów. Tak, jakbyście nie...

- Nie ufali Vergadering? Nie mieści mi się w głowie, dlaczego tak mogłoby być. A tobie?

- To było dawno temu.

- I nadal nie mamy przedstawiciela.

- Może, dlatego, że żaden z was nie jest z nami szczerzy i nie postępuje zgodnie z cholernymi zasadami.

Megan odchrząknęła.

- Przepraszam bardzo, możemy wrócić do tematu? Jeśli już chcecie mnie traktować jak kawałek mięsa, chciałabym przynajmniej być kawałkiem wartym zapamiętania.

- Czarownice i demony mają... długą historię. - Tera zerknęła na nią. - No, dobrze. Pomogę ci. Ale musisz się starać. Nie będę marnować czasu.

Megan skinęła głową.

Tera zwróciła się do Greysona.

- Jeśli się dowiem, że pracuje dla ciebie, w jakikolwiek sposób, wszyscy traficie do lochów. I jesteś mi winien przysługę. Tak załatwiacie sprawę?

Greyson uśmiechnął się, nie otwierając ust.

Tera odstawiła szklankę i sięgnęła po torebkę.

- Na mnie czas. - Powiedziała. - Megan, jutro wpadnę i umówimy się na pierwszą lekcję.

Wyszła, stukając obcasami i zostawiając Megan i demony w saloniku.

Greyson pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że to doceniasz, Megan. - Stwierdził. - Właśnie sprzedałem duszę, o ile ją mam, jednej z sióstr Green. A kiedy ostatnio zadałem się z jedną z nich... Co się dzieje?

Megan dzwoniło w uszach.

- Nie wiem. - Odparła. - Mam zawroty... - Jej uszy wypełnił śmiech.

Śmiech Arta Bellinghama.

Tak tylko wpadłem z wizytą. Powiedział, a jego słowa niosły się echem w jej głowie i zagłuszały każdą świadomą myśl. *Dobranoc, malutka Megan... Słodkich snów...*

Wizja stanęła jej przed oczami. Pokój, ten, który zobaczyła w umyśle Kevina, w jego śnie, gdy opisywał go w jej gabinecie... Pokój z mnóstwem drzwi w ścianach...

Ale teraz drzwi się otwierały.

Megan krzyczała, gdy śmiech Arta odbijał się echem w jej głowie.

ROZDZIAŁ 12

Od wiatru łzawiły jej oczy, ale nie zwracała na to uwagi. Chłodne, wilgotne powietrze przynosiło ulgę rozpalonej skórze.

- Odpręż się, uspokój i odpręż. - Głos Greysona wydawał się dochodzić z daleka, chociaż stał tuż obok i mocno opierał jej ręce na ramionach. - Oddychaj... Oddychaj głęboko...

- Był w moim umyśle. - Szepnęła. - Zaatakował mnie.

- Wiem.

- Miałam barierę ochronną, nie wiem, jak mu się to udało. Dlaczego on może to robić, a ja nie?

- Uspokój się. - Greyson puścił jej ramiona, wziął ją za lewą rękę i wyprowadził z tarasu do małego ogródka. Sztywna trawa szeleściła pod butami.

Wrzesień z dnia na dzień przynosił coraz bardziej jesienną aurę. W powietrzu unosił się zapach nadchodzącej zimy. Zadrzała.

Z domu docierały stłumione głosy Malleusa, Maleficarum i Spuda, którzy oglądali telewizję. Najwyraźniej byli fanami oper mydlanych. Ich zwyczajne zachowanie, obecność Greysona i krótki spacer pomogły jej odzyskać równowagę.

Zatrzymali się przy kępie drzew - zbyt małej, by nazwać ją lasem czy choćby zagajnikiem - która oddzielała jej posesję od sąsiedniej posiadłości.

Właśnie drzewa i poczucie odosobnienia skłoniły Megan do zakupu tego domu pod koniec minionego roku. Teraz żałowała, że nie zdecydowała się na apartament na ogrodzonym osiedlu z basenem, pełnym pochmurnych nastolatków i emerytów, nieznoszących się wzajemnie.

Na prawo od niej, w rogu działki, stała szopa. Ta sama, w której Greyson spalił zombie.

Podążył za jej spojrzeniem.

- Nic tam nie ma. - Powiedział. - Przysięgam.

- Wierzę ci.

Objęła się ramionami i spojrzała w górę, na ciemne chmury na niebie.

Chciało jej się płakać. Zwinąć się w kłębek pod kocem i sprawić, żeby wszystko zniknęło. Chciałaby wrócić do domu, do rodziców, ale nie miała, dokąd. Już dawno dano jej jasno do zrozumienia, że jedyny dom to taki, który sama sobie stworzy.

Teraz nawet tutaj nie czuła się bezpiecznie.

- Wiesz co, Meg? Nie ma nic złego w tym, że się boisz.

- Naprawdę? - Z całej siły wbijała paznokcie w ramiona, żeby go nie uderzyć. - Coś takiego. I to ma mi pomóc? Naprawdę myślisz, że stoję tu i martwię się, że pomyślisz, że się boję?

Ledwie to powiedziała, zdała sobie sprawę, że właśnie tym się martwiła. Że chociaż bardzo się bała, nie chciała się przed nim do tego przyznać. Ta świadomość rozgniewała ją jeszcze bardziej.

- Nie, tylko pomyślałem, że...

- Że co? Że tak bardzo się przejmę strachem, iż nie zauważę, że nie odpowiedziałeś na żadne z moich pytań? Nadal nic nie wiem o demonach osobistych. Myślałeś, że się nie zorientuję? - Jej krzyki spłoszyły stado ptaków na pobliskim drzewie. Wzbiły się w powietrze z trzepotem skrzydeł, aż liście posypały się na ziemię.

- Mów ciszej.

- No i nie mam pojęcia, co chcesz uzyskać. Nie jestem głupia. Wiem, że masz jakiś cel. Wyjaśnisz mi to?

- Próbowałem...

- Nie wciskaj mi kitu, że próbowałeś, bo tylko patrzyłeś z wyższością, uśmiechałeś pod nosem i świetnie się bawiłeś. Może nie?

- Gdybyś mogła...

- Nic nie mogę, ale na pewno nie będę potulna i nie pozwolę ci...

Jego wargi zatrzymały potok słów, ciepłe i twarde. Przyciągnął ją do siebie.

Pierwsze, co zauważyła, to gorąco jego dłoni na jej twarzy i twardość jego ciała przy jej ciele. Drugie - to, że smakował szkocką whisky, pachniał drewnem i wanilią.

Trzeciego spostrzeżenia nie było. Tonęła w doznaniach, które jego wargi wywoływały w zakończeniach nerwowych. Jej ciało stało w ogniu, jakby podpalił ją jednym ruchem.

Przyciągnął ją do siebie, obejmował lewą ręką, prawą wplątał w jej włosy.

Nie wiedziała, kiedy oplótła go ramionami, ale po czuła pod palcami sgaegas między jego łopatkami.

Jego język wsunął się między jej zęby, odnalazł ją. Zaskoczył ją nagły przypływ mocy, którą poczuła, gdy ich języki się dotknęły. Płonęła w jej żyłach, rozpalona do białości, napełniała jej ciało światłem, gromadziła się między jej udami. Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że oboje świecą. Że otaczające ich drzewa płoną i że zobaczy to, ledwie otworzy oczy.

Zrobiła to, gdy się od niej odsunął.

- Mogę mówić? - Jego głos był normalny, ale miał przyspieszony oddech.

Wyprostowała się i uniosła głowę.

- Ja cię nie powstrzymuję.

Przyglądał się jej przez chwilę.

- Słucham. - Powiedziała.

- Tak, tak... ja po prostu... Zastanawiam się, od czego zacząć. - Ponownie wsunął ręce do kieszeni i ruszył z miejsca. Bez bliskości jego gorącego ciała znowu było jej zimno. Wiatr ją owiewał, znajdował mikroskopijne szpary w splocie tkaniny i chłodził rozpaloną skórę.

Westchnął.

- Chodzi o to, że... My, demony, nie jesteśmy tacy jak ludzie.

- Też mi nowina!

- Daruj sobie złościwości. Po prostu nigdy nie musiałem tego tłumaczyć... Nie miałem pozwolenia. Słyszałaś, co mówiła Tera. Coś takiego może mnie wpakować w nie lada tarapaty.

- Z tym całym Verga... vergera...?

- Vergadering. Tak. To ciało nadzorcze istot nadprzyrodzonych. Nie spodoba im się, jeśli nas przyłapią na takiej rozmowie. Moim pracodawcom też nie. Ani innym demonom, czarownicom czy Fae. Choć akurat oni nie mają z tym nic wspólnego. I nie dotyczy ich

władza Vergadering, podobnie jak wilkołaków, wampirów i kilku innych gatunków.

- Wilkołaków i wampirów? Chcesz mi powiedzieć, że wampiry istnieją naprawdę?

Zatrzymał się.

- Wierzysz w demony i czarownice, ale wampiry zmyślam?

- Racja.

- Vergadering nie przepada za demonami. To wszystko czarownice i postrzegają nas, jako drugorzędne istoty, gorsze od nich. Kilkaset lat temu usiłowali nas wytępić, słyszałaś, wspomniałem to w rozmowie z Terą...

- Klóciliście się o coś, co miało miejsce przed wiekami. Zachowywałeś się, jakby to było w zeszłym miesiącu.

- Chcesz posłuchać czy nie?

- Tak.

- Więc bądź cicho. Dla nas czas płynie trochę wolniej. A poza tym przecież nie jest tak, że wy, ludzie, nie wypominacie sobie historii. Rzecz w tym, że Vergadering bardzo chce owinąć nas sobie dokoła tłustego magiczno palucha. Ale my opracowaliśmy nasz własny zbiór zasad i standardów. Staramy się obchodzić ich przepisy. Na początku XIX wieku, według twojej rachuby czasu, powstały Meegra. Rodziny.

- Więc jesteście jak mafia?

- Nie, nie. - Pokręcił głową. - To nie... No, dobra. W pewnym sensie. Ale to nie jest organizacja przestępcza, jako taka. Dzięki niej sami dbamy o nasze sprawy i trzymamy Vergadering najdalej, jak to możliwe. Zimno ci?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim zdała sobie sprawę, że zadał jej pytanie i oczekuje odpowiedzi. Skinęła głową.

Wykonał ruch dłońmi. Z jego palców spłynęły płomienie, jaśniały pomarańczowo w ciemnościach i zawisły kilka centymetrów nad ziemią.

Kolejny ruch jego ręki i płomienie skoczyły w górę. Były jak prawdziwe ognisko, tyle, że bez polan. Ciepło pieściło jej nogi.

Usiedli. Od ziemi ciągnął chłód, ale ogień Greysona rekompensował to z nawiązką. Miała wrażenie, że siedzą przy obozowym ognisku i opowiadają sobie historie o duchach. Taniec

płomieni ją uspokajał. Czowała, jak coś w jej wnętrzu się odprężyła, gdy wpatrywała się w zmieniające się kolory i kształty.

Nawet cienie, które ogień wyczarował wśród pobliskich drzew, nie były tak groźne, jak jej się wydawało jeszcze przed chwilą.

Zrozumiała teraz, dlaczego człowiek pierwotny tak bardzo chciał okiełznać ogień. Ogień to bezpieczeństwo. Kruche bezpieczeństwo, to prawda, bo przecież sam w sobie jest niebezpieczny i przerażający. Ale fakt, że siedzi przy małym, kontrolowanym płomieniu, takim jak ten, dawał wrażenie, że udało się pokonać żywioł, choćby na krótko.

Popatrzyła na Dantego z większym respektem. Nie tylko, dlatego, że ją pocałował. Jej żołądek drgnął na samo wspomnienie. Także dlatego, że umiał zrobić coś, co nigdy nie udało się żadnemu człowiekowi. Panował nad żywiołem, energia ulegała jego woli. Wcześniej, w jej pogodnym, jasnym domku nie dotarło to do niej w pełni. Tutaj... Tutaj ogień był życiem.

- Gapisz się na mnie. - Jego głos wydawał się utkany z dymu, niski, ochryply. Zastanawiała się, czy widzi jej zainteresowanie z taką łatwością, z jaką ona dostrzegała odbicie płomieni w jego oczach. Coś jej mówiło, że tak.

- Przepraszam. - Odwróciła wzrok.

Odczekał chwilę, a gdy się nie odezwała, podjął przerwany wątek.

- No, więc mamy nasze Meegra. I tak, walczymy o władzę, ale nie taką, o jakiej myślisz. Pamiętasz, jak wczoraj zapytałaś mnie o Boga i dusze?

Skinęła głową.

- Pieniądze są ważne, umiejętności też. Ale my, no cóż, zbieramy też dusze. Nie tak, jak myślisz, jednak... zależy nam na... kontroli nad ludźmi. Widzisz, moc Meegra mierzy się w liczbie posiadanych ludzi.

- Posiadanych? - Chłód wrócił. Czy postrzegał ludzi, jako... stworzenia istniejące po to, by wypełniać jego wolę?

- Powiedzmy, że jesteś dyrektorem dużego przedsiębiorstwa. Twoja wartość to nie tylko suma zarobionych pieniędzy, ale też rozmiar imperium na świecie, prawda? U nas jest tak samo. A jeśli uda nam się nieco... urozmaicić ludzkie życie, zyskujemy siłę. Moc. Szacunek. Nie patrz na mnie w ten sposób, Megan. A co myślałaś? Że

czym się zajmują demony? Prowadzimy lekcje gotowania i kółka krawieckie? Uprzykrzanie ludziom życia to sens naszego istnienia.

Pokręciła głową.

- Ja próbuję im pomóc, a wy chcecie ich krzywdzić.

- To, co my robimy, jest fajniejsze.

- Więc dlaczego mi pomagasz?

Umilkł.

- Bo wpakowałaś się w coś, w co nie powinnaś. I nie powinnaś w to dalej brnąć.

- I to wszystko? - Niemożliwe. Przecież dopiero, co jej powiedział, że demony kolekcjonują ludzi, prawda? Tera nazwała ją bronią. Greyson stwierdził niedawno, że ktoś z jej zdolnościami byłby postrzegany jako zagrożenie. Może chciał ją zwerbować?

- Do tego na początku dałaś nam słowo, pamiętasz? Obiecałaś nie przyjmować innych ofert. Jesteśmy żywo zainteresowani tym, żebyś nie skończyła u Bellinghama. To zepsułoby nasz wizerunek.

- Nie skończę u niego.

- Musi wyglądać tak, jakbyś była po naszej stronie. Dopilnowanie tego to część mojego zadania.

Kiedy mówił, wyrywała źdźbła, darła wąskie umierające liście między palcami. Teraz dotknęła nagiej, stwardniałej ziemi. Zacisnęła pięści i skrzyżowała ręce na piersi.

- Rozumiem. - A więc to interesy, zwyczajne interesy między demonami i nią. Wielu ludzi całowało swoich współników w interesach tak mocno, że aż drżeli. - Będę ci winna przysługę? A jeżeli odmówię?

- Może nie. Może to będzie coś, czego sama pragniesz.

- Nie dołączę do twojej rodziny i nie zostanę demonem.

- Wcale cię o to nie proszę. - Blask ognia tańczył na jego wykrzywionej twarzy.

Zapanowała krępująca cisza. Nie, nie prosił, by dołączyła do jego rodziny. Nawet nie zaprosił jej na randkę, a tu ona mu mówi, że za niego nie wyjdzie. I pomyśleć, że czasami się zastanawiała, dlaczego wciąż jest sama.

- Mam pytanie. - Powiedziała, chcąc zmienić temat. - Jaki jest mój?

- Słucham?

- Mój demon.

Teraz to on zajął się trawą.

- Nie mówiłem ci? - Dwa dni temu może nabrałaby się na wystudiowaną swobodę w jego głosie. Ale nie teraz.

- Nie, nie mówiłeś.

- A myślałem, że tak.

- Gra na zwłokę nic nie da. Co przede mną ukrywasz?

- Nie masz go.

- Słucham?

- Nie masz go. Jesteś jedyną osobą na świecie, która nie ma osobistego demona. Dziwne. Nie jesteśmy pewni, jak do tego doszło, ale tak jest. Nie masz osobistego demona.

- Ale ja... - Prawie odgryzła sobie język. - Nie wierzę ci.

- Jednym nie jestem na pewno. - Powiedział głosem tak zimnym, że aż zadrżała. - Kłamcą.

Wpatrywała się w niego. Wycofał się.

- W każdym razie, nie w takich sprawach.

- Wcześniej mi tego nie powiedziałeś.

- Nie pytałaś.

- Pominięcie prawdy to też kłamstwo.

- A co to za różnica, Megan?

- Powinieneś był mi powiedzieć. - Wstała. Nie chciała z nim być, nie chciała nawet na niego patrzeć. Z dała od jego ognia zimny wiatr przeszył ją na wylot. - Nie powinieneś czekać, aż zapytam.

- Miałem nadzieję, że nie zapytasz.

Wyciągnął do niej rękę, ale się odsunęła.

- To dlatego nie możesz im powiedzieć, że nie stanowią zagrożenia? Bo nic ich ze mną nie łączy?

Skinął głową.

- Przez to jesteś bardzo silna. Im coś rzadsze, tym cenniejsze, prawda?

- A dla ciebie? Jestem dość rzadka, żeby być cenna?

Otworzył usta, zamknął. Tym razem zdołał ją złapać, ale wyrwała mu się i zawróciła do domu. Cokolwiek chciał powiedzieć lub zrobić, nie była na to gotowa.

Podczas studiów dla zabawy schowała notatki koleżanki. Dziewczyna była strasznie wredna, ale bez notatek mało brakowało, a oblałaby egzamin.

Nikt nie zmusił Megan, żeby to zrobiła. Działała z własnej woli.

Kiedyś, podczas zakupów, zobaczyła, jak inna kobieta wzięła z półki ostatni egzemplarz DVD, który chciała kupić, i włożyła do swojego wózka. Kiedy tamta się odwróciła, Megan złapała DVD i pognąła do kasy, żeby je kupić. Jej własny wybór.

Podobnie jak wszystkie inne grzeszki i wykroczenia codziennego życia - miejsca do parkowania sprzątnięte komuś sprzed nosa, banknot pięciodolarowy podniesiony z ziemi i schowany do kieszeni, groźne spojrzenia pod adresem powolnych kierowców...

Większość z tych wyborów jej nie martwiła. Czasem trafił jej się jakiś sporadyczny wyrzut sumienia. Teraz... teraz wiedziała, że każdy człowiek ma demona, który każe mu robić złe rzeczy albo do nich zachęca. Każdy inny był dobry, a jedynie ona naprawdę zła? Czy dlatego nie ma własnego demona?

Greyson, niech go szlag, zdawał się wiedzieć, jakim torem idą jej myśli.

Dogonił ją, położył rękę na ramieniu.

- Nie jesteś złą osobą, Meg.

- A skąd to wiesz, do cholery? - Chciała mu uwierzyć tak bardzo, aż bolało. Ale nie mogła. Okłamał ją, nie powiedział o tym, że nie ma osobistego demona. Miała wrażenie, że znalazła się na środku ogromnego jeziora i nie może się dostać do brzegu. - Co ty w ogóle wiesz o ludziach? I niby, dlaczego twoja dobra opinia ma cokolwiek znaczyć? Jesteś demonem. Czynisz zło dla zabawy. Po to żyjesz. Wykorzystujesz ludzi, mieszasz im w głowach, sam to przyznałeś. Jakim prawem mnie oceniasz?

Pożałowała tych słów, ledwie je wypowiedziała. Ale nie mogła się zdobyć na to, żeby go przeprosić. Stali tak, a wiatr hulał między nimi jak niewidzialna gniewna bariera.

W końcu Greyson się odezwał.

- Chcesz, żebym zabrał chłopców, gdy będę wychodził?

- Nie.

Uniósł brwi.

- Jestem niezależna, nie głupia. Zdaję sobie sprawę, że potrzebuję fizycznej ochrony. - Chociaż właściwie nie była pewna, po co. Czy taka małostkowa, wredna dusza jak jej jest warta ratowania?

Owszem. Bez względu na to, jak się czuła, nie chciała umierać. Po prostu będzie się musiała bardziej postarać. Być lepsza, miłsza.

Westchnęła.

- Słuchaj, przepraszam, chyba przesadziłam. Ale to jest stresujące i nie bardzo wiem, jak mam na to wszystko reagować.

- Rozumiem.

Stali tak niezgrabnie przez kolejną minutę. Głosy braci śpiewających na całe gardło stanowiły surrealistyczny podkład dla ich samotności.

- Może się czegoś napijemy? To nas rozgrzeje. - Powiedziała w końcu.

Pokręcił głową.

- Czas na mnie. Rano muszę spotkać się z Terą, a po wczorajszej nocy jestem bardzo zmęczony.

- Oczywiście. - Pożegnał się z Malleusem, Maleficarum i Spudem uprzejmie jak zwykle, ale Megan zauważyła ich ciekawe spojrzenia. Postanowiła je zignorować.

Pieprzyć Greysona Dantego. I tak za nim nie przepada. Cholerny demon.

Nawet nie jest człowiekiem. Co ona sobie myślała? To, że jego wygląd poruszył w niej coś, co głęboko ukryła, to, że jego pocałunek sprawił, iż poczuła, że odnalazła coś, co dawno utraciła, nie znaczy, że do siebie pasują.

Ani że Dante jej się podoba. No dobrze, podoba w innym sensie niż ten, który się zaczynał i kończył w łóżku. Jakkolwiek było, jest człowiekiem, a minęło sporo czasu, odkąd ostatnio z kimś była.

- Nie żeby zasłużył na przyjemność, ale ona - owszem. Tak czy owak, do niczego nie dojdzie. Ani teraz, ani kiedykolwiek. I następnym razem, gdy zechce ją arogancko pocałować, będzie czekała z pięściami. Albo przynajmniej będzie gotowa, żeby się odsunąć i powiedzieć „nie”.

Malleus, Maleficarum i Spud patrzyli na nią. Zdała sobie sprawę, że wpatruje się w zamknięte drzwi wejściowe, jakby siłą woli chciała

je zmusić, żeby otworzyły się ponownie. Pokręciła głową i spojrzała na nich.

- Gdzie chcecie spać? Mogę pościelić łóżko w pokoju gościnnym, myślę, że dwóch z was się tam zmieści, jeśli nie macie nic przeciwko temu... A trzeci... - Jeszcze nigdy nie miała naraz tylu gości. Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie miała żadnych gości. - Może na kanapie?

- Nie trzeba, pani. - odparł Malleus. - Śpi tylko jeden z nas. Łóżko w pokoju gościnnym wystarczy. Dwóch będzie czuwało.

Wizja dwóch olbrzymów nad jej łóżkiem, przyglądających się, jak śpi, zatańczyła w głowie Megan jak wypełnione alkoholem cukierki.

- Czuwało? Gdzie?

- Jeden z nas tutaj, jeden w twojej sypialni, pani. Będziemy się zmieniać.

Jak to ująć delikatnie?

- Robię się nerwowa, kiedy ktoś mnie obserwuje, gdy śpię.

Zaskoczenie nie sprawiło, że ich pomarszczone twarze z perkatymi nosami stały się ładniejsze.

- Nie pozwolimy ci spać samej, pani. Pan Dante nie byłby z tego zadowolony. - Oznajmił Maleficarum.

- Może zostawię otwarte drzwi? - Nawet, gdy to mówiła, wiedziała, że to kiepski pomysł. Zwiesiła ramiona. - No dobrze, ale pozwolicie mi przynajmniej skorzystać samej z łazienki?

Ustąpili i, po przeprowadzaniu rewizji w pomieszczeniu, pozwolili jej umyć zęby. Włożyła najstarszą, najskromniejszą koszulę nocną, ohydę z flaneli z wysokim kołnierzykiem, po kostki. Ostatnią osobą, która ją w tym widziała, był jej chłopak. Uważał, że to przezabawne i zawsze, gdy ją wkładała, nazywał ją Jane Eyre. Nie żeby często ją nosiła.

Nawet przykryta po szyję widziała, jak bracia odwracają wzrok, więc włożyła też szlafrok. Było za ciepło na taki strój i spociała się jak mysz, zanim miała dość nudnej nocnej telewizji i poszła spać.

Sen nie nadchodził. Jeden z demonów kręcił się po pokoju. Naciągnęła kołdrę na spoconą głowę. Wiedziała, że strażnik stara się okazywać jej maksimum szacunku, ale i tak jego obecność wprawiała ją w zakłopotanie.

W sumie jednak, czym jest kolejna niewygodna? W ciągu ostatnich dni debiutowała na antenie radiowej, zaatakowana przez zombie, poznała kilka demonów i czarownicę, widziała wiele innych demonów, zawieszono ją w pracy, a ktoś lub coś, co wydawało się czystym złem, zrobił wyłom w jej barierze psychicznej. Na samą myśl o tym przeszył ją zimny dreszcz.

Dowiedziała się też, że cała reszta ludzkości ma coś, czego ona nie ma i głowa jej pękała, ilekroć usiłowała zrozumieć, co to oznacza.

Najgorszy ze wszystkiego był mail, który dostał Brian Stone. Po tylu latach... Myślała, że już nigdy więcej nie natknie się na nazwisko Harlana Troopera, nigdy więcej nie zobaczy jego twarzy, nie usłyszy w głowie jego głosu. Nawet teraz jakaś część jej mózgu nie pozwalała tego wspominać.

Wszystko było niewyraźne, zamazane jak przed laty, zanim udało jej się zepchnąć to gdzieś głęboko na dno umysłu. Perspektywa opowiadania o tym, powrotu do przeszłości przyprawiała ją o dreszcze. Poczula się pusta wewnątrz.

A Brian? To przyjaciel czy wróg? Nie miała pojęcia. Tym bardziej nie wiedziała, po której stronie stoi Greyson Dante. Ale czuła, że jej wargi wciąż drżały.

ROZDZIAŁ 13

- Nie, nie do domu, do gabinetu! Nie rozumiem, po co panu mój domowy... - Urwała, gdy rozmówca na drugim końcu linii telefonicznej, rodzimy użytkownik języka angielskiego, który zachowywał się, jakby jej w ogóle nie rozumiał, po raz kolejny poprosił o jej adres domowy.

- Daj mi telefon.

Megan podskoczyła. Jeden z chłopców zapewne wpuścił Greysona, bo nawet nie usłyszała, kiedy pukał. O ile pukał. Może zadzwonił na jeden ze lśniących czarnych telefonów komórkowych, które wszyscy mieli. Bardzo ich rozbawił fakt, że Megan nie ma komórki.

Spiorunowała go wzrokiem i się odwróciła.

- Proszę posłuchać, niech ktoś od pana spotka się ze mną dzisiaj, później. Wyjaśnię dokładnie, gdzie ma być izolacja dźwiękowa i... Nie! Dlaczego pan mnie nie słucha?

- Daj mi telefon.

Świetnie. Jeśli Greyson chce się bawić w bohatera, proszę bardzo. Podała mu słuchawkę.

Rozłączył się.

- Ejże! Czekałam na połączenie z...

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle zawracasz sobie tym głowę. Załatwimy to.

- Co? - Wołała sobie nie wyobrażać współników, którzy jak marionetki tańczą tak, jak im zagrają demoniczni władcy.

- Jak?

Uniósł brew.

- Jak to? Sprzątniemy twoich współników. A co myślałaś? Meegra ma najróżniejszych pracowników. Wyślę jednego z naszych

ludzi, żeby zrobił tę izolację akustyczną. Mogę ci również znaleźć recepcjonistkę.

Kusząca propozycja, tak bardzo, że musiała ugryźć w język, żeby mu nie podziękować. Problem w tym, że... Sama nie do końca umiała to określić.

Wiedziała tylko, że nie chce, żeby Greyson i jego klan demonów przejęli kontrolę nad zbyt dużą częścią jej życia.

Nie chciała być jego dłużniczką.

I choć z największą przyjemnością przekazałaby to zadanie komuś, kto załatwiłby to jednym ruchem arystokratycznej dłoni, nie mogła tego zrobić. Kto wie, czego będzie chciał w zamian?

Podniosła słuchawkę z widełek, odwróciła się do niego tyłem i wybrała kolejny numer z książki telefonicznej.

Ta firma wydawała się przynajmniej rozumieć, czego potrzebowała. Zgodzili się na spotkanie z przedstawicielem w gabinecie Megan, w piątek.

Westchnęła. Lepsze to niż nic.

- Pozwoliłaś nam wstawić okno. - Zauważył Greyson, gdy odłożyła słuchawkę.

- To co innego.

- Czyżby?

- Tak, bo okno... Mniejsza o to. To co innego i już. Okno musiałam mieć natychmiast. Izolacja akustyczna może poczekać kilka dni.

- Jak chcesz.

- Właśnie tak. - Posłała mu niepewny uśmiech, z nadzieją, że może postanowił, jak ona, puścić w niepamięć urazy.

Wyszczrzył się do niej.

- Nie mogę długo zostać. Wpadłem tylko dowiedzieć się, jak było wczoraj wieczorem.

Te słowa sprawiły, że poczuła się jeszcze gorzej, czy raczej poczułaby się, gdyby mu uwierzyła. Coś jej podpowiadało, że nie jest z nią do końca szczery. I nie były to jej zdolności, bo przecież nie mogła czytać Greysona.

Skoro sam jej tego nie powie, musi to z niego wyciągnąć.

- Jak poszło spotkanie z Terą?

- Z Terą? Świetnie. Jestem jej winien kilka przysług, a to zawsze wielka przyjemność. - Skrzywił się. - Chciałaby się spotkać z tobą jak najszybciej. Moim zdaniem, i tu się ze mną zgadza, nie mamy dużo czasu. Oboje chcielibyśmy nauczyć cię jak najwięcej.

- Jak to, niewiele czasu? Ja...

- Nie mogę zostać. - Powtórzył. - Później porozmawiamy. Tera wpadnie około czwartej, później zabieram cię na kolację. Może na kilka godzin uda nam się pozbyć Stone'a.

- I tak gotuję w domu. Obiecałam chłopcom, że im zrobię paszteciki z mięsem.

- Mnie nie zaproponowałaś domowego posiłku.

- Bo ty nie wyszorowałaś mi wanny, nie umyłaś samochodu i nie wyprałaś mebli, gdy spałam. Uznałam, że przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Posprzątałam, gdy byłaś w szpitalu.

- Owszem. I wykonałaś kawał dobrej roboty, ale przy okazji wypięłaś też sporo mojej whisky.

- Proszę, proszę. - Mruknął. Mówił poważnie, ale jego uśmiech był szczery. - Uprzejma pani domu nie wypomina gościowi takich rzeczy.

- Uprzejmy gość nie narzeka, że dostał za mało.

- Hm... - Podszedł bliżej, na tyle, że poczuła cudowny zapach jego wody kolońskiej. Z ciemnych oczu strzeliły iskry, gdy napotkał jej niebieskie spojrzenie. - Nie narzekam, skądże, ale chciałbym czegoś więcej.

Jej żołądek fiknął salto, ale się wycofała.

- Jeśli chcesz, możesz zjeść z nami.

Błysk w jego oczach zdradził, że nie dał się nabrać. Widział jej reakcję i wiedział, co oznaczała. Ale pozwolił, by jej to uszło płazem.

- Jasne. O której mam po ciebie przyjechać?

- Koło siódmej trzydzieści? - Zignorowała skurcz serca, gdy nie nalegał.

Wcale nie chciała, żeby znowu ją pocałował. Nie chciała, żeby sprawy posunęły się dalej. Przecież mu nie ufa, prawda?

- A więc do zobaczenia. - Powiedział i poszedł pogadać z chłopakami, zanim skończyła sobie wmawiać, że wcale nie jest zainteresowana.

Brian włączył dyktafon i postawił go na ławce między nimi. Nie chciała spotkać się z nim w restauracji, bo stwierdziła, że posiłki w miejscach publicznych nie sprawiają jej już przyjemności. Ciągłe jej się wydawało, że widzi demony na ramionach innych gości. A czasami i kiedy te stwory akurat miały taki kaprys - naprawdę je widziała. Zresztą, kto wie, co demony podpowiadają szefom kuchni? Zadrżała. Wystarczy, że martwi się demonem Briana, nie chciała jeszcze myśleć o innych.

- Wiem, że nie masz ochoty o tym rozmawiać. - Zaczął Brian. Zauważył jej wstręt, ale opacznie rozumiał jego powody. - Ale ustaliliśmy, co innego. Tylko ty możesz mi powiedzieć, co się wtedy stało.

Megan skinęła głową.

- Wiem.

Zacisnęła zęby, wyczuwając napięcie między nimi. Gdzie się podział pogodny, interesujący Brian, z którym tak dobrze się bawiła w restauracji zaledwie kilka dni temu?

Teraz na ławce siedział z nią nieznajomy. Przeprosił - zrobili to oboje - ale wciąż wątpiła, żeby udało im się powrócić do tamtej beztroski. A szkoda. Dobrze mieć przyjaciela, który znałby jej tajemnicę i rozumiał problemy.

- Posłuchaj, Megan. Przepraszam za wczoraj. Musisz na to spojrzeć z mojej strony. Wszelkie wątpliwości przemawiają na twoją korzyść, bo... no cóż, bo wydaje mi się, że jesteś dobrym człowiekiem.

- Doceniam to.

- Ale w przeszłości już nieraz się pomyliłem, w tej sprawie muszę postępować jak dziennikarz, rozumiesz. To moja praca.

- Jasne.

- Wciąż wydajesz się oschła.

Słabe jesienne słońce rozjaśniało jego jasnobrązowe włosy, nadawało im odcień dojrzałej pszenicy. Przez to wydawał się niewinny, szlachetny jak mężczyzna z dziecinnym idealizmem.

Pokręciła głową. Nieważne, że przeprasza, nieważne, że postępuje honorowo, nadal jest reporterem i człowiekiem, który właściwie szantażem zmusił ją do rozmowy o najgorszym, co jej się

kiedykolwiek zdarzyło, człowiekiem, którego obecności w swoim życiu zdecydowanie nie chciała.

Przez cały ranek denerwowała się, co będzie, gdy Brian zechce porozmawiać z Malleusem, Maleficarum i Spudem. Albo, co gorsza, zapyta o Arta Bellinghama.

Dziwne, ale tego nie zrobił. Dlaczego? Myślała, że po incydencie na parkingu będzie dociekał, co się tak właściwie stało, ale nie. Sprawdził Dantego w Google'u, poszperał na jego temat i zaraz jej o tym powiedział. Czemu nie postąpił tak samo wobec Arta?

Może już wiedział, dlaczego Bellingham tam był?

Ale gdyby go zapytała i gdyby okazał się niewinny, zwróciłaby jego uwagę na tamto zajście. Cholera!

- A teraz w ogóle się do mnie nie odzywasz. - Brian westchnął i uderzył dłonią w opięte dzinsem udo. - Megan, ja...

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się, choć ledwie mogła zmusić mięśnie twarzy, żeby ułożyły się we właściwy grymas. - Masz rację. Ja... zamyśliłam się. Brianie, nic na to nie poradzę, że jestem trochę roztargniona. Wiesz, taki mam do tego stosunek, wiesz, że nie chcę tego robić. Staram się, wiem, że to nie twoja wina, ale...

Barwna plama w zagajniku pośrodku parku przyciągnęła jej uwagę. Głęboka, mroczna czerwień znikła za drzewami tak szybko, że nie widziała dokładnie, co to, ale coś ją zaniepokoiło.

Brian podążył za jej wzrokiem.

- Co jest?

- Ja... zdawało mi się, że coś widziałam. To pewnie nic ważnego. - Odwróciła się do niego i zaraz znowu zerknęła za siebie, bo dostrzegła coś kątem oka. Co to jest, do cholery?

Brian poruszył się, aż wiekowa drewniana ławka zaskrzypiała pod ich ciężarem. Megan była zdenerwowana i w jej uszach ten odgłos zabrzmiał jak trzeszczenie statku podczas sztormu.

- Co tam jest?

- Nie wiem. - Zerknęła na Malleusa, który stał na tyle daleko, że nie słyszał rozmowy. Maleficarum i Spud patrolowali okolicę. Malleus wydawał się niewzruszony, więc uznała, że to nieważne.

- Wróćmy do sprawy. Muszę wiedzieć, co się zdarzyło. Opowiedz mi wszystko, a przedstawię to w odpowiednim świetle.

Jeśli w ten sposób próbował zdobyć jej zaufanie, jego plan zawiódł.

Dlaczego tak bardzo chciał to usłyszeć? Dlaczego to takie ważne?

Zaczerpnęła głęboko tchu, spojrzała na dyktafon, żeby się upewnić, że nagrywa, i zaczęła:

- Miałam wtedy szesnaście lat.

Skinął głową.

- Znały go wszystkie dzieciaki. Harlan Trooper, tak się nazywał. - Zerknęła na Briana. - Przez jakiś czas, póki nie rozpił się na dobre, pracował, jako lodziarz, ale to nie był jedyny powód, dla którego go znaleźliśmy. Harlan to był miły facet. Niektórzy pijacy stają się wredni, prawda? On nie. Zawsze grzecznie przeproszał, gdy po pijaku na kogoś wpadł, zebrał o drobne na wściekłego psa czy tanią wódkę albo gdy ktoś go przydybał na buszowaniu w śmietniku w poszukiwaniu resztek. - Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

Smutne spojrzenie oczu, postrzępiona broda zakrywająca bladą, zapadniętą, kiedyś przystojną twarz... Nie myślała, że nawet teraz, po piętnastu latach, będzie tak trudno.

- W każdym razie wszyscy go znaleźliśmy. Podobnie jak większość dorosłych w miasteczku. To nie było miejsce, w którym pomaga się takim jak on, a może po prostu nikt nigdy tak naprawdę nie próbował, sama nie wiem. Było wielu takich, którzy częstowali go wódką dla zabawy. Mój ojciec zawsze strzelał z wiatrówki, gdy widział Harlana w naszym ogródku.

Brian wydał cichy odgłos. Spojrzała na niego.

- Wiem. Ale mój ojciec, on... to nieważne. Uważał, że Harlan jest, jaki jest, bo za bardzo go rozpieszczano. Chyba. Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Malleus stanął za nią. Słyszała, jak mówi coś cicho do pozostałych, ale nawet nie starała się rozróżnić słów. Tamta historia odżyła w jej wspomnieniach, wypełniała jej gardło słowami, których nie mogła wypowiedzieć dość szybko, jakby opowiadając o wszystkim, mogła wyzbyć się wspomnień, na dobre tym razem. Była zdumiona, że słowa przychodziły jej tak łatwo, więc mówiła coraz szybciej, przerażona, że znikną.

- Pewnej nocy byłam w centrum. Wymknęłam się z domu. Pewnie nie mogłam spać. Nie wiem. Harlan spał na ławce,

przynajmniej myślałam, że śpi, ale gdy podeszłam bliżej, zdałam sobie sprawę, że wygląda... dziwnie. Był blady i nieruchomy.

Nie chciała dłużej siedzieć na ławce. Nie chciała czuć pod sobą drewnianych desek i wspominać innych, zalanych krwią Harlana. Nie chciała sobie przypominać, jak usiadł i otworzył oczy. I jak coś, co wcale nim nie było, popatrzyło na nią z ich głębi... O Boże, co to było?

Zacisnęła powieki, usiłowała odepchnąć tamten obraz. Niby Harlan otworzył usta, odsłonił zęby ociekające krwią i powiedział...

Coś ją pchnęło, cisnęło na ziemię. Upadła z takim impetem, że na chwilę straciła oddech. Spud ją przygniatał.

- Co się... - Zaczęła. Umilkła, gdy Brian zaczął krzyczeć. Oderwała wzrok od zatroskanej twarzy Spuda i spojrzała w głąb zagajnika, gdzie Maleficarum i Malleus walczyli na trawie z czymś, co sprawiło, że na całym ciele dostała gęsiej skórki.

Nie widziała wielu szczegółów, wszystko działo się tak szybko.

Dostrzegła jedynie burą, cętkowaną skórę, jakby pokrytą siniakami. Zauważyła długie, ostre białe kły, gdy to coś otworzyło pysk. Krzyknęła, gdy zęby zbliżyły się do ramienia Maleficarum.

Park, kilka minut temu spokojny i bezpieczny, zmienił się w koszmarny krajobraz, gdy przyglądała się, jak dwa demony walczą z dziwną istotą, tarzają się po trawie, a ich krzyki, pisk napastnika i wrzaski Briana splatają się z warczeniem, które dobywało się z gardła Spuda, gdy dociskał ją do ziemi, przykrywając ją własnym ciałem.

Walczyła, chciała się uwolnić, pomóc Malleusowi i Maleficarum. Mięśnie ją bolały, gdy usiłowała zepchnąć z siebie Spuda.

Nawet na nią nie patrzył. Zesztywniał, odwrócił się, obserwował braci.

- Co to jest, Spud? Co to jest, na Boga? Puść mnie, chcę im pomóc! Co to jest?

Z ramienia Maleficarum krew płynęła w miejscu, gdzie istota wbiła zęby.

Malleus wymierzył cios. Kopnął z taką siłą, że słyszała, jak jego but uderza w czaszkę napastnika, ale stwór nie puszczał, powoli kręcił łbem, jak pies odrywający mięso od kości.

- Co tu się dzieje, do cholery? - Nie wiedziała, jak odpowiedzieć na pytanie Briana. Mogła jedynie bezradnie patrzeć, jak ramię Maleficarum bezwładnie dynda w powietrzu.

Malleus przestał kopać napastnika w głowę, teraz wymierzał mu ciosy pięściami, walił w brzuch. W końcu istota puściła Maleficarum. Megan widziała, jak krew, czerwona i straszna na tle błękitnego nieba, tryska szerokim łukiem.

Malleus skorzystał z okazji i wymierzył kolejnego kopniaka w brzuch.

Potwór odsunął się od Maleficarum i runął na ziemię.

Nie zdążyła nawet odetchnąć z ulgą, a już się zerwał z trawy i odwrócił w jej stronę. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieki, się jej przyglądał. Czuła, jak jej wnętrzności topnieją.

Spud spał się jeszcze bardziej i przesunął na nią. Był jak drut pod napięciem, drżał, gotów zaatakować, gdyby istota się zbliżyła.

Stworzenie miało ponad dwa metry, łuszczącą się czerwoną skórę i okropne, jarzące się białe ślepie. Jego głowę pokrywały kudłate włosy, a niemożliwie szerokie ramiona jaśniały w słońcu. Ręce zwisały mu do kolan, ale nie było w nim nic z niemrawości małych człekokształtnych - wydawał się przebiegły. Żyłasty i silny mknął ku niej przez trawę, otworzył paszczę i pokazał długie, wąskie kły poplamione krwią Maleficarum.

Znowu ryknął. Po chwili jego przenikliwe wycie niosło się echem wśród drzew i w jej głowie. Machinalnie odpowiedziała krzykiem. Przerazenie kazało jej wrzeszczeć ile sił.

- Megan? Co się dzieje? - Spojrzała na Briana. Zastygł na ławce w bezruchu. - Co się stało twojemu przyjacielowi?

Malleus zaatakował o sekundę za późno. Potwór już pędził z niewiarygodną szybkością, z rozwianymi włosami. Spud poderwał ją z trawy i wziął na ręce. - Co on robi? Megan, wszystko w...

- Biegnij, Brian! - Krzyknęła.

Potwór był już blisko. Brian wstał i ruszył w jej stronę. Był na drodze monstrum. Nie widział go, koncentrował się na Megan, przerażony i zainteresowany. Zdała sobie sprawę, że dziennikarz nie widzi napastnika, nie wie, że ten go zaraz staranuje...

Istota przemknęła przez Briana. Megan dostrzegła jedynie dwa splecione ciała, zanim znalazła się w powietrzu. Spud ją rzucił.

Wylądowała z bolesnym głuchym odgłosem kilka metrów dalej. Odwróciła się i patrzyła, jak Spud wbija kolano w bezwłose podbrzusze napastnika.

Okrzyki bólu i przerażenia Briana niosły się po parku, gdy napastnik jakoś wyplątał się z jego ciała. Dziennikarz osunął się na kolana, umilkł, a tymczasem Malleus dopadł potwora i zaatakował. Maleficarum podniósł się po upadku i ni to biegł, ni kulał w ich stronę. Prawą ręką kurczowo trzymał się za ranne lewe ramię.

Malleus, Spud i potwór poruszali się tak szybko, że trudno się było zorientować, co się dzieje. A ponieważ ich twarz pokrywała krew Maleficarum i ich własna, nie było do końca wiadomo, kto jest kim. Potwór ryczał, zadawał ciosy pazurami, kłapał zębami.

Upadli na ziemię, niedaleko miejsca, w którym Brian leżał jak nieprzytomny. Potwór się uwolnił i usiadł. Znowu wbił w Megan przenikliwe spojrzenie. Jej żyły skuł lód. Istota usiłowała wedrzeć się do jej umysłu, wślizgnąć tak, jak wąż zakrada się do ptasiego gniazda. Megan chciała mrugnąć, odwrócić wzrok, ale nie mogła. Za to poczuła, jak się cofa. Znalazła się między drzewami, własny oddech huczał jej w uszach. Nie chciała stąd odchodzić, nie chciała zostawiać ochroniarzy, ale nogi jej nie słuchały, kierowały się własną wolą.

Potwór patrzył jej w oczy tylko przez chwilę, potem Maleficarum złapał go od tyłu, przekręcił mu głowę i usiłował skrócić kark. Stwór sięgnął za siebie i olbrzymią owłosioną łapą ścisnął ramię ochroniarza. Maleficarum krzyknął.

To, co potwór zaszczepił w jej umyśle, kazało jej iść, z dala od demonów i zapachu potu, i krwi, z dala od walki, w stronę chłodnego, świeżego powietrza przesyconego zapachem sosen w innej części parku. W głębi duszy krzyczała i walczyła, ale jej ciało szło coraz dalej, krok za krokiem, aż stanęła w zaroślach nad małym stawem.

Tego dnia jego powierzchni nie przecinała nawet jedna łódka. Nie było słycać niczego poza krzykami braci i odgłosami uderzeń, aż szelest zwiędłych liści sprawił, że spojrziała w prawo i czar przysł.

A mimo to nadal się nie ruszała. Przed nią stał Don Tremblay z pistoletem w dłoni.

ROZDZIAŁ 14

- Odpręż się, Megan. - Powiedział z niesamowitym uśmiechem kota z Cheshire. - Nie będzie bolało, obiecuję.

Nie odwracając głowy, zerknęła w lewo. Walka chyba zbliżała się ku końcowi Maleficarum leżał na trawie, nieruchomy, ale Spud i Malleus młócili napastnika pięściami. Ich ciosy były niewyraźną plamą w powietrzu. Nigdzie nie widziała Briana. Usiłowała zająć lepszą pozycję, żeby lepiej widzieć i być widoczną. Liczyła na to, że któryś z braci dostrzeże jej jasnobrązowy sweter pośród drzew, na tle wody.

- Chyba mają pełne ręce roboty. - Don przechylił głowę na bok, jakby słuchał czegoś, co tylko on mógł słyszeć. - Kiepscy z nich ochroniarze, prawda? - Białka jego oczu świeciły na tle ziemistej, brudnej skóry.

Nawet z odległości kilku metrów wyczuwała jego zapach - ostrą, zwierzęcą woń potu i strachu, połączoną ze sporą dawką taniego piwa. Świeży zarost wypełził na jego brodę i policzki szarymi plamami jak grzyb. Widziała go poprzedniego dnia, wyglądał świetnie.

- Don, co się dzieje?

Ręka mu drgnęła. Megan krzyknęła i usiłowała się cofnąć, ale stanęła tak, że miała za plecami drzewo. Musiałaby odskoczyć na bok, gdyby chciała uciec.

Panika przyprawiała ją o dreszcze i zawroty głowy. Jeszcze nigdy żaden otwór nie wydawał jej się tak wielki jak lufa pistoletu.

- Nic mi nie jest. - Odparł, ale głos mu drżał. Patrzył błagalnie.

- Don. - Starła się mówić spokojnym, rzeczowym głosem, jakby wcale nie wymachiwał jej bronią przed nosem. - Posłuchaj, jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś silny. Nie musisz tego robić.

Przez moment myślała, że się udało. Z jego wzroku zniknął obłęd, a ręce przestały mu drżeć. Już opuszczał pistolet. Ale słowa, które

miały go uspokoić, wywołały odwrotny skutek. Jego oczy zapłonęły i znów wycelował do niej z pistoletu.

- Do cholery! Nie mów mi, co mam robić, a czego nie! - Warknął.
- Wiem, co robię! Nie mam wyboru, rozumiesz? Nie mam wyboru.

Uniosła rękę. Kątem oka wciąż widziała ruch. Kiedy to się skończy? Kiedy bracia pokonają to coś i zaczną jej szukać? I gdzie do licha jest Brian?

- Oczywiście, Don. - Głos jej zadrżał. Usiłowała przełknąć, ale zaschło jej w ustach. - Jesteś dobrym terapeutą, wiesz, że wszystko zawsze idzie ku lepszemu. Nie trzeba...

- Zamknij się! - Krzyczał. Łzy płynęły mu po twarzy, zostawiały ślad na szarej, spoconej skórze. - Nie wiesz, o czym mówisz. Uprzedzali, że tak postąpisz, powiedzieli... - Znowu przechylił głowę, jakby słuchał czegoś, co słyszał tylko on. Megan nie musiała się zbytnio wysilać, by wiedzieć, czyj to głos.

Jej tętno biło coraz mocniej. Prawie nie mogła oddychać. Powoli, ostrożnie, przesuwiała się w lewo. Gdyby mogła skoczyć za drzewo i pobiec, może uniknie kuli na tyle długo, że... Co właściwie? W okolicy nie było żadnego budynku, w którym mogłaby się ukryć. Nikogo, kto mógłby ją uratować. Nic.

Z tej odległości Don rozwalił jej serce w piersi, nawet nie celując.

- Przykro mi, Megan. - Głos mu zadrżał, ale pewnie trzymał w rękach pistolet.

Rzuciła się do przodu, podcięła go i przewróciła w tej samej chwili, gdy padł strzał. Jego echo niosło się wśród drzew i w jej głowie. Najgłośniejszy, najbardziej niesamowity dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała. Dzwoniło jej w uszach, ale słyszała krzyki dochodzące z miejsca, gdzie zostawiła braci.

Wsparła się na ramieniu, zacisnęła pięść i z całej siły trzasnęła Dona w twarz. Jej ramię przeszył ból. Krzyknęła. Pod nią Don się wiercił i trzymał pistolet bokiem, żeby zdzielić ją w głowę.

Spodziewała się tego, zablokowała jego cios ramieniem. Szarpnęła się w bok i przygwoździła sobą i rękę i broń. Przycisnęła je do ziemi.

Don wyrwał spod niej ramię, gdy poszła w ślady Spuda - złapała prześladowcę za barki i z całej siły grzmotnęła kolanem w podbrzusze.

Z krzykiem pociągnął za spust. Kula poszybowała w drzewa nad jej głową. Megan chciała wstać, ale złapał ją za nogę. Leżał na ziemi, zwinięty w pozycji płodowej, a jednak zdołał przewrócić się na brzuch i pociągnąć ją z powrotem na siebie.

Kopała na oślep, chciała się uwolnić. Nie dawał za wygraną, ale rąbnęła go w twarz. Sapnął.

Odwróciła się, złapała go za rękę z pistoletem, nie wiedząc, czy postępuje mądrze, czy idiotycznie, ale ze świadomością, że nie ma innego wyboru. Z nosa Dona tryskała krew, spływała mu po twarzy, plamiła ubranie, gromadziła się na ciemnej ziemi.

Wbiła jego dłoń w ziemię, wpiła w nią paznokcie. Skóra pękła. Z ranek sączyła się krew, parzyła ją. Don chciał jej się wyrwać, ale nie puszczał.

Wolną dłonią usiłował odciągnąć jej palce. Podrapała go znowu i na wszelki wypadek postawiła stopę na jego nadgarstku. Było jej niewygodnie, jednak w tej pozycji przygwaździła go większym ciężarem.

Oparł się na łokciu, trącił ją barkiem w kolana. Upadła i uderzyła w ziemię z takim impetem, że gwiazdy stanęły jej przed oczami. Po chwili stał nad nią z pistoletem w dłoni. Celował w jej głowę.

- Megan. - Wysapał. Szlochał. - Nie dają mi spokoju.

Potężne ciało skoczyło na Dona z drzewa, powaliło go na ziemię. Broń wypaliła. Pień za Megan drgnął, kawałki kory i drewna rozprysły się na wszystkie strony. Odkoczyła i wpadła prosto pod czyjeś silne, zakrwawione nogi Malleus wziął ją na ręce z taką łatwością, jakby podnosił dziecko, i wybiegł pomiędzy drzew. Jego ubranie wyglądało jak przemoczone do suchej nitki. Megan dotknęła jego piersi i spojrzała na swoją dłoń. Była czerwona od krwi, ale jego oddech wydawał się normalny.

Postawił ją koło ciała potwora, które leżało na zakrwawionej trawie. Brian siedział na ławce obok blejszego niż zwykle Maleficarum, który - dzięki Bogu - już nie krwawił. W każdym razie nie widziała tego.

Chwilę później z zarośli wybiegł Spud. Niósł pistolet w jednej dłoni i nieprzytomnego Dona Tremblaya przerzuconego przez ramię.

- Czy on... nie żyje? - Zapytała. Nie była pewna, jakiej odpowiedzi oczekiwała, ale odetchnęła z ulgą, gdy Spud przecząco pokręcił głową.

- Żyje, pani, nie obawiaj się. - Odparł Maleficarum, przyglądając się Donowi uważnie. - Usiądź i pozwól, że my się nim zajmiemy. I tym też. - Dodał, wskazując bestię na zakrwawionej ziemi.

Pociemniało jej przed oczami, gdy sobie uświadomiła, że już po wszystkim. Walka się skończyła, ona żyje... Don także. Ucieszyła się.

Zbierało jej się na mdłości. Chciała się odwrócić, ale nie zdążyła. Malleus poklepał ją po plecach.

- Lepiej, żeś to z siebie wyrzuciła, pani. - Powiedział z radością zaskakującą u kogoś, kto o mało nie zginął, zatłuczony przez dwumetrową bestię z piekła rodem. Z drugiej strony wczoraj też był szczęśliwy. Może to dla niego wyzwanie.

- Megan? - Jasne oczy Briana wydawały się olbrzymie w jego bladej twarzy. - Co tu się działo, do cholery?

A niech to!

Megan rzucała kawałki mięsa na rozgrzany tłuszcz. Rozkoszowała się tą prozaiczną czynnością, skwierczeniem tłuszczu i zapachem. Przewróciła mięso na drugą stronę - tam, gdzie dotykało powierzchni patelni, już się przyrumieniło.

Maleficarum, który siedział przy stole i zajadał ogromną kanapkę z prawie wszystkim z lodówki, pociągnął nosem i się uśmiechnął.

- Przypomina mi się kuchnia mamy. O, tak.

- Tak? Też wam robiła paszteciki wołowe?

Skinął głową.

- Ano. Co prawda nie wiem, czy to była wołowina. Na pewno mięso, ale może inne...

Megan nie drażyła tematu.

Bracia zaskakująco szybko doszli do siebie. Najwyraźniej to cecha demonów ochroniarzy. Nie byli jeszcze całkiem zdrowi, ale poruszali się bez bólu, a ich rany się zagoiły.

Megan zadrzała i odetchnęła głęboko. Paszteciki wołowe to nie lada wyzwanie i bracia nie oczekiwali, że po zajściu w parku spełni obietnicę, ale się uparła. Ugotuje smaczny posiłek dla gości, do cholery! Dokładnie tak, jak planowała.

Zmusiła ich, żeby zawieźli ją po zakupy, gdy policja w końcu pozwoliła im odejść z parku. Ciało demona nie było problemem, ponieważ nikt go nie widział, oprócz niej i braci. Don Tremblay też nie sprawiał kłopotów. Chętnie przyznał się do tego, co spróbował zrobić, płakał i błagał o przebaczenie. I otrzymał je od Megan, zanim zabrano go radiowozem - najpierw na posterunek, potem do szpitala.

Przynajmniej ktoś mu pomoże, pomyślała. Zdjęła pierwszą partię mięsa z patelni i wrzuciła kolejną. Powietrze przesycił smakowity zapach. Teraz jeszcze tylko musi zdecydować, jak wytłumaczyć Brianowi, co się stało w parku.

Nie widział napastnika, ale go wyczuł. Nalegała, żeby także pojechał do szpitala. Jego powolne reakcje budziły niepokój; przy policjantach prawie się nie odzywał. Owszem, cieszyło ją to z jednej strony, bo nie musiała go namawiać, żeby potwierdził historjkę, którą w pośpiechu wymyślili z Greysonem podczas krótkiej rozmowy telefonicznej przed przyjazdem patrolu.

Ale nie mogli w nieskończoność odwlekać rozmowy z Brianem. Co czuł, gdy wszedł w niego demon? Czy to go jakoś zmieniło?

I co powinni teraz zrobić?

Głosy braci za jej plecami stanowiły dziwnie miły akompaniament dla skwierczącego mięsa. Uderzyło ją, jakie to wszystko dziwne. Ona, która nigdy nie miała wielu przyjaciół, nigdy nie miała tej „miejskiej rodziny”, o której tyle się mówi, gości teraz trzy demony. Siedzą w jej kuchni, wdychają smakowite zapachy i gadają o sporcie.

Zdjęła ostatnią partię mięsa i zaczęła je przyprawiać; dodała rozmaryn i cebulę i ich aromat dołączył do smakowitych zapachów unoszących się w powietrzu. Zaburzało jej w brzuchu.

Miała rację, że obstawała przy gotowaniu. Szykowanie posiłku okazało się dokładnie tym, czego potrzebowała. Czego wszyscy potrzebowali, żeby przywrócić poczucie normalności po... No dobrze, ona tego potrzebowała. Dla Malleusa, Maleficarum i Spuda to był dzień, jak co dzień.

Posypała mięso szczyptą soli morskiej, przełożyła je z powrotem na patelnię, wymieszała i lekko podgrzała. Otworzyła trzy butelki irlandzkiego piwa i podlała alkoholem potrawę, mieszając ostrożnie. Monotonny ruch niósł ukojenie myślom.

Nie musieli prosić, podała demonom trzy kolejne butelki. Otworzyli je ochoczo.

- Mam ich więcej. - Powiedziała, przykryła patelnię i zmniejszyła płomień.

- Jesteś dla nas za dobra, pani. - Odparł Maleficarum i coś w jego głosie sprawiło, że zatrzymała się i spojrzała na niego. - Nie zasługujemy na to wszystko. - Pociągnął nosem. - Mało brakowało, a zginęłabyś dzisiaj. Ty, pani, może nam wybaczysz, ale pan Dante... Nie będzie z nas zadowolony.

- To prawda.

Odwrócili się wszyscy, jakby przyłapano ich na czymś, czego nie powinni robić. I zobaczyli Greysona w drzwiach kuchni. Chyba wcześniej wyszedł z pracy - zakasał rękawy nieskazitelnie czystej białej koszuli, rozpiął guzik pod kołnierzykiem, rozwiązał krawat. Wyglądał jak makler giełdowy po całym dniu doprowadzania wrogów na skraj bankructwa, z tą różnicą, że od Greysona biła wściekłość i wypełniała całe pomieszczenie. Stał spięty i nieruchomy, ale jego furia dopadła ich jak rzeka, która występuje z brzegów i zalewa wszystko na swojej drodze.

Nigdy dotąd go tak nie odbierała. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, jaką część swojej mocy przed nią ukrywa. Sama jej nie miała, ale wyczuwała ją u innych. Niektórzy mieli więcej... energii, siły, charyzmy. Jakkolwiek to nazwać, Megan zazwyczaj to wyczuwała, ale nigdy nie doświadczyła w ten sposób.

Ale przecież nigdy dotąd nie znalazła się w towarzystwie rozjuszonego demona.

- Jak tu wszedłeś? - Te słowa miały brzmieć silnie i pewnie, ale były jak szept.

Uniósł elegancki srebrny breloczek w kształcie kłódki, ale nie odrywał oczu od demonów.

- Dorobiłem sobie klucz.

- Co? Jak to? - Ugryzła się w język. Nie czas omawiać jego ślusarskie zapędy. Nie teraz, gdy wyglądał, jakby chciał zabić braci gołymi rękami.

Siedzieli nieruchomo, gdy się odezwał:

- Muszę z wami porozmawiać.

Zawahali się, zerknęli na Megan, jakby mogła ich uratować.

- I to natychmiast. - Mówił zupełnie jak nie on. W jego głosie nie było słycać żadnych przyjemnych nut, tylko czystą lodowatą furię. Megan zadrzała.

Demony wstały i niechętnie wyszły z kuchni.

- Do pokoju gościnnego. - Rzucił Greyson. Odwrócił się i ruszył za nimi.

Megan zrobiła krok w jego stronę.

- Greyson?

Zatrzymał się.

- Ty nie... Nie sprawisz im bólu, prawda?

Odwrócił się tak szybko, że niemal tego nie dostrzegła.

- A co twoim zdaniem powinienem zrobić? - Zapytał. - Dać im pieprzony medal za to, że mało brakowało, a pozwoliliby cię zabić? I to dwukrotnie?

- Nie, ja...

- Jak myślisz, co by się stało, gdybyś miała mniej szczęścia albo siły, żeby pokonać Dona Tremblaya? Uważasz, że zasługują na nagrodę po tym, jak dopuścili, żeby tandetny trik z yaksasem odwrócił ich uwagę? Po tym, jak pozwolili Tremblayowi zbliżyć się do ciebie?

- Nie, ale...

- Są tu, żeby cię chronić. - Powiedział, stojąc tak, blisko że poczuła zapach wody kolońskiej. - To ich praca, za to im płacę. Myślisz, że dzisiaj zarobili na swoją pensję?

- Nie mogli wiedzieć, że...

- Muszą wiedzieć! To ich obowiązek. Powinni mieć oczy otwarte i gęby zamknięte. Mają cię strzec. A gdybyś dzisiaj zginęła? Na jaką karę by wówczas zasłużyli?

Tym razem to ona przyciągnęła go do siebie, to ona zamknęła mu usta pocałunkiem.

Wahał się na tyle długo, że zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrobiła. Jakaś jej część wiedziała, że nie.

I wtedy ją objął, przyciągnął do siebie. Wszystkie rozważania o konsekwencjach uleciały z jej umysłu w podmuchu czystego gorąca.

A ponieważ jego uczucia były silniejsze niż poprzedniej nocy, to samo dało się wyczuć w namiętności tego pocałunku. Jego wargi atakowały ją, gniewne, spragnione, agresywne. Czuła słony smak i zastanawiała się, czy to jej krew, czy jego. To i tak bez znaczenia.

Uwięził ją między gładką krawędzią blatu kuchennego a swoim ciałem.

Przechylił ją do tyłu. Uniosła nogi, owinęła go nimi w pasie. Pomógł jej, wsuwając dłonie pod jej uda.

Ten gest sprawił, że i tak rozpalone wewnątrz jej ud zetknęło się z jego twardą męskością Jęknęła. W odpowiedzi przywarł do niej jeszcze mocniej.

Dawał jej poczuć całego siebie.

Jego ręce wplotły się w jej włosy, szarpnęły w tył, tak żeby mógł błądzić językiem po jej szyi. Płonęła wszędzie, gdzie ją całował, ilekroć jego zęby otarły o jej delikatną skórę.

To było więcej, niż chciała, więcej niż dostała poprzedniego wieczoru.

Tonęła w nim, we wrażeniu, że wszystkie zakończenia jej nerwów budzą się do życia Chwytała się jego ramion, jego pleców, jakby się bała, że odleci, jeśli nie zatrzyma jej na ziemi. Jej nogi zacisnęły się wokół jego pasa, przyciągały go coraz bliżej, jego dłoń wsunęła się między ich ciała, żeby pieścić jej pierś.

Wygięła się w łuk, gdy jego usta powędrowały niżej, na jej dekolt.

Nie wiadomo, co byłoby dalej, gdyby Tera Green akurat nie weszła do kuchni.

Megan nie zauważyłaby gościa, gdyby nie otworzyła oczu, żeby wyszarpać krawat Dantego spod kołnierzyka. Tera patrzyła na nich z zainteresowaniem. Skrzyżowała ręce na piersi.

Megan sapnęła i się odsunęła. W tej samej chwili Dante się odwrócił i mało brakowało, aby ją upuścił. Najostrożniej, jak umiała, rozplotła nogi Z trudem się na nich trzymała, gdy stanęła na ziemi.

- Drzwi nie były zamknięte na klucz. - Powiedziała Tera. - Pukałam, ale chyba nie słyszeliście.

- Hm... mięso głośno skwierczy. - Megan nie miała pojęcia co robić. Zbyć to śmiechem? Okazać urazę? Tera nie powinna była tak po prostu wejść, ale nie wydawała się osobą, która się przejmuje konwenansami.

- Jasne. Mięso. - Tera mierzyła ich wzrokiem. - Macie coś do picia?

- Tak... piwo, wino, cola, woda?

Tera wzięła piwo.

- Czekam w saloniku, Megan. Nie mam całej nocy, jasne?

Megan odetchnęła dopiero, kiedy czarownica zniknęła za drzwiami. Jak to wyglądało? A ona? Jak głupia nastolatka, idiotka, która nie umie nad sobą panować?

Greyson wyciągnął rękę, ale skuliła się pod jego dotykiem. Co ona tobie myślała?

Opuścił rękę.

- Muszę pogadać z chłopcami.

Odprowdziła go wzrokiem. Całe jej ciało wciąż drżało i płonęło. Tylko przekonanie, że to absolutnie nieodpowiedni czas i że to po prostu niewłaściwe, powstrzymało ją przed rzuceniem mu się w ramiona.

Przynajmniej myślała, że tylko to.

ROZDZIAŁ 15

- No dobra. - Tera cofnęła się o dziesięć kroków, między nią i Megan rozciągała się połać zbrązowiałej trawy. Pośrodku postawiła filiżankę. - Spróbujemy jeszcze raz.

Megan rzuciła okiem w stronę domu. Greyson był w pokoju dziennym, dzwonił gdzieś. A chłopcy... Nie wiedziała, co robią.

Głos Greysona niósł się echem przez dom. Krzyczał coś w języku demonów. Do tej pory nie słyszała dłuższych przemówień w tym języku.

Brzmiał jak nadprzyrodzone esperanto.

- Nie patrz na Greya. - powiedziała Tera. - Spróbuj ruszyć filiżankę.

- Nie patrzę.

- Mam oczy, Megan. - Zaplotła ręce na piersi opiętej jasnoniebieskim sweterkiem, do którego włożyła obcisły zakieciak. Nawet ten swobodny strój wyglądał jak szyty na miarę. - Słuchaj, nie liczę, że przesuniesz ten kubek. Nie jesteś czarownicą. Chodzi tylko o koncentrację, żebyś się nauczyła skupiać siłę.

- Nie mam żadnej mocy. - odparła Megan, nie po raz pierwszy.

- Owszem, masz. Po prostu przejawia się w ten sposób, że czytasz w ludziach. Musisz się nauczyć wykorzystywać ją w inny, bardziej przydatny sposób. Jak myślisz, skąd się bierze twoja tarcza ochronna?

- Nie wiem. Po prostu jest.

- Nie wyobrażasz jej sobie? Nawet nie próbujesz?

Megan pomyślała o tym przez chwilę. Jej tarcza... Jest przezroczysta, a jednak widziała ją, widziała szklane ściany dokoła swojej głowy.

- No... chyba tak.

- Dobrze. W jaki sposób koncentrujesz na niej moc?

- Nie wiem. W kółko ci powtarzam, że nie wiem, jak to robię...

- Spójrz. - Tera wskazała na dół. Filizanka się poruszyła.

- Ja to zrobiłam? Jak? - Już dawno pogodziła się ze swoimi umiejętnościami, ale coś takiego? Musiała przyznać, że serce biło jej trochę szybciej na myśl, że może naprawdę ruszyła przedmiot siłą umysłu.

- Pewnie, że ty. Wkurzyłaś się. Zauważyłam to u ciebie. Nie zostałam ranna, nie zamykasz się w sobie, ale się wkurzasz. Ciekawe dlaczego.

- Nie wiem. Chyba nie jestem bardzo złą osobą?

- Hm... - Jasne oczy Tery patrzyły na nią. - Jeśli tak mówisz. Rzecz w tym, że twoje uczucia przejawiają się, jako gniew albo przynajmniej gniew jest jedynym uczuciem, które objawia się, jako moc. Musisz się nauczyć wykorzystywać ten gniew i go kontrolować.

- Chcesz powiedzieć, że muszę być zła, żeby coś ciągnąć?

- Nie. Chcę powiedzieć, że jesteś trochę dziwna. Ale jeśli się postarasz, wszystko będzie dobrze. - Tera się uśmiechnęła, widząc zmarszczone brwi Megan. - Pozwalasz, żebym cię rozpraszała. Skoncentruj się. W sobie poradzisz z własnymi problemami.

Filizanka przesunęła się o kolejne pół metra.

Uśmiech Tery zrobił się jeszcze szerszy.

- Prawie równie skuteczne, jak powiedzieć mi, żebym szła się pieprzyć, a o wiele bardziej wytworne.

- Ale nie wiem, jak to zrobiłam.

- Zastanów się. Wściekłaś się na mnie i... co?

Megan zmarszczyła czoło. Była zła, wściekła na Terę, że tak łatwo ją przejrzała i na siebie za to, że dała się przejrzeć. A uwaga o problemach doprowadziła ją do szału. Od tak dawna starała się zachować spokój, nie okazywać uczuć, żeby się teraz dowiedzieć, że nie była w tym nawet w połowie tak dobra, jak sądziła, a to boli...

Ale ten ból to raczej gniew, który przedarł się przez tarczę... Nie...

Przeniknął nad jej szczytem... I trafiła na coś małego. Filizankę?

- To było jak fala. - Powiedziała, posępnie wpatrując się w ziemię. - W mojej głowie. Chciałam cię uderzyć.

- Bardzo dobrze. - To wszystko nie robiło na Terze żadnego wrażenia. Kobieta była beznamiętna jak jaszczurka. - Teraz wiesz, w jaki sposób objawia się twoja moc. I masz pojęcie, jak działa. Spróbuj jeszcze raz. Tym razem postaraj się przestawić filizankę świadomie.

Megan skupiła się, wpatrując się w filiżankę. Tera wzięła ją za rękę.

- Nie patrz na filiżankę. Czy raczej nie koncentruj się na filiżance do tego stopnia, żeby zapomnieć spojrzeć też w siebie. Gdzieś tam jest miejsce, w którym trzymasz swoją moc i z którego pochodzi twoja siła. Znajdź to miejsce, te drzwi. I otwórz je. Wyobraź sobie, że twoja moc uderza w filiżankę.

Filiżanka ani drgnęła. Megan szukała w sobie i niczego nie znalazła.

Całkowicie opuściła tarczę. Usiłowała zmusić swoją energię, żeby pchnęła filiżankę, ale ta stała na trawie, jakby ktoś ją przykleił. Uświadomiła sobie, że próbowała czytać filiżankę, a nie ją przenieść.

- Nie mogę.

- Do diabła, oczywiście, że możesz. Nie koncentrujesz się. - Frustracja w głosie Tery wywołała to samo uczucie w Megan. Teraz, gdy opuściła barierę, wyczuwała nawet takie drobiazgi. Za mało, żeby przeczytać czarownicę, o ile to w ogóle możliwe, ale dość, żeby wychwycić jej uczucia. - Co to, to nie. - Burknęła Tera. - Nie myśl sobie, że się wywiniesz, myszkując mi w głowie. Nie jestem równie odporna, jak demony.

- Nie myszkuję. Sama emitujesz sygnały. Kazałaś mi opuścić barierę, a nic nie poradzę na to, że twoja nie jest dostatecznie mocna.

Tera westchnęła.

- Dobrze. Nie koncentruj się na filiżance. Skup się na mocy i filiżance, postaraj się coś z tym zrobić. Coś, co wprawi filiżankę w ruch. Wyobraź sobie patyk, nóż, nie wiem. Packę na muchy. Cokolwiek.

Megan spróbowała jeszcze raz. Filiżanka rozmazała się w jej wizji. Cholera, dlaczego nie może tego zrobić? To było takie drażniące, denerwujące. I nagle coś się wydarzyło. Coś drgnęło. Poczowała muśnięcie energii. Złapała je, zanim umknęło i oczyma wyobraźni zobaczyła długi patyk, jak gałąź. Filiżanka i gałąź połączyły się w jej głowie. I filiżanka drgnęła, przesunęła się o kilka centymetrów.

- Jestem trochę zaskoczona. Czyli jednak nie jesteś całkiem do niczego. - Tera cofnęła się i spojrzała na zegarek. Tyle, jeśli chodzi o gratulacje. - Za ile musisz wracać do kuchni?

- Mniej więcej za kwadrans. Chcesz już iść? - I zaraz pomyślała: Nie! Chcę jeszcze!

- Nie. Spróbujmy teraz zgarnąć energię z otoczenia. To będzie dla ciebie trudne, ponieważ nie jesteś czarownicą. My robimy to automatycznie, ale ty musisz się bardziej skoncentrować... Chyba że ktoś dodaje ci energii, a wówczas łatwo przesadzić. Moja siostra Lexie prawdopodobnie poradziłaby sobie z tym lepiej, ale ponieważ Grey nie chce jej tutaj, zrobię, co w mojej mocy.

Megan wolała nie pytać.

- Na pewno sobie poradzisz.

Usta Tery drgnęły.

- Dzięki. No, więc energia jest wszędzie, prawda? Czujesz ją, podoba ci się, gdy wieje wiatr, ale nie wiesz, jak dotrzeć do jego energii. Ona cię otacza, ale nie wnika w ciebie. Musisz się nauczyć otwierać na nią i gromadzić ją na czas, gdy będzie ci potrzebna.

- Nie wiem, po co to wszystko. - Mruknęła Megan. - I tak ich nie pokonam.

Tera rzuciła okiem w kierunku domu.

- Owszem, przy odpowiedniej mocy... i praktyce. Do roboty.

- Musimy porozmawiać. - Greyson wciągnął ją do małego korytarzyka prowadzącego do pokoju gościnnego.

- Muszę się zająć jedzeniem...

- Chwileczkę. - Zerknął w kierunku saloniku, gdzie Tera usadowiła się na jednej z kanap i oglądała telewizję. - Musimy zdecydować, co powiemy Brianowi. I to natychmiast.

Próbowała o tym nie myśleć. Prędzej czy później, prawdopodobnie prędzej, Brian się pokaże, żeby się dowiedzieć, co się zdarzyło w parku.

- Nie możemy go zahipnotyzować?

- Nie przy Terze.

- A jak sobie pójdzie?

- Ciągle zapominam, że kompletnie nic nie wiesz o czarownicach. Nie pójdzie, póki dostaje darmowe jedzenie i picie. A wieczorem pewnie zechce zająć twoje łóżko. Powie, że jest zbyt zmęczona, żeby wracać do siebie. I choć czas w twoim łóżku to niewątpliwa przyjemność, wątpię, żeby Tera zdołała to w pełni docenić. - Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, aż przeszył ją dreszcz.

Osobiste demony

- Myślałam, że wizja nas obu w moim łóżku przypadnie ci do gustu.

- Co za nudy. Nie lubię patrzeć, Megan. Ani się dzielić. Kiedy będę w twoim łóżku...

- Dlaczego nie powiemy mu prawdy? - Zmieniła szybko temat. Wolałaby, żeby jej ciało nie reagowało, ilekroć rzucał te swoje dwuznaczne komentarze. Wystarczająco trudno było stać koło niego w ciasnym korytarzyku, a do tego jeszcze pieścił jej ramiona... - Powiemy mu, że... Że ścigają mnie małe demony. Że to one nasłały tego stwora w parku, żeby mnie zabił, i kazały Donowi Tremblayowi mnie zastrzelić.

- To był yaksas, nepalski demon górski. - Rzucił mimochodem. - Przypuszczam, że moglibyśmy powiedzieć mu prawdę.

- Wydaje mi się, że nie mamy innego wyboru.

- Zawsze jest inny wybór.

- Nie dla mnie.

Pokręcił głową.

- Ależ jesteś cyniczna. Nawet po tym, co ostatnio widziałaś, nie chcesz się otworzyć na inne możliwości. - Jego palce musnęły jej podbródek, pochylił się, jakby chciał ją pocałować.

- A ty przestań się wywyższać i mnie posłuchaj. - Burknęła, ale nie zdołała napęlić tych słów zamierzonym jadem. - I tak trudno mi to wszystko utrzymać przed nim w tajemnicy, zwłaszcza, że odkrył całą tę aferę z Harlanem Trooperem.

- Co? O czym ty mówisz? - Puścił ją.

- Harlan Trooper... Bezdomny, który mieszkał w moim miasteczku, gdy chodziłam do liceum. To długa historia. - Spodziewała się, że Greyson wróci do Briana. Ale nie.

- Opowiedz mi.

- Zginął. Podejrzewali, że to ja go zabiłam.

- Nie zginął tak po prostu, został zamordowany. Widziałaś to?

- Ja... chyba tak. Niewiele pamiętam. Czy możemy wrócić do tematu?

- Kiedy zginął?

- Miałam wtedy szesnaście lat. Proszę, nie rozmawiajmy o tym. Musimy zdecydować, co zrobić z Brianem, a nie analizować moje wspomnienia.

- Hm... Och, Brian. Myślałem, że już zdecydowaliśmy.
- No, dobrze. Więc zaczniemy od początku? Powiemy mu o tobie?
- Pamiętasz jeszcze jakieś szczegóły dotyczące tamtego morderstwa? Jak wtedy wyglądało twoje życie?
- Megan pokręciła głową.
- Słuchaj, Greyson, zaraz włączy się minutnik w kuchni, muszę iść. Może ja zdecyduję, co powiemy Brianowi, a ty się po prostu dostosujesz?
- A dlaczego nie ja zdecyduję, a ty się dostosujesz?
- Zagryzła wargi, żeby się nie uśmiechnąć. Wiedziała, że tak będzie.
- Świetnie. - Powiedziała. - Ty decydujesz. Muszę rozwałkować ciasto.
- Dopiero w kuchni dotarło do niej, że odkąd wspomniała o Harlanie Trooperze, Greyson ani razu nie chciał jej pocałować i już z nią nie flirtował.
- Zrobiłaś to od zera? - Tera stanęła obok i dziobała ciasto długim czerwonym paznokciem.
- Nie. Kupuję gotowe. Ręce z daleka, bo naniesiesz zarazków.
- Tera cofnęła dłoń.
- Nie mam bakterii. Zresztą i tak to upieczesz, prawda?
- Megan spiorunowała ją wzrokiem.
- Tera odpowiedziała takim samym spojrzeniem.
- Nie wiem, dlaczego jesteś dla mnie niemiła. Jestem po twojej stronie, nic ci nie zrobiłam.
- Nie chciałam być niegrzeczna, po prostu nie przywykłam do...
- Tera ją zignorowała i wsunęła do ust malutką marchewkę.
- Moja siostra z nim sypiała, wiesz? - Mruknęła między jednym chrupnięciem a drugim. - Mniej więcej rok temu. Mówiła, że to niezapomniane przeżycie, a to dużo znaczy, bo ona spała już ze wszystkimi.
- Megan otworzyła piwo.
- Właściwie to był numerek na jedną noc. - Chrup, chrup, chrup. - To znaczy, usiłowali się spotykać, ale Lexie niezbyt się do tego nadaje. A Greyson to już absolutnie nie...

- Słyszę cię. - Zawołał Dante z saloniku, dokąd wysłała go Megan.

- Wiem. - Odkrzyknęła Tera. - W każdym razie, o coś się pokłócili i Lexie zaczarowała mu samochód. Prawie go to zabiło. - Uśmiechnęła się i sięgnęła po kolejną marchewkę. - To było w sumie zabawne.

Megan wpatrywała się w nią.

- No. - Chrup, chrup, chrup. - To było bardzo zabawne.

- Skoro tak twierdzisz. - A jednak nie mogła nie odwzajemnić uśmiechu.

Tu, w kuchni, gotując ogromny posiłek, słuchając makabrycznych plotek Tery, poczuła się normalnie. Dobrze. I wtedy do niej dotarło, że na swój dziwaczny sposób Tera chce się do niej zbliżyć. Odchrząknęła.

- Tero, doceniam to, że mi pomagasz.

Czarownica się uśmiechnęła.

- Żaden problem. Jesteś lepsza, niż się spodziewałam.

Megan ułożyła paszteciki w foremkach i wstawiła do piekarnika.

- To nie tak, że ja nie... - Urwała. Ktoś walił w drzwi wejściowe. Miała złe przeczucie, co do tożsamości gościa.

Greyson pojawił się w przedpokoju.

- Mam otworzyć?

- Kto to? - Zainteresowała się Tera. - Czarny charakter?

- Tak. - Oznajmił Greyson.

- Nie. - Odparła Megan. A potem westchnęła. - To reporter nazwiskiem Brian Stone. Pisze artykuł o mnie i był świadkiem dzisiejszego ataku w parku.

- Ataku?

- Powiemy ci później, Tero. Brian zaraz wyważy drzwi.

Czarownica się zachnęła.

- Nie rozumiem, czemu zwyczajnie nie wejdzie. Przecież nie są zamknięte na klucz.

Megan ruszyła do drzwi, a Greyson mruknął:

- Niektórzy nie wchodzą ot, tak, do cudzych domów.

- Zawsze musisz mieć ostatnie słowo, co, Grey?

Drzwi dygotały pod naporem pięści Briana. Megan wahała się przez chwilę, odetchnęła głęboko i odskoczyła w tył, gdy się

Osobiste demony

otworzyły. Malleus, Maleficarum i Spud wypadli z pokoju gościnnego z wrzaskiem i skoczyli na Briana.

Błyskawicznie uświadomiła sobie, o czym zapomnieli.

Nie włożyli czapeczek.

ROZDZIAŁ 16

- Nic mi nie jest, do cholery! - Brian odepchnął jej rękę z chłodnym okładem. - Zaraz sobie pójdę.

- Nie musisz. Możesz zostać i zjeść z nami.

- Zjeść z wami? - Dźwięk, który wydał, przypominał śmiech. - Myślisz, że chcę tu zostać na kolacji?! Po tym, co ty i twoje domowe demony, czy czym tam są, mi dzisiaj zrobiliście?

Plan Megan, żeby postawić sprawę jasno, nie poszedł najlepiej. Ledwie padło słowo „demony”, Brian doszedł do najgorszych możliwych wniosków.

Megan wcale mu się nie dziwiła. Gdyby niedawno poznana osoba najpierw okazała się oskarżona o morderstwo, potem została zaatakowana przez niewidzialne bestie, ona też prawdopodobnie pomyślałaby, że ten ktoś kłamie, jeśli twierdzi, że wszystkiemu winne są demony.

- Brianie, wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, ale proszę, daj mi dokończyć...

- Dać ci dokończyć? Po co, żebyś znowu mogła mnie zrobić?

- Nie wrobiłam cię.

- Nie? Posłuchaj, jeśli, a już to jest wątpliwe, więc jeśli naprawdę coś cię ściga, a ty celowo umówiłaś się dzisiaj ze mną w parku, to wygląda na to, że mnie wrobiłaś. Wrobiłaś mnie i zmusiłaś swoich kumpli, żeby odegrali dla mnie małą scenkę. Wiesz, Megan, myślałem, że istnieje jakieś sensowne wyjaśnienie tej całej sprawy z Harlanem Trooperem. I rzeczywiście. Jesteś chora umysłowo. Nie wiem, w jakie bagno się wpakowałaś, ale trzymaj to z daleka ode mnie. To, że mamy takie same zdolności, nie oznacza, że ja też jestem nienormalny.

- Brianie, ja... Co to do cholery ma znaczyć, że jestem nienormalna?

- Przyzywasz demony? Składasz krwawe ofiary? Myślisz, że o tym nie wiem? Widziałem raport po sekcji zwłok Harlana Troopera, Megan. Wiem o nacięciach na jego skórze i brakujących organach.

- Dosyć tego. - Odezwał się Greyson z kąta. Megan podskoczyła. Siedział tak nieruchomo i cicho, że zapomniała o jego obecności. - Megan, możemy porozmawiać w cztery oczy?

- Proszę bardzo. - Mruknął Brian, gdy na niego zerknęła. - Twój pan i władca pewnie ma dla ciebie jakieś zadanie. Ale ostrzegam cię, mam doskonałą barierę.

Brwi Greysona się uniosły. Megan, rozdarta między złością na niego, że nie zaprzeczył Brianowi, wściekłością na Briana, że coś takiego powiedział, i na siebie, że uważała grę w otwarte karty za najlepsze wyjście, wstała z westchnieniem.

- Zaraz wracam. - Zwróciła się do Briana. - Dlatego, że chwila samotności dobrze ci zrobi, a nie, dlatego, że... Po prostu nie mam żadnego władcy.

Minęła Greysona w drodze do saloniku i modliła się, żeby nie próbował jej dotknąć. Jeszcze tylko brakowało, żeby Brian to zobaczył.

Ale gdy zobaczyła minę Tery, niemal żałowała, że do tego nie doszło.

- Co wy wyprawiacie? Nie wolno wam tak tego zostawić. Musicie to zaraz załatwić. Natychmiast.

- Tero. - zaczęła Megan. - Ty na pewno...

- W tej sprawie nie ma żadnych „na pewno”, Megan. Nie znasz naszych zasad. Twoja sytuacja jest wyjątkowa. Musiałaś poznać prawdę, żeby przeżyć. Facet w kuchni niczego nie musi wiedzieć. - Spojrzała na Greysona. - Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałaś? Wyobrażasz sobie, w jakich będę tarapatach, gdy Vergadering się dowie, że doszło do ataku yaksasa? Co więcej, że świadkiem był zwykły śmiertelnik, który teraz się o wszystkim dowiedział?

- Tero, posłuchaj. - Greyson zrobił krok do przodu. - Pozwól mi wyjaśnić kilka spraw, a myślę, że zrozumiesz...

- Nie. Koniec z wyjaśnianiem. Zgodziłam się na to wszystko, bo sądziłam, że masz rację. Wbrew temu, co myślisz, nie wszyscy z nas

są uprzedzeni do demonów. Ale żeby powiedzieć mu wszystko, nie ustalając tego ze mną... Nie! Musi o wszystkim zapomnieć, i to już.

- Co? - Megan wodziła wzrokiem od Tery do Greysona i z powrotem. - Tero, chyba mu niczego nie zrobisz?

Tera już wchodziła do kuchni.

- Ktoś musi.

- Greysonie, ona wie, że Brian ma paranormalne zdolności?

- Nie.

- Musisz ją powstrzymać. Chyba będzie o wiele trudniej...

Rozbawienie błysnęło w jego oczach.

- Owszem. Prawdopodobnie w ogóle jej się to nie uda, bo teraz Brian jest bardzo poruszony.

Z kuchni dobiegał cichy głos Tery. Megan chciała tam pójść, ale Greyson ją powstrzymał.

- Zostaw. To może się okazać zabawne.

- Ale Brian dostanie szału.

- A nasza panna Tera odczuje to najbardziej. - Greyson opadł na kanapę i pociągnął ją za sobą, aż usiadła, wtulona w niego. - Na razie poczekamy.

Wyjątkowo jego bliskość nie wyprowadzała jej z równowagi. I bez tego jej nerwy były napięte jak postronki.

- Nie wierć się. - Powiedział. - I tak by nas nie posłuchała... Och!

- Co ty do cholery wyprawiasz! - Ryk Briana ponownie zwabił braci siedzących w pokoju gościnnym.

- Nie, chłopcy, zostańcie tu. - Zatrzymali się, słysząc głos Greysona, ale na ich twarzach malował się identyczny wyraz niepokoju. Krzyki w kuchni się nasiliły.

- Co ty?! Chcesz mi zrobić pranie mózgu? Za kogo ty się uważasz?

Coś upadło z łoskotem i Brian pojawił się w drzwiach do saloniku.

- Kazaliście jej to zrobić?

Megan zerwała się z kanapy.

- Nie, Brianie. Proszę, wysłuchaj mnie. Mogę ci wszystko wyjaśnić.

- Na pewno.

Greyson został na miejscu.

- Daj spokój, chłopie, mógłbyś przynajmniej dać jej szansę.

- Nie. Za to mogę stąd wyjść, zanim naprawdę coś mi zrobicie. Megan, muszę nadal z tobą rozmawiać, bo to moja praca. Ale nie muszę robić tego teraz.

Minutnik piekarnika zadzwonił. Paszteciki były gotowe.

- Proszę cię, Brianie, zostań i zjedz z nami. - Nawet, kiedy to mówiła, miała świadomość, jak żałośnie to brzmi. Przecież już raz jej odmówił. Teraz pewnie wolałby wyłupić sobie oczy, niż usiąść do stołu z nią, czwórką demonów i czarownicą, która przed chwilą usiłowała wymazać mu pamięć.

Wpatrywał się w nią.

- Zadzwonię jutro. Wolałbym tego nie robić, nie chcę spędzać z tobą ani chwili, ale ktoś musi cię zdemaskować. A nie wierzę, że ty i twoi kumple nie rzucicie czaru na moich kolegów.

Wstali i odprowadzali go wzrokiem.

- Dokąd jedziemy? - Zapytała kolejny raz.

- To niespodzianka.

- Nie lubię niespodzianek.

- Wszyscy lubią niespodzianki. - Pokonał kolejny zakręt i znaleźli się na wąskiej piaszczystej drodze. Znak przy wjeździe ostrzegał: „nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. - Nie lubisz oczekiwania na niespodziankę? Zresztą jesteśmy na miejscu.

- To ma być ta niespodzianka? Aresztowanie za wdarcie się na teren prywatny?

- To też byłoby fajne, ale nie, to nie to. - Zahamował przed masywnym kamiennym murem zwieńczonym spinami z drutu kolczastego.

Reflektory pozbawiły jego skórę wszelkiej barwy, gdy wysiadł, machnął ręką przed bramą i coś wymruczał. Brama się otworzyła.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. - Powiedziała, kiedy wrócił do samochodu.

- W porządku. - Przejechał przez bramę. Megan się odwróciła i patrzyła, jak wrota zamykają się za nimi. Zniknęły w mroku.

Drzewa stały krętą kolumnadą wzdłuż wyboistej drogi, zasypanej suchymi liśćmi. Megan pomyślała o mieście, z którego wyjechali. Nawet po zmroku było symbolem cywilizacji. Tu nie znalazła śladu

cywilizacji, jakby Greyson jakimś cudem cofnął ich w czasie. Mówiąc ogólnie, właśnie, dlatego unikała lasów. Jej serce zabiło szybciej.

- Jesteśmy na miejscu. - Powiedział i zatrzymał samochód.

Megan się rozejrzała. Znajdowali się na polanie. I tyle. Nie było tu nic wyjątkowego. Pusta przestrzeń jak u niej za domem. W każdej chwili mogli tam przecież wyjść.

Zadrzała, gdy wyszła z ciepłego samochodu. Miała na sobie tylko żakiet, a było już po północy. Wiatr hulał wśród drzew, bawił się liśćmi na ziemi. Z dala od reflektorów samochodów jedynym źródłem światła był księżyc i gwiazdy.

I ten widok zapierał dech w piersiach. Tu, poza miastem, niebo było kobiercem błysków, z księżycem w zenicie na południu. Wstrzymała oddech.

- Nieźle, co? - Jego głos, niski i cichy, zabrzmiał w jej uchu, gdy stanął za nią, otulając ją płaszczem, aż oparła się o niego.

Skinęła głową. Czuła się bardzo mała. Bezkres, byczącego nieba był niewyobrażalny. Kiedy ostatnio patrzyła w górę, tak naprawdę, z uwagą?

Owszem widziała, że księżyc jest w pełni, jeśli akurat była poza domem, czasami dostrzegała Wielką Niedźwiedzicę albo Oriona i była dumna, że umie je znaleźć. Ale od lat nie patrzyła w niebo, nie koncentrowała się na tym. Ta myśl trochę ją zawstydziła.

- Spójrz. - Powiedział tym samym cichym głosem i lekko odwrócił ich w lewo. Światła miasta migotały w ciemnej przestrzeni. Wyglądało to, jakby na wzgórzach leżała warstwa złota. Tyle ludzi, tyle istnień, jedno obok drugiego. A ona stoi tu z Greysonem. Są sami w lesie i nie należą do tego wszystkiego.

Piękne to, ale tam, w środku, nie widzi się tego piękna.

Gorąco promieniowało od jego ciała.

- Zmienia się perspektywa, co?

Otarła mokre policzki.

- Dlatego mnie tu przywiozłeś?

- Między innymi.

Spięła się. Wspomnienie jego warg na jej ustach powróciło z pełną siłą.

Są sami, w lesie... Nie. Nie wątpiła, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby to zaproponowała, ale nie wierzyła, że planował uwieść ją na tylnym siedzeniu samochodu. To po prostu nie w jego stylu.

- A dlaczego jeszcze? - Nie bardzo wiedziała, czemu szepcze.

Wzruszył ramionami. Za plecami poczuła, jak jego klatka piersiowa wznosi się i opada.

- Chciałem, choć na chwilę od tego wszystkiego oderwać. I pomyślałem, że ci się tu spodoba. Lubię to miejsce.

- To wszystko?

Odsunął się.

- Siadaj - powiedział, rozpałił ognisko na ziemi i kucnął przy nim tak, że mógł patrzeć na miasto. Usiadła.

- Greyson?

- Hm?

- To trudne?

- Co? Och, płomienie? Nie. To kosztuje trochę energii, ale działa tak samo, jak twoje umiejętności. To odruch jak zaciśnięcie pięści.

- Myślisz, że to dlatego, że... No wiesz, zastanawiam się, czy gdyby nie moje zdolności, to wszystko zdarzyłoby się właśnie mnie? Może nie mam osobistego demona z powodu moich umiejętności. A może i tak doszłoby do tego? Przez program?

Przez chwilę siedział w milczeniu. Płomień oświetlał jego profil. Intensywność światła sprawiła, że jego oczy były jak czysty cień ze świecącymi złotem źrenicami - płonące plamy w regularnych rysach jego twarzy.

- Moim zdaniem wszystko, co robimy, ma wpływ na kolejne wydarzenia. - Powiedział. - Nasze decyzje niosą konsekwencje, z których nie zdajemy sobie sprawy. Ale i tak je podejmujemy, bo musimy. Po prostu. - Zerknął na nią. - Nasze zdolności są tego częścią. Nie możesz obwiniać siebie albo swojego daru, tak jak nie możesz obwiniać się o oddychanie. Jesteśmy, kim jesteśmy, Meg. I nie ma sensu marnować czasu na rozważania, co by było, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

- Łatwo ci mówić. Wychowałeś się wśród demonów. Nie różniłeś się od wszystkich innych.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Powinnaś wiedzieć lepiej.

Osobiste demony

- Przepraszam. - Miał rację, a co gorsza, Megan wcale o tym nie pomyślała. Nie mogąc go czytać, nie wiedząc, co chodzi mu po głowie, opierała się tylko na tym, co widziała i co sam jej powiedział.
- Jesteś bardzo pewny siebie. Większość osób o tak silnym poczuciu własnej wartości miała oparcie w domu. Zagubieni są bardziej aroganccy, ale ty...

- Nie jestem jednym z twoich pacjentów. Nie analizuj mnie.

- Przepraszam. - Powtórzyła. Jego dystans zmartwił ją bardziej, niż się spodziewała. Czasami łatwo zapomnieć, że fakt, iż nie może kogoś odczytać, wcale nie znaczy, że ta osoba nie ma sekretów.

Milczał tak długo, że zastanawiała się, czy ją słyszał.

- Greysonie, ja...

- Nie ma sprawy. - Oparł się na łokciach i wyprostował długie nogi. Jego biała koszula była rozchełstana przy szyi. - Dlaczego to robisz?

- Co?

Wskazał głową miasto.

- Pomagasz im. Używasz swojej energii i mocy, żeby sprawić, że czują się lepiej, choć jedyne, na czym im zależy, to zepsuć humor innym. Warci są tego?

Chwilę trwało, zanim odzyskała głos.

- Oczywiście.

- Po wszystkim, co ci zrobili, co robią sobie nawzajem?

- Ja... Nie wierzę, że oni są źli, Greysonie. Oni są po prostu ludźmi. Jak ja. Nic nie możemy poradzić na to, jacy jesteśmy.

- Sama nie chcesz tego przyznać. Ich pragnienia, ich myśli. Znasz je. Słyszysz je. I nadal chcesz im pomagać?

Coś dziwnego wkradło się do jego głosu, jakby wrażliwość albo samotność. Niosło się echem w jej klatce piersiowej.

- Słyszę ich, tak. Wiem, co myślą. Wiem, co robią. Ale myślę... Wiem, jak bardzo cierpią i jeśli dzięki mnie ktoś cierpi mniej, może ta osoba zada mniej bólu innym. Co do mocy, naprawdę nie wiedziałam, że jest aż tak potężna.

Skinął głową.

- Spodziewałem się, że to powiesz.

- Nie zgadzasz się z tym?

Pokręcił głową.

Osobiste demony

- Czasami mnie śmieszają, ale najczęściej radzę sobie bez nich. Mam w nosie ich uczucia.

- W takim razie dobrze, że nie wykonujesz mojej pracy.

- Tak. - Odetchnął głęboko. - Dowiedziałem się, kim jest Art Bellingham. Czym jest.

Czekała, ale nie powiedział niczego więcej.

- Może powinniśmy wracać do domu. - zaproponowała, rozglądając się dokoła. Drzewa wydawały się wisieć nad nią, pełne szelestów i stworzeń z ostrymi zębami.

- Moja Meegra posiada tę ziemię. Tutaj nas nie dosięgnie.

- Tego mi nie powiedziałaś.

- Zakładałem, że bardziej ci się spodoba, jeśli pomyślisz, że robimy coś złego.

Zmusiła się do uśmiechu.

- A teraz unikasz tematu.

Skinął głową.

- To prawda. No, dobrze. Bellingham to... Oskarżyciel. - Rzucił na nią okiem, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć. - Myśleliśmy, że jest mitem. On jest starszy i potężniejszy, niż to sobie wyobrażasz, Meg. Nie wiem, dlaczego zainteresował się tobą ani co go łączy z Yezer Ha- Ra, ale istnieje jakiś związek. I myślę, że dowiemy się, co to jest.

- Ale co robi, ten... Oskarżyciel?

- To samo, co wielu z nas. Żywi się. Żyje. Zdobywa moc. Dawniej, zanim jeszcze runął stary porządek rzeczy, był ważną postacią w piekle.

- Mówiłeś, że piekło nie istnieje. - Świąteczka w mieście pod nimi nie wydawały się już tak radosne jak kilka minut temu. Teraz każde mówiło o izolacji, o samotnym życiu w betonowym pudle.

- Teraz go nie ma, dawniej istniało. Nie wiem dokładnie, jak to się potoczyło. Takich informacji nikt nie udziela na prawo i lewo. Wiedzą to tylko Starożytni. - Zdawało się, że chce dodać coś jeszcze, ale urwał. - No i masz. Art Bellingham to Oskarżyciel. Umiesz sobie wybierać wrogów, nie ma co.

- I dlatego potrafi wejść do mojego umysłu? Bo jest stary i potężny?

- Niezupełnie. Ale myślę, że mogę coś na to poradzić, przynajmniej chwilowo. Zaufasz mi?

Uniosła brwi.

- Mogę cię zahipnotyzować. Oskarżyciel potrafi wejść do twojego umysłu, bo choć masz wielką moc, sama nie dasz mu rady. Nie dasz rady żadnemu demonowi. Ale mógłbym dodać jeszcze barierę. To go powinno powstrzymać.

Skuliła się, otuliła żakietem.

- Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

- Jak chcesz.

- Niczego nie chcę.

- Więc pozwól, że ci pomogę.

- Skąd mam wiedzieć, że nie zasiejesz w mojej głowie jakiegoś idiotycznego pomysłu? Że nie każesz mi zrobić striptizu albo czekać jak pies?

- Nie możesz tego wiedzieć. I dlatego to takie fajne. - Spowaźniał.

- Dam ci słowo, Meg.

Przez długą chwilę patrzyła mu w oczy. Nigdy nie zawierała umowy z kimś, dla kogo słowo ma aż tak wielką wagę, ale wyczuwała, że tak właśnie jest w przypadku Greysona. Kodeks honorowy demonów. W każdym razie to, co powiedział, wprawiło ją w drzenie. I to nie tylko, dlatego, że zaraz wpuści go do swojego umysłu.

- Dobrze.

- OK, usiądź wygodnie. - Posadził ją przed ogniskiem, pewnie, szybko. Ciarki lęku pełzały wzdłuż jej kręgosłupa. Zignorowała je. - Odpręż się. Patrz w płomienie. - Jego oddech łaskotał jej ucho. Drgnęła.

- Ejże!

- Przepraszam. Poniosły mnie emocje. No, dobrze W płomieniach są drzwi. Widzisz je? Patrz, otwierają się. Wejdź w nie...

Mówił dalej, jego głos uwodził, miękko, lekko, splatał się z szumem wiatru w gałęziach drzew. Powieki jej opadały. Mogła go tak słuchać przez całą noc, skulić się przy ogniu i czuć, jak jego słowa po niej spływają...

Zamrugnęła.

- Co?

- Skończyliśmy. Dobra robota. Nie powinnaś mieć żadnych kłopotów. Oczywiście pod warunkiem, że nie zostawisz gdzieś ciała w wędrówce po światach astralnych czy coś równie głupiego. Nie będzie mógł cię tak łatwo znaleźć i chyba nie uda mu się wdrzeć do twojego umysłu.

- To się wydaje aż zbyt proste.

- Czasami tak jest najlepiej. - Mruknął. Jego głos już nie był taki miękki i kojący. Pojawiły się w nim szorstkie nuty.

- Czy coś się...

- Nie, nic.

- Przecież widzę, czy ty...

- Jak myślisz, jak pójdzie twoja jutrzejsza randka ze Stone'em?

Świetnie. Chce rozmawiać? Porozmawiają.

- Ha, ha, ha. Jeśli w ogóle do niej dojdzie. Rano pewnie wszystko odwoła.

- Wtedy ja cię zabiorę.

- Dzięki.

Pogrążeni w przyjacielskim milczeniu, wpatrywali się w taniec płomieni.

- Zabawne. - Powiedziała. - Przez cały ten czas byłam jedną z tych małych ludzi tam, na dole, nieświadoma tego, co się kryje poza światłami. Wydaje mi się, że przez całe życie stałam na solidnym podłożu, które okazało się o wiele bardziej kruche, niż sądziłam.

- Jest równie solidne, jak dawniej, tyle że o wiele głębsze.

- To porównanie nie ma większego sensu.

- Robię, co mogę.

- Wiem. - Znowu wrócili do dawnego przekomarzania. Megan się uśmiechnęła. - No, dobrze. Nie mam demona, a Oskarżyciel chce się do mnie dobrać. Czy to coś znaczy? Jestem szczególna? Wybrana?

- Oczywiście. A kiedy się rodziłaś, śpiewały anielskie chóry. Wy, ludzie, macie obsesje na tym punkcie. Nie, nie zostałaś do niczego wybrana. Jesteś tylko anomalią. Na razie staramy się załatwić sprawę bezkonfliktowo. Na razie nie wysyłamy cię do Mordoru.

- Czytałaś Władcę Pierścieni?

- Wszystkie demony czytają Władcę Pierścieni. To idealny przykład, czego nie robić. Armie złych mutantów, potwory na zakrwawionych rumakach... Sauron wyszedłby na tym o wiele lepiej,

gdyby poświęcił więcej czasu na perswazję i zostawił rzeczy własnemu biegowi, zamiast straszyć i puszyć piórka.

- Tak jak ty? - Zapytała. Wiedziała, że Greyson próbuje zmienić temat, ale nie mogła się oprzeć.

- Pewnie. W końcu chodzi o to, żeby poprowadzić ludzi w mrok, ale zrobić to tak, by uważali, że to ich własny pomysł. - Zerknął na zegarek. - Czas na nas.

Pomógł jej wstać. Patrzyła, jak gasił ogień.

- Dzięki. - Powiedziała. - Za to, że mi pomagasz i za to, że mnie tu przywiozłeś. To było... Dzięki.

- Zawsze do usług.

- Mój bohater.

Koniuszki jego palców otarty się o jej policzek tak łagodnie, że zwątpiła, by w ten dotyk, gdyby nie widziała ruchu jego ręki.

- Mam w nosie bycie bohaterem. - Mruknął.

ROZDZIAŁ 17

- O nie, pani. Nie ten odcień.

Megan zastygła ze szminką w powietrzu.

- A co z nim nie tak?

Przygotowywała się na tę idiotyczną imprezę i było to wystarczająco trudne bez Malleusa, Maleficarum i Spuda za jej plecami. Wolałaby, żeby sobie poszli. Długie rękawy grubego szlafroka zawadzały o wszystko, gdy usiłowała nałożyć makijaż, ale bracia nie zamierzali wyjść z łazienki. Po, jak to określała, incydencie parkowym, nie spuszczała jej z oczu, nie pozwalali się oddalić na więcej niż metr. Musiała dzwonić do Dantego, żeby pozwolili jej spokojnie skorzystać z łazienki.

- Jest fatalny, pani. Przy nim twoja cera staje się ziemista.

- No. - Spud przestępował z nogi na nogę.

- Nie mam innej.

- Nie wierzę. - Sapał Malleus. - Taka piękna kobieta jak ty, pani, a nie umie się sama umalować.

Megan się zarumieniła, słysząc ten komplement albo zniewagę. Sama nie wiedziała, czym to bardziej było.

- Świetnie. - Podała mu kosmetyczkę. - Sam coś wybierz.

Maleficarum przyjął to ze spokojem.

- Dobrze. A Spud cię uczesze.

- Chwileczkę. Żartowałam.

- O, nie. Sprawimy, że będziesz dzisiaj piękna, pani, nie obawiaj się. Siadaj. - Pchnął ją na obramowanie wanny.

Ledwie poprawiła szlafrok na udach, gdy Maleficarum zaatakował ją pędzelkiem z fioletowym cieniem.

- Nie, tylko nie ten. - Jęknęła. - Jest za...

- Zaufaj mi, pani. - Miał ciepłe, szorstkie palce. Podniósł jej podbródek.

Zamknęła oczy, gdy muskał jej powieki pędzelkiem. Czuła się jak na sesji zdjęciowej w zeszłym tygodniu, tyle że teraz zamiast zawodowego charakteryzatora zajmował się nią demon.

Ależ z niej szczęściara.

W sumie była dosyć szczęśliwa. Coraz lepiej jej szło przesuwanie przedmiotów siłą umysłu, choć nadal dziwnie się przy tym czuła i szybko męczyła.

Spotkała się ze specjalistą od izolacji akustycznej, Obiecał, że do przyszłego piątku wyciszy jej gabinet. Wkrótce będzie mogła normalnie iść do pracy. Na szczęście dodatkowe pieniądze z radia oznaczały, że nie umrze z głodu. Ale chętnie wróci do swojego gabinetu. Choćby przez kilka minut będzie mogła udawać, że nie ściga ją armia demonów i sam diabeł pod postacią dobrodusznego terapeuty

O dziwo. Tera też się przyczyniła do dobrego samopoczucia Megan. Spędziły razem tylko godzinę, pracowały nad wzmocnieniem barier Megan i na próbach sterowania jej mocą, ale Tera powiedziała, że uczennica świetnie sobie radzi. Nawet Dante ją pochwalił.

Oczywiście, znowu starał się ją zaciągnąć do łóżka, więc nie wiedziała, czy mówił szczerze. W końcu „jesteś beznadziejna” nie zachęci dziewczyny do seksu.

A Dante na pewno wiedział, co zrobić, żeby myślała tylko o jednym. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła mu się opierać. Nie była pewna, czy w ogóle tego chce.

Maleficarum regulował jej brwi z takim zapałem, że aż się skrzywiła. Ale to okazało się nieistotne, gdy się uparł, że przyklei jej sztuczne rzęsy. Były ciężkie i lepkie, gdy chciała unieść powieki.

- Nie otwieraj oczu, pani. - Powiedział. - Klej musi wyschnąć.

- Skąd je miałeś?

- Z twojej torebki.

- Nie mam żadnych... O, nie! Nie były przypadkiem w różowym opakowaniu?

- Dokładnie.

- Miałam je sobie przykleić na Halloween. Są za długie. Nie mogę z nimi iść. - Wyciągnęła rękę, żeby je odkleić, ale Maleficarum ją powstrzymał.

- Pani, daj mi, proszę, skończyć.

Stłumiła westchnienie i czekała cierpliwie, gdy pudrował jej usta, pomalował dwukrotnie szminką, wytarł chusteczką.

- Zawsze zostawiam szminkę na kieliszkach i szklankach. -
Stwierdziła.

- Chcesz, pani, powiedzieć, że ją zjadasz. - Malleus zachichotał. -
Widzimy to, pani.

Otworzyła oczy, by spiorunować go wzrokiem, ale Melaficarum przywołał ją do porządku.

- Nie otwieraj oczu, pani. - Mruknął.

Koniuszkiem palca przeciągnął po jej wargach tak delikatnie, że na początku nie była pewna, czy to zrobił. Jej skóra drżała pod jego dotykiem, ale jego palec sunął dalej, aż łaskotały ją całe usta.

- Co ty robisz? - Mówienie przychodziło jej z trudem.

- Utrwalam szminkę.

- Mogę otworzyć oczy?

Kolejne mrowienie, tym razem na powiekach.

- Tak. Ale nie ma podglądania, póki cię nie uczeszymy, pani.
Spud, chcesz ją na toalecie?

- Ano.

Megan usiadła na pokrywie klozetu, a Spud czesał i upinał jej włosy przez, jak jej się wydawało, co najmniej godzinę. Szpilki wbijały jej się w skórę głowy, powietrze przesycił zapach palonych włosów, gdy włączył lokówkę.

Jak to Spud, nie odzywał się, ale Malleus i Maleficarum zapewnili jej relację na żywo.

- Och, jak ładnie! Tak.

- Dobrze, okręć to tutaj, niech opada z lewej.

Spud przymocował coś na czubku jej głowy i cofnął się o krok.

- No proszę. - Stwierdził Malleus z zadowoleniem. - Pięknie, ot co.

Megan miała wrażenie, że jej twarz pokrywa warstwa makijażu gruba jak u prostytutki. Wstała zeszywniała i spojrzała w lustro.

Nigdy w życiu nie wyglądała równie pięknie. Minęło kilka sekund, zanim uwierzyła, że nie przykleili na lustrze zdjęcia, żeby ją nabrać.

Spud upiął jej włosy w kok płynnego, błyszczącego złota. Kilka kosmyków wymknęło się niesfornie - opadały na uszy i sprawiały, że

fryzura wyglądała, jakby zrobiła ją w pośpiechu. W masie włosów coś błyszczało - spinka, nie miała takiej w swojej kolekcji. Nie miała pojęcia, skąd ją wziął.

Miękkie kosmyki zaczesane na bok opadały na oczy zadziwiająco niebieskie i głębokie na tle chłodnych cieni na powiekach. Maleficarum wybrał nie tylko fioletowe, ale też zielonkawę, srebrzyste i opalizujące jak skrzydło motyla. Sztuczne rzęsy stanowiły ciemną oprawę jej oczu, sprawiały, że była zarazem zmysłowa i niewinna, a jej usta wydawały się niewiarygodnie miękkie i słodkie dzięki głębokiej czerwieni.

- Gdzie się tego nauczyliście?

- Mieliśmy sporo czasu, pani. - odparł Malleus. - W naszym wieku dużo się umie.

- Ile macie lat?

Jednocześnie wzruszyli ramionami.

- Koło pięciuset. - Odparł Malleus. - Nie wiemy dokładnie.

Spud otarł łzę. Maleficarum poklepał go po ramieniu.

- Ładnie wygląda. - Wymruczał. - Odwaliłeś kawał dobrej roboty, ty stary durniu.

Spud zarumienił się i spuścił głowę. Megan najchętniej objęłaby ich serdecznie, ale się powstrzymała. Nie czułoby się dobrze w takiej sytuacji, zwłaszcza, że nadal była w szlafroku. Obserwowali ją jak trzech dumni, rogaci ojcowie, którzy wydają córkę za mąż. Nagle łzy zakręciły się jej w oczach.

Jeszcze nikt nigdy tak na nią nie patrzył.

Zamrugła, żeby nie zepsuć dzieła Maleficarum.

- Wspaniale się spisaliście.

Skinęli głowami. Uśmiechali się.

- Teraz się ubiorę. - Oznajmiła. - Gdybyście zechcieli odwrócić się na chwilę...

Poszli za nią do sypialni. Ustawili się przy drzwiach, Spud zajął miejsce przy oknie. Megan otworzyła komodę z bielizną i wyjęła pas i pończochy. Zbyt seksowne?

Przecież idzie na tę imprezę z Brianem, który w tej chwili jest nią zainteresowany mniej więcej tak jak... lewatywą. Nikt... przecież z nikim innym się dzisiaj nie spotyka.

A poza tym i tak nie miała żadnych czystych rajstop. Musi włożyć pończochy.

Wyjęła z szafy nową fioletową sukienkę i wsunęła ręce w rękawy do łokci. Była to skromna, bezpieczna sukienka. Do pół łydki, wąska spódnica, płytki dekolt.

- Zapnijcie mi suwak?

Malleus się odwrócił. Spochmurniał.

- To ta sukienka, którą, pani, kupiłaś?

- Tak, dlaczego?

- Nie, nic. - Podciągnął jej suwak. Maleficarum wyjął telefon komórkowy i zamruczał coś do słuchawki, gdy odwróciła wzrok.

W zeszłym tygodniu trochę schudła, w sumie nic dziwnego. Była tak zdenerwowana, że energii wystarczyłoby na mały kraj, zresztą nie miała czasu ani chęci najedzenie.

Ale przez to sukienka była na nią za duża.

Wyglądała jak mała dziewczynka w ubraniu matki.

Westchnęła. Trudno. Nikt nie twierdził, że jest najelegantszą kobietą na świecie. A gdyby ktoś to powiedział, roześmiałyby się w głos. Bardzo chętnie rozpoznawałyby dzieła znanych projektantów, ledwie rzuciła na nie okiem i chciałyby kupować drogie ciuchy i buty. Ale żyła w realnym świecie i musiała się utrzymać z tego, co zarobiła. Nie było sensu przeglądać czasopism i gapić się na to, czego nie mogła mieć. Dlatego unikała magazynów poświęconych modzie.

Wyglądała dość dobrze, żeby iść na bal z dziennikarzem, który podejrzewał, że chce mu zrobić pranie mózgu. Szła tam w końcu służbowo.

Gdy buszowała na dnie szafy w poszukiwaniu butów Maleficarum powiedział:

- Pani, pan Dante zaraz przyjedzie, będzie za pięć minut. Kazał ci usiąść i poczekać.

- Świetnie. - Mruknęła. Jeden but dyndał w jej dłoni, a drugi ciągle się gdzieś chował. Wizyta Greysona to wspaniały pomysł, zwłaszcza, że Brian był już w drodze.

Gdy przyszedł, siedziała skromnie na kanapie. W końcu udało jej się odnaleźć i włożyć buty. Wraz z nim do pokoju wtargnął powiew zimnego, świeżego powietrza z nutą dymu. Frak pięknie leżał na jego smukłej sylwetce.

Poruszał się w nim pewnie i swobodnie. Musiała się powstrzymać, żeby nie dotknąć jego rękawa, by się przekonać, że jest tu naprawdę.

- Wstań. - Zakomenderował.

- Tak, ja też się cieszę, że cię widzę.

Przewrócił oczami.

- Wstawaj. Brian będzie tu za parę minut, tak? Nie sądzę, żeby się ucieszył na mój widok.

- Mój Boże. - Mruknęła. - Nie wiedziałam, że się go boisz.

Spiorunował ją wzrokiem i zacisnął usta jak zawsze, gdy coś go szczególnie rozdrażniło.

- Po prostu wstawaj.

Uśluchała, zła na siebie, że to robi, ale nie widziała sensu w głupim uporze. Mogła klócić się przez kolejny kwadrans, ale w końcu i tak wstanie.

Pokręcił głową, skrzywił się.

- Fuj. Chłopcy mieli rację. - Już wracał do drzwi. - Czekał tu.

Fuj? Nigdy nie wyglądała równie ładnie, miała na sobie nową sukienkę, a on mówi: „Fuj”? Drań.

- Trzymaj. - Podał jej wielkie białe pudło. - Włóż to.

- Słucham?

Potrząsnął pudłem.

- To sukienka. Włóż ją. Szybko, muszę iść.

- Nie chcę.

- A co, wolisz spędzić wieczór w czymś, co przypomina narzutę z babcinej kanapy?

- Nie jest aż tak źle.

- Ależ jest. Przebieraj się i spal to.

Megan wzięła pudło i położyła na kanapie, zdecydowana wyśmiać jego zawartość. Ledwie uniosła wieko, zapomniała o wszystkim. Kryształowe koraliki mrugały do niej z obłoku czarnego szyfonu. Bardzo kobiecy jęk zachwyty wyrwał się z jej ust, gdy wyjęła suknię z bibuły.

Gorset bez ramiączek błyszczał od koralików i cyrkonii, miękkie fałdy spódnicy spływały do ziemi. Nigdy w życiu nie miała na sobie czegoś takiego.

- Nie mogę. - Powiedziała, z trudem odrywając wzrok od prezentu. - Dziękuję, ale mam sukienkę.

- Jest brzydka.

- Jak miło z twojej strony.

- Posłuchaj. Megan. Nie obchodzi mnie, czy chcesz wyglądać jak osoba pozbawiona gustu, ale będą tam dzisiaj ludzie z prasy. Że już nie wspomnę o moim szefie, który chyba pojawi się specjalnie, żeby cię poznać, i kilku innych wysoko postawionych członków mojej Meegra. Demony są bardzo... Mówi się, że nie szata zdoła człowieka. My jesteśmy innego zdania, więc postaraj się wyglądać ładnie, dobrze? Chcesz ich pomocy?

- Czyli nie pomogą mi, jeśli będę brzydka?

Uśmiechnął się. Jego zęby były bardzo białe.

- Czyli nie zaszkodzi, jeśli przypomnisz im, że jesteś słodką, atrakcyjną kobietą, a nie drażliwym kłębkim nerwów, choć to drugie jest bliższe prawdy.

Megan przyjrzała się sukience z przesadnym wstrętem. Bardzo chciała ją włożyć, ale nie chciała, żeby to dostrzegł, więc skinęła głową i weszła do sypialni, trzymając krację na odległość wyciągniętej ręki, jakby była wyjątkowo paskudna.

Leżała idealnie, przywierała do jej drobnych piersi powiększała je optycznie, zwężała talię, wdzięcznie spływała do ziemi. Jej blada cera promieniała na tle czarnego szyfonu. Przyjrzała się sobie z zachwytem, zmarszczyła brwi i wyszła z pokoju.

- Dobrze, pójdę w tym, bo zależy mi na pomocy twojej Meegra. Ale jutro to oddam, jasne?

Jego wargi drgnęły.

- Oczywiście. Dlaczego zależy ci na pomocy?

Pukanie do drzwi ją przestraszyło. Greyson westchnął.

- To pewnie twój towarzysz. Zobaczymy się na miejscu.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pochylił się i wycisnął szybki, miękki pocałunek na jej wargach.

- Ej! - Zawołała, ale już się wymknął przez drzwi na taras, jak wampir rozplywając się w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 18

Megan ciaśniej owinęła się szalem ze sztucznego futra. W samochodzie nie powinna marznąć, włączyli przecież ogrzewanie, a jednak fale dezaprobaty płynące od sztywnej postaci Briana sprawiały, że miała ochotę skulić się w kłębek pod stosem koców.

- Ale frajda. - Powiedziała. - Po prostu super.

- Przykro mi, że nie jestem równie atrakcyjnym towarzystwem, jak twój chłopak z mafii.

- To nie jest mój chłopak.

- Nie jest też twoją niańką, do cholery. Wiesz co, Megan? Miałem w nosie, co was tak naprawdę łączy, dopóki nie zorganizowaliście tej napaści czy co tam było w parku i nie zaczęliście majstrować przy moim umyśle. Ale zrobiliście to. Nie wiem, w co gracie, ale ostrzegam, że prędzej czy później poznam prawdę. A kiedy ją poznam, dowie się też reszta miasta.

- Czyli jakichś dziesięciu, piętnastu czytelników „Hot Spot”. - Miało to zabrzmieć chłodno i obojętnie, ale na tytule gazety głos jej się załamał.

- Mamy więcej czytelników. Zresztą, kiedy o tym napiszę, nie będę już tam pracował, tylko w prawdziwej gazecie, może nawet w większym mieście. Powiem im tylko, co robisz. Jak oszukujesz.

- Będą to mieli w nosie, nawet, jeśli ci uwierzą.

Cholera, jeśli się rozplacze, zepsuje sobie makijaż. Wyjęła chusteczkę z błyszczącej wieczorowej torebki i otarła powieki.

Brian chyba widział jej gest. Chłód osłabł. Po chwili przerwał milczenie.

- Nie będę przepraszał, ale nie chcę, żebyś w tym dalej tkwiła, Megan.

- Dlaczego? Przecież robisz to samo.

Westchnął.

- Myślałem, że jesteś dobrym człowiekiem. Kiedy cię poznałem, wydawałaś mi się miłą, dobrą osobą.

- A teraz? - Sama nie wiedziała, dlaczego ją to obchodzi. W końcu, kim jest Brian? Zwykłym dziennikarzem, któremu zlecono artykuł o niej. Przecież nie zobaczy go nigdy więcej. To nie przyjaciel, zaledwie znajomy.

Bolało, najzwyczajniej w świecie bolało, że ktoś źle o niej myśli. I to nie mieszkaniac jej rodzinnego miasteczka, bo tam nadal uważano ją za morderczynię.

- Posłuchaj... Wygląda na to, że jesteś osobą, która nie może nic poradzić na to, kim jest. Nie wydaje mi się żebyś świadomie chciała kogoś oszukać. To nie usprawiedliwia tego, co robisz i robiłaś... Ale nie uważam, że postępowałaś w złej wierze. Po prostu nie myślisz. Albo ci nie zależy, albo... Sam nie wiem. To smutne. W ogóle tego nie rozumiem.

- To nie tak. - Zaczęła. Za jej plecami jeden z braci się poruszył. Pochylił się do przodu i położył jej ciężką dłoń na ramieniu. Chyba wygląda na bardziej przejętą, niż sądziła.

- Chciałbym w to uwierzyć. - Mruknął Brian. W końcu wjechali na parking. Chłodne powietrze wtargnęło do wnętrza samochodu, gdy drzwi się otworzyły. Megan wysiadła i otuliła się szalem.

Brian wręczył kluczyki parkingowemu i stanął koło niej.

- Gotowa?

- Co? Nie, nie jestem gotowa. Nie chcę spędzić wieczoru w twoim towarzystwie, bo uważasz mnie za morderczynię i osobę, która siłą wdziera się do ludzkich umysłów.

- Trochę ciszej. - Chciał wziąć ją pod rękę, ale Spud go uprzedził. Megan zerknęła na demona Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Już dobrze, pa... pani Chase. - Mruknął Malleus. - Nie powinna pani mówić tak głośno, nie tutaj.

Megan rozejrzała się dokoła. Rzeczywiście inni goście przyglądali się im ciekawie, nie wiedziała jednak, czy zainteresowanie budziła ich rozmowa, czy raczej trzech olbrzymów we frakach i cyklistówkach.

- W porządku. - Wzięła Briana pod rękę. - Idziemy.

- Chcesz mnie samego zaciągnąć w krzaki?

- Tak.

- Ale pani... pani Chase, to chyba kiepski pomysł. Pan Dante nie byłby zachwycony...

- Cicho, panie Brown.

Obcasy zapadały jej się w murawę, gdy prowadziła Briana do sosnowego zagajnika obok budynku. Zaintrygowani goście odprowadzali ich wzrokiem.

Świetnie. Teraz wszyscy pomyślą, że nie mogę się doczekać, aż go uwiode gdzieś w kącie.

Ale nie mogła dłużej czekać. Chciała, żeby ją przeczytał, żeby jej szczerze powiedział, czy jest zła, czy nie. Czy wszelkie decyzje, które podjęła po szesnastym roku życia - to, że zajęła komuś miejsce parkingowe, zamknęła drzwi windy przed nosem osobie z zakupami, wygłaszała złośliwe komentarze - czy te wszystkie samodzielnie podjęte decyzje robią z niej taką osobę, za jaką ją uważał.

A może jednak jest dla niej jakaś nadzieja.

- Co to ma...

- Zamknij się i czytaj. - Warknęła. Ucisnęła jego dłoń i opuściła barierę ochronną. Do końca.

W pierwszej chwili niczego nie czuła, potem siła myśli otaczających ich ludzi i moc Briana wtargnęły w nią. Upadła.

Czuła na sobie szorstkie dłonie braci, gdy podnosili ją z ziemi, ale nie zapamiętała tego. Po prostu dotykali jej ciała, ale jej w nim teraz nie było, nie do końca. Unosiła się w powietrzu, a w jej umyśle przebywał ktoś inny.

Myśli zjawiały się same, a on przeglądał je powoli, bezlitośnie. Zobaczyła najpierw twarz Harlana Troopera, potem był Art Bellingham i Regina, dziewczyna, która zadzwoniła do radia. Jej matka ze strachem w oczach. Znowu Trooper, o pozieleniałej twarzy, opluty, z szeregiem srebrzystych kłów w rozchylonych ustach. Dzieciaki w szkole - śmieją się z niej, podstawiają nogę, drażnią na lekcjach. Greyson Dante, jego ramiona, jego usta, tam w ogrodzie...

Nie! Ta jej cząstka, która jeszcze się kontrolowała chciała się wycofać, ale było już za późno. Plecy Dantego, jej dłoń na małych wypustkach wzdłuż kręgosłupa. I kolejny obraz - chłopak, z którym spotykała się na studiach, leży nago na zalanym słońcem łóżku w akademiku, a ona siedzi na nim okrakiem.

- Nie! - Tym razem krzyknęła naprawdę, miotała się, szarpała, chcąc odsunąć się od Briana. Silne dłonie zacisnęły się na niej, na nim... Silne dłonie, tym bardziej pożądane, że nie niosły żadnych wizji. Demony.

Brian usiłował się wycofać, ale coś wplątało się między nich i trzymało z całej siły. Atak nastąpił, zanim znów postawiła barierę. Za murem był tłum ludzi, inni czekali na zewnątrz, w samochodach. Ich myśli ją zaatakowały, ich emocje narastały w niej, aż obawiała się, że eksploduje.

Ciekawe, jak długo potrwa, zanim sekretarka zadzwoni w wyjątkowo pilnej sprawie... Też mi pilna sprawa - nowa bielizna.

Och, jakie to wspaniałe!

Dobra. Za pięć ósma. Drew będzie czekać za dwie godziny. Pamiętaj, żeby wyrzucić ten cholerny zegarek w krzaki, zanim wezwiesz policję.

Odwróciła się, wypchnięta z własnego ciała, mknęła przez niebo. Ale atak emocji i myśli nie ustawał. Nienawiść. Zazdrość. Wyszczерzone pyski osobistych demonów przepełniały jej myśli, tańczyły dokoła. Znowu krzyknęła, widząc świadomość w ich ślepiach. Krzyczała, bo za nimi kryła się widmowa twarz Arta Bellinghama. Rozpaczliwie próbowała wrócić do swojego ciała, gdy usłyszała jego głos: *Widzę cię, Megan... Nie uda ci się odpychać mnie bez końca...*

Jego śmiech niósł się echem dokoła niej, jakby się na nim unosiła, płynęła. Dostrzegła przelotnie przerażoną twarz Briana, ale nagle coś wpadło między nich, ucięło śmiech Arta, zatarło wyszczerzone pyski demonów. Coś, co paliło jak ogień. Ale był to płomień, który mogła wytrzymać, który dawał siłę.

Huczał jej w uszach, buzował w oczach.

- Pomóżcie mi! - Usłyszała jęk Greysona. Płomienie na moment przygasły, ale zaraz buchnęły z nową siłą, zabarwione na białe i niebiesko.

Wróciła do swojego ciała, do rzeczywistości. Niemal leżała w ramionach Greysona, a Malleus, Maleficarum i Spud położyli dłonie na jej ciele - nogach, barkach, udach. Przez chwilę poczuła się zawstydzona i wtedy ją puścili.

Greyson postawił ją na nogi, ale nadal ją podtrzymywał.

- Co tu się działo, do cholery?

- Panie Dante, pani chciała, żebyśmy...

- Mówiła, że wszystko będzie dobrze, że chce tylko...

- Jezu, sam nie wiem. - Ostatnie słowa wypowiedział drżącym głosem Brian. Megan oderwała się od ciepłej piersi Greysona, żeby na niego spojrzeć.

Blady i roztrzęsiony opierał się o ścianę.

- Pozwoliłam Brianowi mnie przeczytać. - Odparła. Nawet jej głos brzmiał jakoś obco. - Nie wierzył mi i chciałam... myślałam...

- Cholera. - Greyson zacisnął dłoń na jej talii. - I co, dostałeś więcej, niż chciałeś, co? Stone?

Brian oparł się o ścianę budynku i sięgnął do kieszeni fraka, żeby wyjąć lekko pogniecioną paczkę papierosów. Nie wiedziała, że pali.

- Nie palę. - Odpowiedział. Domyśliła się, że wyczytał pytanie z jej twarzy. - Mam je przy sobie na wypadek, gdyby któryś z rozmówców chciał zapalić. - Wyjął papierosa, wsunął w usta i sięgnął po tandetną plastikową zapalniczkę.

Greyson wyjął mu papierosa z ust.

- Zaraz sobie podpalisz filtr. - Mruknął. Odwrócił papierosa, oddał mu i sięgnął po kolejnego dla siebie. - Ja też nie palę. - Poinformował Megan. Jego oczy wydawały się większe w bladej twarzy.

Za to chłopcy - owszem. Megan nagle poczuła się wyobcowana, do tego irytowała ją myśl, że papierosy stały się ważniejsze niż to, co się stało przed chwilą. Ona też sięgnęła po jednego. Dante go jej przypalił. Spozrzegła, że choć nadal trzymał zapalniczkę Briana, nie skorzystał z niej. Delikatnie musnął jej bark i cofnął dłoń.

Dym dławił ją w gardle i piersi, ale udało jej się nie zakrztusić, choć oczy ją piekły.

- Świetnie. - Stwierdził w końcu Brian – Fajnie, że jesteśmy kumplami od papierosa, ale czy ktoś mi w końcu powie, co się właściwie stało?

Dante wypuścił dym z płuc. Szary obłoczek zawisł w powietrzu i spowił jego twarz cieniem.

- Przekaz mocy. - Powiedział. - Tak mi się przynajmniej wydaje. Nic innego nie wywołuje takich reakcji.

- Przekaz mocy? Naprawdę? - Zaciekawiony Brian pochylił się do przodu z błyskiem w oku. - Jeszcze nigdy tego nie robiłem. To było nie lada przeżycie. - Ręce Megan w końcu przestały drżeć.

- Przekaz?

Dante skinął głową.

- Uwierz mi, każdy z odrobiną zdolności to wyczuł. Megan, całkowicie opuściłaś zasłonę, tak?

- Nie chciałam, żeby uznał, że cokolwiek ukrywam.

- Nie ukrywała. - Potwierdził Brian. - Przepraszam, Megan.

Wiedziała, że przeproszał za to, co powiedział, i za to, co zobaczył.

Uśmiechnęła się lekko. Ulżyło jej bardziej, niż się spodziewała. A więc już nie uważa, że jest okropna. Ciężar, którego istnienia nawet nie podejrzewała, spadł jej z serca. Ktoś zna jej tajemnice i akceptuje ją mimo wszystko.

Człowiek, nie demon.

- No dobrze, ale kiedy całkowicie opuściła barierę, nie spodziewałaś się tego. Prawda? Napierałaś z całej sily. Wszedłeś w jej umysł. Odebrałaś jej siłę, niechcący, i wtedy jej dusza, czy jak to nazwać, zareagowała, odbierając ci twoją moc i łącząc was. Domyślałam się, że Megan nie zdołała ponownie wznieść barier i odbierała myśli wszystkich w pobliżu.

Brian skinął głową.

- Słyszałem, że to bardzo niebezpieczne. Mój dawny nauczyciel mi opowiadał.

- Rzeczywiście zazwyczaj to ryzykowny pomysł. Może się zdarzyć, że na zawsze zostaniecie razem, albo że odbierzesz jej całą moc i nie zdołasz jej oddać. To rzadkie przypadki, jednak lepiej nie ryzykować, chyba że nie ma innego wyjścia. - Spojrzał na nich. - Chyba nic wam nie jest, na szczęście, ale obawiam się, że zaraz ktoś zacznie nas szukać. Dopalmy i wracamy do sali.

Megan zupełnie zapomniała o papierosie. Został z niego tylko długi słupek popiołu. Mężczyźni dopalili swoje po filtr.

- Daj. - Brian wyciągnął rękę i podała mu niedopałek. Zdusił go w ziemi i schował do kieszeni. - Nie chcemy zostawiać śladów po takim grzechu, co? - Uśmiechnął się, ale Megan prawie tego nie widziała.

„Pamiętaj, żeby cisnąć zegarek w krzaki...” Złapała Greysona za ramię.

- Słyszałam coś.

- Tak? - Rozejrzył się. - A co?

- Nie, nie teraz, wtedy... kiedy wszystkich czytałam. Ktoś planuje morderstwo żony, zrobi to sam albo komuś zleci. Myślał o tym. Słyszałam.

- Nie mamy ważniejszych spraw na głowie? - Uniósł brwi i spojrzał na Briana.

No tak. Pewnie on też wyczuł Arta Bellingham. Na samą myśl o nim zrobiło jej się niedobrze.

- A co może być ważniejsze niż zabójstwo? - Spytała.

- Przecież nawet nie wiesz, o kogo chodzi.

Ilekoć zaczynała myśleć o nim, jako o człowieku, zdarzało się coś, co jej przypominało, że to nie człowiek, lecz demon. Ludzka śmierć obchodziła go tyle, co ją śmierć muchy.

Nie po raz pierwszy zastanawiała się, dlaczego w ogóle się nią zainteresował. I nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy chciała to wiedzieć.

- To nieważne. - Stwierdziła. - Owszem, nie wiem, o kogo chodzi, ale się dowiem i ją uratujemy. A wiesz, dlaczego? Bo tak trzeba.

Wydawał się zirytowany, ale skinął głową.

- Dobrze. Dowiemy się, kto to jest. Jednak, jeśli mamy to zrobić, musimy wejść do środka, więc proponuję... - Wyszli pomiędzy drzew na chodnik. Nie zwracali uwagi na ciekawe spojrzenia innych gości. Megan uniosła rękę do włosów.

- Cholera! Przykro mi, panowie. Moje włosy, mój makijaż... Świetnie się spisaliście, a ja wszystko zepsułam.

- Dobrze wyglądasz, wszystko w porządku. - Zapewnił Greyson.

- Użyliśmy... hm... utrwalacza. Nic się nie zepsuje.

Zatrzymali się przy drzwiach. Brian wziął ją pod ramię.

- Megan. - Odwrócił ją do siebie. - Naprawdę mi przykro.

- Nic nie szkodzi. Jeśli ją uratujemy, było warto.

Streściła im pokrótce, co słyszała i kto jej zdaniem to pomyślał. Wszystko trwało tylko chwilę, ale wydawało jej się, że był to mężczyzna po trzydziestce, zamożny. Żona była starsza, a przynajmniej on tak o niej myślał.

Osobiste demony

- Czyli w skrócie, żigolak i bogata starucha?

Cały Greyson - ujmuje wszystko w kilku słowach. I ma rację.

Brian westchnął.

- Czyli połowa obecnych tu par.

- No to sprawdzimy wszystkich. - Wiedziała, że powinna poczekać na Briana, skoro to z nim tu przyszła, ale nie mogła się oprzeć pokusie, żeby pójść przodem i poczuć na sobie spojrzenia wszystkich.

ROZDZIAŁ 19

Oczywiście, znowu zapomniała, z jakim poświęceniem Malleus, Maleficarum i Spud podchodzą do swoich obowiązków. Wbili się w tłum i dogonili ją, zanim pokonała pięć metrów.

Zapomniała również, że nie ma zaproszeń. Brian je przyniósł. Uśmiechnął się blado, pokazał je, a Megan poprawiła szal.

- Bardzo dramatycznie. - Szepnął jej Greyson do ucha. Zadrżała, gdy jego wargi otarły się o jej skórę. - A byłoby jeszcze bardziej efektowne, gdyby zadziało.

Odwróciła się. Greyson nie drgnął i tym sposobem ich usta dzieliło tylko kilka centymetrów.

Ich oczy się spotkały. Jego lewa ręka spoczywała na jej barku w nonszalanckim uścisku.

- Jeśli go znajdę, pojedziesz do mnie? - Zapytał cicho.

Chciała powiedzieć coś nonszalanckiego i erotycznego, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Wzruszyła tylko ramionami i odwróciła się, wysoko unosząc brodę, z nadzieją, że Greyson domyśli się jej intencji.

Uścisnął jej ramię, a potem jego ciepła ręka zniknęła, gdy ruszył do sali balowej.

- Megan?

Odwróciła się i zobaczyła Briana. Patrzył na nią z lekkim uśmiechem i zdała sobie sprawę, że gapiała się za Greysonem jak nastolatka usychająca z miłości. Usiłowała przybrać znudzony wyraz twarzy.

- Tak?

- Pytałem, czy chcesz się czegoś napić, kiedy wejdziemy.

- Oczywiście.

Podał jej ramię. Przyjęła je, zadowolona, że materiał fraka tłumi przepływ energii.

Nie była pewna, czego się właściwie spodziewała. Prawdopodobnie czegoś w rodzaju baru szybkiej obsługi pełnego kwiatów albo sali na balu maturalnym jedynej dużej imprezie, na jakiej była. Ale dobroczyńcy fundacji Femmel poszli o wiele dalej. Migoczące światła zwisały z sufitu, ściany zakrył biały materiał. Wywoskowany drewniany parkiet czekał przed podium, na którym stał długi stół, zapewne dla komisji dobroczynnej i najhojniejszych dawców. Nieco dalej orkiestra zaczynała grać *It had to be you*.

Cieszyła się, że włożyła sukienkę od Dantego. Jej zwykła prosta kreacja byłaby nie na miejscu w sali pełnej balowych sukien i brylantów.

Brian się nie rozglądał. Zmierzał prosto do baru i bez pytania zamówił jej dzin z tonikiem. Nie miała nic przeciwko temu. Wziął to samo. Stanęli, ostrożnie przyglądając się sobie i sącząc alkohol.

- A więc przekaz mocy... - Zaczął.

Skinęła głową, rozglądając się po sali. Ktoś w tym pięknym wnętrzu planował potworne przestępstwo. Nigdy nie zajmowałam się czymś takim, pomyślała, i stłumiła śmiech. W tym tygodniu borykała się z demonami, zombie i czarownicami, więc dlaczego zwyczajne staroświeckie morderstwo wyprowadziło ją z równowagi?

- Co tam robił Art Bellingham?

Przynajmniej wiedziała już, że Brian nie jest z nim związany. Nie poznała wszystkich jego myśli i uczuć, ale dość, by wiedzieć, że...

- Jest potężny. I mnie prześladowuje.

- Domyślałam się, że dlatego nawoływał też mnie.

- Dlatego o niego pytałeś?

Brian skinął głową.

- Jestem ciekawy z natury. A co, myślałaś, że dla niego pracuję?

- Podejrzewałam.

- Chyba nie mogę cię obwiniać. - Powiedział. - Ale nie pracuję dla nikogo poza Tremple Media, Inc.

- Dobrze. - Miała ochotę drążyć ten temat, ale wolała nie przyciągać uwagi do Bellinghama. - Widzisz kogoś podejrzanego?

- Wiesz coś więcej o tym mężczyźnie? Mówiłaś, że jest młody, ale jak młody? A może przypomniałaś sobie coś, co dotyczy kobiety?

Megan pokręciła głową.

- Chociaż... Myślał o swoim zegarku. Może to ma jakieś znaczenie?

- Nie wiem. Nie wydaje mi się, żeby ludzie nosili zegarki na bale. Spuściła wzrok.

- Ty owszem.

- Tak, ale ja jestem tylko reporterem, który nie wie, co wypada.

- W każdym razie to wszystko, co mam. Powinniśmy się rozejrzeć. Mąż tej kobiety czeka na kogoś o imieniu Drew. Może ten ktoś ma mu pomóc? Zwróć uwagę na to imię, jeśli nie będziesz mógł kogoś przeczytać.

Brian skinął głową.

- Nie tak chciałem spędzić ten wieczór.

- Ja też nie. - Megan dopiła drinka i odstawiła szklanekę na bar. - Ale przynajmniej mamy coś do roboty.

Odwróciła się i ruszyła w tłum, z Malleusem, Maleficarum i Spudem podążającymi za nią krok w krok.

- Megan, Megan! Podejdz tu. Chciałbym, żebyś poznała kilka osób. - Richard Randall, elegancki jak zwykle, pomachał do niej z podestu. - Megan Chase, to Charles Dunne, szef naszej stacji. - Pocałował ją w policzek i wiedziała, że dziś wieczorem ma nadzieję namówić Charlesa, by dał mu podwyżkę. - Charles, to nasz Pogromca Demonów.

Megan zignorowała ukłucie rozdrażnienia i przykleiła uśmiech do twarzy, wyciągając rękę.

- Bardzo mi miło.

Charles Dunne zastanawiał się, czy jej włosy łonowe są tego samego koloru, co włosy na jej głowie. Kanalia.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Megan. - Powiedział. Rzucił okiem na Malleusa, Maleficarum i Spuda. Oczywiście umierał z ciekawości, by o nich zapytać, ale Megan udawała, że nie ich tu nie ma. - Bardzo nas cieszy twoja audycja, wskaźniki słuchalności wyglądają wspaniale. Wszyscy o tobie mówią.

Tak, wiem, pomyślała.

- Cieszy mnie, że stacja jest zadowolona. - Kim jest facet za nim? Młody mężczyzna u boku kobiety, której twarz zmieniły nie do poznania niezliczone operacje plastyczne?

- A ponieważ i tak napisze o tobie „Hot Spot”, budzisz zainteresowanie ogólnokrajowe. Co sądzisz o telewizji?

- No cóż... mam odbiornik. - Mężczyzna i jego towarzyszka szli w stronę baru. Megan najdyskretniej, jak umiała, szukała w tłumie Briana albo Greysona.

Kogokolwiek, kto mógł jej pomóc.

Richard i Charles chichotali, ale Richard lekko wybałuszył oczy. A jednak. Wcale nie jest taki nonszalancki.

- Szczerze mówiąc, uważam, że na razie audycja mi wystarczy, zwłaszcza, że jeszcze nie zrezygnowałam z praktyki.

- Ale dlaczego? Po co zawracać sobie głowę pacjentami, co tydzień, skoro raz na siedem dni możesz wystąpić w radiu i telewizji i zarabiać dwa razy więcej? - Wymienił sumę, która sprawiła, że tym razem to Megan otworzyła szerzej oczy.

- Za występ w telewizji raz w tygodniu? - Nie, nie interesuje mnie to, pomyślała.

- Włączysz Pogromcę Demonów w program informacyjny. No wiesz, telefony od widzów i komentarze bieżących wydarzeń. Na przykład, jakie demony trapią prezydenta albo, które hollywoodzkie małżeństwo nie przetrwa.

Ach, mniejsza o to.

- Brzmi ciekawie. - Skłamała. - Ale nie wydaje mi się, żeby...

- Nie musisz od razu decydować. Przemyśl to. Przedyskutuj z Richardem. A jak tam wywiad? Bardzo się cieszę na ten artykuł w „Hot Spot”.

„Radiowa terapeutka morderczynią i przyjaciółką demonów”.

- Wywiad? Bardzo dobrze. - Rozciągnęła wargi w uśmiechu. - Dziennikarz jest naprawdę miły. - I pomyślała natychmiast: Pewnie, zaatakował mój umysł czterdzieści pięć minut temu i widział, jak się kochałam.

- Świetnie. Wiesz, gdy Richard zwrócił się do mnie z tym pomysłem, nie byłem nastawiony zbyt entuzjastycznie, ale miał rację. Jesteś śliczną rzeczniczką stacji. Ładna świeża buzia ożywia nasz wizerunek.

Nie potrzebowała ostrzegawczego spojrzenia Richarda, ale jeszcze chwila i naprawdę tego nie wytrzyma. Miała dosyć protekcjonalnego traktowania.

Pamiętaj o kontrakcie i jego warunkach, upominała się w myślach.

- Cieszę się, że mogę się przydać.

Młody mężczyzna z towarzyszką pojawili się niedaleko miejsca, gdzie stał Greyson, pogrążony w rozmowie z dwiema osobami. Jeśli się pospieszy, zagrozi im drogę.

- Bardzo przepraszam, widzę kogoś, z kim muszę porozmawiać. Było mi miło, Charles.

Richard nie wyglądał na szczęśliwego, ale Megan zignorowała go i odeszła w obłoku spódnicy. Bracia pruli za nią jak rekin w Szczękach, przecinając tłum.

- Greyson. - Wpatrywała się w mężczyznę i kobietę. - Co za miłe spotkanie.

Jeśli go zaskoczyła, nie okazał tego, tylko wziął ją za rękę i pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. Czy raczej delikatnie musnąć zębami płatek jej ucha. Zadrzała. Jego oddech ją łaskotał. Zaśmiał się.

- Miłe, rzeczywiście. - Powiedział. - Poznałaś już Huntera Kyle'a i jego śliczną matkę, Julię?

- Nie. - Megan uścisnęła im ręce i się uspokoiła, przeczytała oboje, dla pewności, ale to nie był zabójca i jego przyszła ofiara, tylko bardzo miły rozwodnik, którego matka mogła sobie pozwolić zarówno na działalność dobroczynną, jak i odnowę twarzy polimerami na miarę XXI wieku.

Rozmawiali kilka minut. Megan nie chciała być niegrzeczna, ale nerwy nie pozwalały jej zbyt długo stać spokojnie.

Greyson uścisnął jej ramię.

- Zatańczymy?

- Chyba raczej... - Zaczęła, ale już chwycił ją za rękę i prowadził na parkiet, gdzie kilka par kołysało się w rytm muzyki.

Obrócił ją twarzą do siebie, objął w talii i przyciągnął bliżej. Położyła mu dłoń na ramieniu, bo tego oczekiwał.

- Nie chcę teraz tańczyć.

- W takim razie nie jesteś dość uważna. Rozejrzyj się.

Prawie każda para na parkiecie składała się ze starszej kobiety i młodszego mężczyzny.

- Żigolacy. - Mruknął jej Greyson do ucha. Tak blisko... Zapach jego skóry przytłoczył ją. Jej sutki stwardniały. Miała nadzieję, że tego nie zauważy, ale wiedziała, że było inaczej. - Utrzymankowie. Kochankowie. Gdybyś chciała zabić żonę, jak spędziłabyś wieczór? Ignorując ją czy pilnując, żeby wszyscy widzieli, jak świetnie się razem bawicie, tańczycie i śmiejecie?

- Chyba nie jestem w tym dobra. - Mruknęła, gdy powoli zbliżali się ku jednej z par.

- Jestem pewny, że się poprawisz. Och, bardzo przepraszam!

Wpadli na jedną z par i trwało to na tyle długo, że Megan mogła szybko przeczytać oboje. Nie. Nie on.

- Nie muszę ich dotykać, żeby czytać. - Stwierdziła. - A jeśli będziesz próbował wpadać na wszystkich, szybko zaczną uciekać od tak niezdarnej pary.

- Wiem, że nie musisz ich dotykać, ale to ułatwia sprawę, prawda? Nie zużywasz tak dużo energii, nie opuszczasz bariery ochronnej bardzo nisko. Tym sposobem to nie będzie się tak bardzo rzucało w oczy.

- Komu?

- Mówiłem ci, jest tu dziś mój szef. I wielu innych... ludzi, z braku lepszego określenia. Wolałbym, żeby się nie dowiedzieli o twojej małej akcji ratunkowej.

- Może to któryś z nich?

- Nie. Nie możesz ich czytać.

- Ale podczas przekazu mocy...

Pokręcił głową. Jego ciemne oczy były zaledwie kilka centymetrów nad nią, poważne i głębokie.

- Nadal nie czytałaś ani mnie, ani braci. Szukamy człowieka.

- No dobrze, dotknę wszystkich, zamiast szukać ich umysłem, ale to ty masz udawać głupka, nie ja.

- Oczywiście. - Poprowadził ją w lewo. Otarła się o kilka par. Nie. Nie. Nie. Zachichotała.

- Co?

- Ten facet zastanawia się, czy żona lubi z nim tańczyć tylko dlatego, że deptanie mu po palcach sprawia jej przyjemność. - Szepnęła. Greyson się uśmiechnął.

- Uwaga, obrót. - Okręcił ją w prawo. Wyciągnęła rękę i z głupim uśmiechem dotknęła kolejnego mężczyzny, który zdradzał żonę z jednym z organizatorów balu. Paskudny typ, ale nie morderca. Pokręciła głową, wracając w objęcia Greysona.

- Nie rozumiem. - Powiedziała. - Przecież wiem, co słyszałam. Wiem, co planował.

- Może już wyszli.

- Nie. Słyszałam wyraźnie: „dwie godziny”. Powinniśmy mieć jeszcze przynajmniej pół godziny, zanim pójdą. - Chciała go puścić, ale nie pozwolił jej na to. - Daj spokój. - Mruknęła i uległa. - Muszę dotknąć wszystkich w sali.

Muzyka ucichła.

- To dla ciebie ważne, prawda? Żeby to zrobić?

Skinęła głową. Oczywiście. Jak mogłaby pozwolić komuś umrzeć?

- Dalej. - Powiedział Greyson. - Opuść barierę i zobacz, co znajdziesz.

- I wszyscy będą wiedzieli, co robię?

Uśmiechnął się i pochylił do przodu. Jego wargi ledwie musnęły jej usta.

- Czytaj. - Powiedział i pocałował ją.

Megan opuściła tarczę ochronną, skierowała swoją uwagę na tył sali, na pozostałych tancerzy i innych gości, ale odebrała zaledwie kilka niewyraźnych emocji, zanim zatraciła się w pocałunku Greysona.

Jego ramiona ją osaczały, przyciągały. Jakaś część jej umysłu niejasno pamiętała, że są pośrodku sali balowej, na którym są szefowie obojga i mogą ich zobaczyć. Ale po chwili nic jej to nie obchodziło, rozsunęła wargi, przyjęła jego język, czuła fale czystej rozkoszy mknące do zakończeń nerwowych. Wraz z jego językiem zjawilo się dziwne wrażenie, że jest w jej głowie, a potem przyplwł mocy. Nie czytał jej, ale okrywał, przylegał do jej umysłu zostawiał na niej swoją energię. Pochwycił ustami jej jęk zaskoczenia i rozkoszy. Ciało Megan stanęło w ogniu czystym i intensywnym, wolnym od myśli.

Jego palce wplotły się w miękki materiał jej sukni tam, gdzie gorset łączył się ze spódnicą. Poczwała jego erekcję, i jedyne, o czym

mogła myśleć - zresztą niezbyt składnie - to to, jak bardzo go pragnie. I że jej zazwyczaj uśpione ciało płonie namiętnością. I że chętnie pozwoliłaby mu, gdyby nie oznaczało to złej prasy i samobójstwa zawodowego, by zadarł jej spódnicę i wziął ją tutaj, na środku parkietu.

Jakimś cudem jej ręce oplotły jego szyję, jej palce znalazły jego włosy. Całował ją coraz mocniej. Coś takiego nie zdarzyło się jej nigdy wcześniej. Nigdy nie była z kimś, kogo nie mogła przeczytać, z kimś, kto zmusił ją, żeby zapomniała o umyśle, a skupiła się na ciele - o Boże, to było cudowne. A jego ciało - jeszcze cudowniejsze.

Oderwał się od niej. Dyszał chrapliwie. Lewą ręką tulił jej policzek, kciuk prawej wsunął pod brodę.

- Megan, pozwól mi się zabrać do domu. - Poprosił. - Pozwól mi kochać się z tobą. - Jego wargi wędrowały wzdłuż jej szyi do ucha, a tam jego język bawił się delikatnym płatkami. - Tyle czekałem. Boże, tak długo czekałem... Nie każ mi błagać.

Te słowa sprawiły, że przeszył ją dreszcz, przebiegi przez piersi, pomknął niżej.

- To tylko tydzień. - Mruknęła, próbując myśleć logicznie, co nie było łatwe. Zwłaszcza, kiedy delikatnie przygryzł jej ucho i wciągnął płatek do ust.

- Wydaje się, że całą wieczność. - szepnął. - Megan... Proszę. - Zadrżał lekko, jakby wypowiedzenie tego słowa było trudne. I może tak było. Wiedziała jedynie, że jej ciało także odpowiedziało drżeniem.

- Nie zatrzymaliśmy zabójcy. - Powiedziała.

- Brian może to zrobić.

- Brian myśli, że jesteś dupkiem.

- Mam to w nosie. Nie zmieniaj tematu. - I zaraz dodał zupełnie innym tonem: - Cześć, Brian!

Megan odskoczyła i się potknęła. Greyson ją złapał.

- Jakim cudem przeżyłaś tak długo, nie tracąc ręki ani nogi? Jesteś najbardziej niezdarną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Pochlebca. - Sprawy wróciły do normy, przynajmniej pozornie, ale wiedziała, że jest inaczej. Pragnienie w jego głosie, dotyk jego rąk na skórze...

Nie było odwrotu i Greyson wiedział o tym równie dobrze, jak ona. Nowa zaborczość objawiała się w tym, jak ją obejmował, przyciągał do siebie. Coś się zmieniło w tym pocałunku. Poddała się, chociaż nie powiedziała ani słowa.

Może nigdy by tego nie zrobiła. Wynik byłby taki sam.

Brian miał dość przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale chyba go znalazłem.

- Super. - Powiedziała trochę głośniejszym i bardziej entuzjastycznym głosem, niż chciała. - Gdzie?

- Tam, w kącie. - Rzucił Greyson. - Blondyn.

Megan reagowała z opóźnieniem.

- Skąd wiesz?

- Czytam go. Dzięki tobie.

- Co? Myślałam, że możesz tylko narzucać ludziom myśli, ale nie możesz ich czytać.

Brian podszedł bliżej.

- No właśnie, jak to?

- Nie mam zdolności paranormalnych. - Wyjaśnił Greyson. - Za to wy z Megan, tak. Jeśli znajdę się dość blisko w sensie fizycznym, mogę używać waszych zdolności z moją mocą. Czytam całą salę.

Megan odsunęła się i spiorunowała go wzrokiem.

- Mogłeś to zrobić od samego początku. - Rzuciła okiem na Briana, który wyglądał, jakby miał ochotę udusić Greysona. - Przez ciebie od godziny jak wariaci czytamy tych wszystkich ludzi, wypruwamy sobie flaki, a tobie wystarczyłby kontakt fizyczny z jednym z nas?

- Bliski kontakt. - Poprawił i zrezygnował się z drogi jednej z par, która zmierzała wprost na niego. - Wolałabyś, żebym się całował z Brianem? A przedtem nie byłaś w odpowiednim nastroju.

- Teraz też nie jestem. - Warknęła, odchodząc. Kłamała. Wciąż drżała.

Podniósł brew. Niech go szlag. Czyta ją? Niewiedza wyprowadzała ją z równowagi. Z drugiej strony, ostatnio wszystko wyprowadzało ją z równowagi.

Cóż znaczy jedna rzecz więcej?

ROZDZIAŁ 20

- I co teraz? - Zapytał Brian. - Bo przecież nie możemy iść na policję, prawda?

Greyson skinął ręką w stronę ściany, gdzie rozsiedli się Malleus, Maleficarum i Spud. Wyglądali trochę jak straszni dziadkowie.

- Chwileczkę. - Megan cofnęła się, żeby spojrzeć Greysownoi w oczy. - A może go zahipnotyzować?

- Słucham?

Rzuciła okiem na Briana, próbując ocenić jego reakcję. Nie był to plan, który wzbudziłby jego zachwyt, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Poza tym, że Greyson może kazać braciom zabić mordercę, co - jak się domyślała - chciał zrobić, a czego wolałaby unikać.

- Nie mógłbyś? Jeśli ci pomożemy z Brianem?

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. - Mruknął Brian i cofnął się o krok. Megan złapała go za rękaw.

- A co wolisz? Żeby zgi...

- Megan, obawiam się po prostu, co będzie, jeśli niechcący dojdzie do kolejnego przekazu mocy.

- Och. - Nie ma to jak wpaść na pole walki z karabinem maszynowym i zobaczyć, że wróg chce negocjacji.

Greyson pokręcił głową.

- Wolałbym nie. To, że posłużyłem się moją mocą poprzez ciebie, to jedno, ale jeśli zrobię to, o co prosisz...

- To co? Uratujesz komuś życie?

- Chłopcy mogliby po prostu pobić go do nieprzytomności.

- Mogłam się tego domyślić. - Mruknęła i się odwróciła.

Złapał ją za ramię i odciągnął kilka kroków dalej.

- Co to ma znaczyć?

- To, że masz w nosie, czy ta kobieta przeżyje, czy umrze. Masz w nosie to, czego ja chcę. Proszę cię o jedno, Greyson, jeden drobiazg. - Zdawała sobie sprawę, że to nie fair. Zrobił dla niej bardzo wiele, czy to z własnego wyboru, czy na rozkaz przełożonego, czy w końcu kierując się innymi pobudkami. Tego nie wiedziała. Wiedziała tylko, że zawdzięcza mu życie. - Dlaczego nie chcesz tego zrobić? Niby, dlaczego ja mam robić coś dla ciebie, skoro ty dla mnie nie chcesz nawet uratować komuś życia?

Wpatrywał się w nią i pokręcił głową.

- OK. - powiedział. Zerknął w prawo. Podążyła za jego wzrokiem, jednak nie widziała nikogo znajomego. - OK, zrobię to. Dla ciebie.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

Skinął głową, ale nie odwzajemnił uśmiechu.

- Chodźmy, więc.

Zamknął jej dłoń w ciepłym, twardym uścisku i zabrał ją z parkietu. I dobrze, bo zdążyła już dostrzec kilka zirytowanych spojrzeń par, które naprawdę usiłowały tańczyć.

- Poczekajcie przy... Och. - Zatrzymał się, a wraz z nim pozostali, jak armia.

Stanął przed nimi wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o promiennym uśmiechu na opalonej twarzy. Na jego szerokich barkach spoczywała moc, ale Megan nie odbierała żadnych wibracji. Co prawdopodobnie znaczyło, że nieznajomy jest szefem Greysona.

Zamknął jego dłoń w swoich. Brylantowy pierścień na małym palcu lewej ręki zamrugał do Megan.

- Grey. - W kącikach jego oczu pojawiła się siateczka zmarszczek, gdy się uśmiechnął. Był starszy, niż początkowo myślała. Przyjrzała mu się bliżej i dostrzegła srebrne nitki w kruczoczarnych włosach. Na czole mężczyzny pojawiły się zakola. - Szukałem cię.

- Megan. - Greyson nie odrywał wzroku od nieznajomego, chociaż już dawno skończył się powitalny uścisk. - Przedstawiam ci mojego szefa, Templetona Blacka. Temp, poznaj Megan Chase.

Megan uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Skóra Templetona była ciepła i bardzo sucha. Miała ochotę polecić mu krem nawilżający.

- Bardzo mi miło, pani Chase. Bardzo chciałem panią poznać.

- No to się panu udało. - Jak właściwie można odpowiedzieć na coś takiego?

Tempelton się roześmiał.

- Grey mówił, że jest pani bystra. Cudownie. Sporo mi o pani opowiadał.

- Czyżby? - Wiedziała, że na to czeka, więc wyrecytowała: - Proszę nie wierzyć we wszystko, co mówi. Ja też nie wierzę.

- Co to, to nie. Zawsze uważałem, że to bardzo uczciwy pracownik. W każdym razie nigdy nie dał mi najmniejszego powodu, żebym wątpił w jego lojalność wobec mnie. Prawda, Grey?

Greyson uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne.

- Prawda. Przecież mamy ten sam cel.

Tempelton przyjrzał mu się. Przez ułamek sekundy wydawało się, że jego rysy się zmieniły, nie były już tak przyjemne, jak przed chwilą, ale trwało to zaledwie moment i nie miała nawet pewności, że naprawdę tak było.

- Wierzę, że mamy. - Powiedział miękko. - Po raz pierwszy.

Megan spojrzała na Greysona. Wciąż był spięty jak łucznik przed wypuszczeniem strzały.

Tempelton klasnął w dłonie i napięcie prysło.

- O ile mi wiadomo, Malleus, Maleficarum i Spud pracują dla pani? Zależało mi, żeby wysłać najlepszych.

- Dziękuję. - A więc Greyson nie kłamał, kiedy mówił, że jego szef ją chroni.

- Bardzo proszę. Niestety, właśnie zaczyna się kolacja, muszę wracać do stolika. Może Grey przyjdzie z panią do mnie na późny obiad? Powiedzmy, na trzecią? Wspaniale. Do zobaczenia.

Megan odczekała, aż odszedł na tyle daleko, żeby jej nie słyszeć.

- Czy ja tracę rozum? Zgodziłam się, nawet o tym nie wiedząc?

Greyson uśmiechnął się, ale usta miał wciąż zaciśnięte.

- Taki już jest.

- Co to w ogóle było? I o co chodzi z tym „mamy ten sam cel”, czy coś w tym stylu?

- Co? Och, nic. Zastanawiam się, co powiem naszemu przyjacielowi o morderczych zapalach. Poczekasz tu na mnie?

I odszedł, nie czekając na odpowiedź. Megan odwróciła się do Briana, stojącego tuż za nią, i zapytała:

- Czy to jakaś męska cecha, o której nie wiem? To odchodzenie bez słowa?

- Może to cecha demonów. - Megan się spięła, ale Brian mówił dalej: - A może po prostu są zajęci. Nie chcę z tobą dłużej walczyć, Megan.

Zagryzła wargę.

- Cieszę się.

Przechodzący kelner podał im kieliszki szampana. Usiedli. Megan spod oka zerknęła na Greysona, który wyprowadzał blondyna z sali w kierunku toalety.

- Więc nie zabiłaś tego faceta, Troopera. - Zaczął Brian. - Ale nie wiesz też, kto to zrobił. - Megan upiła duży łyk szampana.

- Miałam nadzieję, że może ty coś wiesz. - Głos jej zadrżał. Odchrząknęła.

- To znaczy, myślałam, że może coś widziałeś, coś, czego nie pamiętam. Coś, co tobie, osobie z zewnątrz, wyda się bardziej znaczące... - Urwała. Wyraz twarzy Briana się nie zmienił. - Cóż, chyba nigdy się nie dowiem.

- Może pewnego dnia wspomnienia wrócą. Czasami tak się dzieje. Coś je uruchomi i ani się obejrzyysz, a cała historia jest w twojej głowie.

- A artykuł? Napiszesz o tym?

- Pominę to. - Odparł. - Umarł lokalny bezdomny. Znalazłaś ciało. Nikt nie musi nawet znać jego nazwiska ani wiedzieć, że byłaś w to zamieszana. Za to świetnie byłoby, gdybyś powiedziała, że właśnie ten incydent sprawił, że zapragnęłaś zostać terapeutką.

- Oczywiście. Wielkie dzięki, Brian. Słuchaj, jak sobie radzisz z tym wszystkim?

- Cóż... Najlepiej jak potrafię, ale na pewno nie tak dobrze jak ty.

- Ja?

- Czy to w ogóle jakoś na ciebie wpłynęło? Wydajesz się taka sama, jak pierwszego dnia, gdy się poznaliśmy. Jakby to wszystko działało się dokoła ciebie, ale nie wpływało na ciebie bezpośrednio. Jak ty to robisz? Jakim cudem zachowujesz taki dystans, że czasami mam wrażenie, że w ogóle nie masz uczuć? Upadasz, podnosisz się, idziesz dalej, a jeśli ktoś wspomina twój upadek, wydajesz się zaskoczona jak teraz.

- Brian, na co dzień zajmuję się ludzkimi emocjami. Musiałam się nauczyć, jak się dystansować.

- Tak, ale ty się dystansujesz do własnego życia.

- Nieprawda. - Zaplótł ręce na piersi i przyglądał się jej. - Nieprawda. Oczywiście, że jestem wystraszona i wkurzona. I oczywiście, że to wszystko mnie martwi. Ale nie mogę przecież zwinąć się w kłębek pod kocem i liczyć, że to wszystko zniknie. Nadal muszę żyć własnym życiem.

- Tylko, że ty się chyba tym cieszysz. Weźmy twojego chłopaka. Nie mów mi tylko, że nim nie jest, może nie był, ale teraz... To demon. - Ostatnie słowo wypowiedział szeptem. - Pozwalasz mu się dotykać. A jeśli nie sprawia ci to przyjemności, naprawdę jesteś dobrą aktorką. Nie wydaje mi się, że w pełni to rozumiesz. Greyson nie jest tylko odrobinę inny. To nie tak, że jest innego wyznania czy wychował się w innym kraju. On nie jest człowiekiem!

- Znajdą się tacy, którzy powiedzą, że my też nie do końca jesteśmy ludźmi. - Jej kieliszek był pusty. Poszukała wzrokiem kelnera. Nerwowo bębniła palcami o blat stołu, aż pochwycił jej spojrzenie i skinął głową.

- To nie to samo i dobrze o tym wiesz. Możesz się znieczulać alkoholem, ile chcesz, ale faktów nie zmienisz.

- Ja nie...

- Nie, nie jesteś alkoholiczką czy coś takiego, ale daj sobie więcej czasu.

- To okropne, co mówisz.

- Czasami prawda jest okropna. - Spojrzał w stronę drzwi, za którymi zniknęli Greyson i jego ofiara. Megan również. Upłynęło zaledwie kilka minut, ale drżała z niepokoju. Powietrze gęstniało dokoła niej, przepełnione czymś, czego nie zrozumiała.

- Oddajesz mu się, wiesz o tym. - Ciągnął Brian. - Oddajesz mu duszę bez walki.

- Oni nie zabierają nam dusz. - Kelner przyniósł jej napój, ale po słowach Briana nie upiła nawet łyka. - Zresztą, co cię to obchodzi?

- Po prostu nie lubię, gdy czarny charakter zwycięża. Dlatego zostałem dziennikarzem.

- Kto tu jest czarnym charakterem? Facet, który stara się uratować mi życie i który w tej chwili ratuje inną kobietę? Czy facet, który nie

potrafi pogodzić się z tym, czym jest i dostrzec, kim jest jego przeciwnik?

- Wszyscy są tacy sami. - Odparł. - Demon to demon.

- A kto ci to powiedział?

- Ojciec McElory. Mój ksiądz.

- Powiedziałaś o tym... Twój ksiądz?

Brian skinął głową.

- Od dziecka chodzę do kościoła Świętego Michała. Byłem ministrantem i tak dalej. Staram się zachować otwarty umysł, ale to wszystko jest sprzeczne z tym, czego mnie nauczono. Więc zadaję sobie pytanie, kto ma rację? Dziewczyna, którą znam od kilku dni czy dwa tysiące lat wiary? Demony uwodzą, Megan. Przekonują. Zrobią wszystko, byle wygrać. Skąd wiesz, że to wszystko to nie jest przebiegły plan, żeby cię przeciągnąć na ich stronę?

Megan pokręciła głową. Niewiele widziała przez łzy.

- Kieruję się tym, co czuję i w co wierzę. Faktem jest, że do tej pory nikt nie starał się mnie uratować. Nie wiem, czy to pułapka, czy nie, ale raczej w to nie wierzę. Dokonuję własnych wyborów na podstawie tego, co wiem.

Greyson wybrał ten moment, by wrócić. Wyglądał, jakby przed chwilą trafił szóstkę na loterii. Megan zmarszczyła brwi. To ona tu siedzi, zamartwia się, tłumaczy przed Brianem, a Greyson się cieszy? Mógłby przynajmniej wyglądać, jakby kosztowało go to trochę trudu.

- Załatwione. - powiedział, usiadł obok niej na tyle blisko, że jego ręka spoczęła na jej udzie, opiętym szyfonem sukni. Poprawił muszkę.

- Ominęło mnie jedzenie?

- Tak.

Brian odchrząknął.

- Jak poszło?

- Świetnie. Po prostu świetnie. Wezmą rozwód i wyjedzie z miasta, kobiecie nic się nie stanie. Najpierw trochę się opierał, ale doszliśmy do porozumienia.

Jego palce kreśliły leniwie koła na jej udzie. Przełknęła ślinę. Czy można być zarówno wściekłym, jak i chorym z pożądania?

- A więc załatwione. - Stwierdził Brian. - Znalazłeś faceta, unieszkodliwiłeś go i mamy ci pogratulować?

- Przykro mi, że nie masz materiału na sensacyjny artykuł.

Megan wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Czy Greyson wie, dlaczego Brian jest wrogo nastawiony? Czy go to obchodzi? A ją? Trudno o tym myśleć, gdy palce Greysona poruszały się tak blisko miejsca, w którym go pragnęła, że musiała walczyć ze sobą, by trzymać uda razem. Zagryzła wargę i starała zachować się normalnie, gdy Greyson ją pieścił.

Brian zmarszczył brwi.

- Mam mnóstwo tematów. - Powiedział. Chwilę trwało, zanim zrozumiała, co mówi. - O mnie się nie martw, Dante. Coś sobie znajdę.

Megan zastanawiała się przez chwilę, na czym właściwie polegała groźba Briana, ale Greyson chyba wcale się nie przejął.

- Powodzenia. - Powiedział i dopił drinka Megan.

- Już tańczyliśmy.

- To nie był taniec, tylko śledztwo. No, chodź.

Tym razem nie czekał na jej odpowiedź, zaprowadzi ją na zatłoczony parkiet i wziął w ramiona.

- O, proszę. - Jego cichy głos zabrzmiał w jej uchu, splatał się z melodią *That old black magic*. Idealnie. Zachichotała. - Nie śmieję się. Jak mam cię uwieść, jeśli ze mnie śmiejesz?

- Wiesz cholernie dobrze, że tak. - Oderwał rękę od jej talii, żeby przytulić jej głowę do piersi. - Nie jesteś w tym dobra, co?

- Obelgi nie są zbyt uwodzicielskie.

- To nie obraza, to pytanie. Całujesz, jakbyś wiedziała, co robisz, ale nie zauważasz innych sztuczek. Zastanawiam się, dlaczego.

- Mało, który mężczyzna zawraca sobie głowę uwodzeniem. - Odparła. - Wolą postawić kilka drinków i zaciągnąć dziewczynę do łóżka.

Jego śmiech łagodnie muskał jej włosy.

- Ja też tak mogę, jeśli ci to odpowiada.

- Nie, dziękuję.

- Dobrze. To nie w moim stylu.

Muzyka się zmieniła, grano coś wolniejszego, łagodniejszego, piosenkę, której Megan nie знаła. Westchnęła i zamknęła oczy, a Greyson zwolnił. Czowała, że wtapia się w niego jak roztopione lody w ciasto i wcale jej to nie obchodziło.

- „*Kiedy wzdychasz, nie jesteś wiatrem, choć niesiesz daleko moją duszę...*”. - Powiedział, zaskakując ją.

- Co?

- Na miłość boską, zamknij się i pozwól mi się uwodzić.

- Teraz też to robisz?

- Tak. Bądź cicho. „*Nie jest jasnowłosa i nie jest brunetką. i nic nie zapowiadało jej przyjscia na ziemi ani w Powietrzu*”.

- Kto to napisał?

- Sir Walter Raleigh. Jeszcze nie doszedłem do najlepszego, dopiero się rozgrzewam.

- Zawsze to robisz?

- Tego nie powiedziałam. - Bardzo jej się podobało jeszcze nikt nigdy nie cytował dla niej wierszy. - Zastanawiam się tylko, gdzie się tego nauczyłeś.

- Na studiach. Skończyłem filologię. A co? Wyobrażałaś sobie, że ślęcę nad antologią i uczę się wierszy, żeby wabić kobiety do łóżka?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Masz o mnie kiepskie zdanie. Lubię wiersze, ale ich nie potrzebuję.

- Czyżby?

- Owszem. - Zanim się zorientowała, co chce zrobić, zatrzymał się i wziął jej twarz w dłonie. - Ale jeśli wolisz bardziej bezpośrednie podejście, proszę bardzo.

Chociaż wiedziała, co teraz nastąpi, pocałunek i tak sprawił, że nogi się pod nią ugięły. Osunęła się w jego ramiona, złapała jego barków, jakby był jedynym stałym elementem na świecie. - rozkołysanym, wirującym, który wkrótce stał się tylko nieistotnym brzęczeniem w uszach.

Zetknęli się czołami.

- No, już. - Powiedział.

Podobało jej się, że nie czekał na jej odpowiedź. Podobało jej się, że gdy schodzili z parkietu, cały czas trzymał ją za rękę, sprawiał, że po raz pierwszy od dawna poczuła się bezpieczna. I czuła, że ktoś naprawdę jej pragnął.

Zdawała sobie sprawę, że niewykluczone, iż Greyson myśli to samo, co inni, z którymi poszła do łóżka - oby nie chciała zostać do rana, oby wzięła do buzi...

Bardzo możliwe, że Greyson myśli to samo. Ale tym razem ona o tym nie wie. Nie wyczuwała, że ją odrzuca, jeszcze zanim do czegośkolwiek doszło. Po raz pierwszy odkąd sięgała pamięcią, miała nadzieję. Towarzyszyło jej nerwowe, radosne podniecenie. Uczucia, których jak sądziła zaznaje niemal każda kobieta na świecie, gdy mężczyzna zabiera ją do łóżka. Brian był pogrążony w rozmowie z atrakcyjną brunetką i ledwie zauważył, kiedy powiedziała, że Greyson ją odwiezie. Richard już wyszedł.

Dante podszedł z nią do stolika, przy którym Malleus, Maleficarum i Spud gawędzili nad mnóstwem pustych kieliszków.

- Macie wolne do rana. - Powiedział. - Pani Chase będzie ze mną.

ROZDZIAŁ 21

Greyson wpuścił ją do swojego mieszkania i wszedł za nią. Dostrzegła tylko światło wpadające przez wysokie okna na przeciwległej ścianie, zanim ją objął i przyciągnął do siebie. Miał gorące wargi.

Jego ręce prześliznęły się w górę jej ciała, pod szal, zsunęły go na podłogę, gdy przesuwali się w stronę ściany. Miała to w nosie. Nie interesowało jej teraz nic, poza jego ręką na ramionach. Dotknęła jego fraka, chciała go zdjąć, ale zagubiła się, ledwie dotknęła jego klatki piersiowej pod koszulą. Pod jej dłońmi wydawał się taki silny. Mogła się na nim oprzeć.

Ściągnął frak i przez chwilę było jej zimno, bo jej nie dotykał.

Wyciągnęła ręce do jego krawatu, ale jej niezdarne palce mocowały się z nim bezradnie, aż zdjął go sam, jednym szybkim, płynnym ruchem. Jej palce były tak odurzone, niezgrabne, niekształtne, ale reszta jej ciała zdawała się giętka i lekka, przepełniona energią. Jej. Jego. Nieważne.

Razem mocowali się z guzikami jego koszuli, ich palce splatały się, aż w końcu Greyson warknął i rozerwał koszulę. Wydawał się unosić w powietrzu, tak lekko się poruszał, gdy wziął ją na ręce i niósł w ciemność, ciągle w koszuli, ciągle z ustami na jej wargach.

Jego moc wnikała w nią, dodawała energii. Pokój za jej zamkniętymi powiekami się rozjaśnił. Otworzyła oczy i zobaczyła pod wysokim sufitem jego sypialni maleńkie płomienie tańczące w powietrzu jak kolorowe światełka.

Rzucały rozmazane cienie po pokoju i przywodziły na myśl katedrę, cichą i majestatyczną budowlę, dla której nie ma już miejsca w twardym, jasnym, współczesnym świecie.

Rozmyte światło podkreślało ostre kości policzkowe Greysona. Wydawał się skąpany w złocie. Postawił ją na miękkim dywanie. Jego

oczy były zamglone, czarne, nie licząc czerwonego blasku - odbicia ogników.

Ale czy to na pewno tylko odbicie? Spojrzała na niego badawczo, a on pod jej spojrzeniem zamrugął i opuścił głowę.

- Moje oczy... oczy demona... czasami stają się czerwone. - Wyjaśnił. I ten brak pewności w jego głosie, który zawsze ocierał się o arogancję, podziałał na nią bardziej niż drzenie jej ciała i pragnienie, żeby zobaczyć go nago.

Przyłożyła mu dłoń do policzka i przyciągnęła do siebie, bez słów odpowiadając na niezadane pytanie.

Mruknął coś gardłowo i odnalazł zamek błyskawiczny jej sukienki. Rozpiął go, przesuwając dłońmi po jej nagich plecach.

- „*A jej ubranie z niej ściekło*”. - Zamruczał. Uśmiechnęła się. Znała ten cytat. Już otwierała usta, żeby mu w powiedzieć, ale wtedy jego palce musnęły jej piersi, tuż nad miejscem, gdzie kończyły się miseczki stanika bez ramiączek.

Wprost zapało jej dech.

Znaczył pocałunkami jej szyję, wędrował do ucha i rozpiął haftki stanika. Jęknęła, gdy jej twarde sutki otarły się o jego klatkę piersiową, gdy przebiegł dłońmi po jej nagiej skórze, złapał ją za pośladki i przyciągnął do siebie. Był taki twardy pod szorstkim materiałem spodni, że wyrwał jej się ochryply jęk.

- Pas do pończoch. - Powiedział głosem stłumionym przez jej skórę. - A myślałem, że nie umiesz uwodzić. - Jego zwinne palce wśliznęły się pod jej majtki, rozpięły pas. - Zdejmijmy to.

Ostrożnie ułożył ją na łóżku. Jej skóra lśniła, miękka i gładka w migotliwym świetle. Nigdy wcześniej nie widziała się w ten sposób, jakby poprzez jego pożądanie. Było wypisane na jego twarzy, gdy rozpiął spinki w mankietach i ściągał koszulę.

Jednym szybkim, płynnym ruchem ściągnął najpierw jej majtki, potem pas i pończochy - zsuwały się z miękким szepem jedwabiu. Myślała, że będzie chciał, żeby w nich została, i na myśl, że woli jej nagość, zarumieniła się z radości.

- Re ngarla. - Szepnął, przesuwając powoli dłonią w górę jej ud. Zatrzymał kciuk u szczytu. Pochylił się nad nią, chłonał płonącym wzrokiem, a potem opuścił głowę i zamknął usta najpierw na jednym sutku, potem na drugim.

Wygięła się w łuk, wciągnęła powietrze przez zęby. Jego naga pierś napierała na jej brzuch, jego ramiona obejmowały ją mocno. Zapach jego szamponu, dymny zapach jego skóry wypełniał jej nozdrza. Zatraciła się w tym, w nim. Na świecie nie istniało nic, tylko łóżko i Greyson, gdy powoli i łagodnie pieścił jej piersi, że prawie krzyczała z pragnienia. Płonęła, cierpiała, jej ciało wiło się pod jego ciepłem.

Nie mogła patrzeć, gdy zsuwał się coraz niżej, co jakiś czas leniwie muskając zębami jej żebra, brzuch, biodra. Nie docierały do niej jego myśli.

Tylko jego ochryply oddech zdradzał, co czuł, co myślał. Jego ręce pomknęły do jej ud, uniosły je, pośliznęły się na jej nagiej skórze, czuła tylko ogień i pożądanie. Miała wrażenie, że zawisała na skraju otchłani, pełnej ciemności i ciszy. I większego spokoju, niż kiedykolwiek czuła. Gdy jego wargi dotknęły jej wilgoci, runęła w przepaść ze stłumionym krzykiem.

Wszystko, co sobie myślała o jego delikatnie rozdwojonym języku, okazało się prawdą. Wiedział, jak się nim posługiwać. Zamknął kłębek nerwów spoczywający między jej udami w ciepłe swoich warg, bawił się nim, muskał językiem. Tańczyła pod nim, niezdolna przestać. Był taki gorący, jego ręce na jej udach, mknące po brzuchu do piersi. Jego oddech na jej wrażliwej skórze, jego język na jej płci, sięgający jej tajemnic, wydobywający więcej, niż ktokolwiek zdołał. Poruszał się raz powoli, raz szybciej, aż zadrżała na cienkiej linii między rozsądkiem a szaleństwem.

Wsunął w nią język. Jej ręce w jego włosach szarpały i ciągnęły nieświadomie. Greyson przesunął się, oparł jej pięty o swoje szerokie ramiona i zamknął na niej usta.

To wystarczyło. Wygięła się w łuk, uniosła z postania. Wbiła pięty w jego barki, ale nie czuła tego, nie czuła niczego poza orgazmem, który targał jej ciałem, niszczył ją, sprawiał, że krzyczała jego imię, wpatrzona w dal nie widzącym wzrokiem. Przez, jak się wydawało, długie godziny unosiła się na fali rozkoszy, rozedrgana, spełniona, jakby jej dusza uciekła w wielkim wybuchu.

Odsunął się, całował jej uda, napięte mięśnie brzucha, drżące przy każdym chrapliwym oddechu, nabrzmiałe sutki, szyję, twarz. Jego

spodnie ocierały jej skórę. Pozbyła się resztek nieśmiałości, gdy sięgała do jego rozporoka, bo oddzielał ją od niego.

Nie odrywając od niej wzroku, sięgnął niżej, ściągnął spodnie ze szczupłych ud. Spojrzała w dół, by zobaczyć go całego. I nie dostrzegła niczego, co sprawiłoby jej zawód. Wręcz przeciwnie. Doskonałość sugerowana przez twarde mięśnie górnej połowy jego ciała nie kończyła się w pasie. Może Greyson Dante jest demonem, ale los hojnie go obdarował.

- Nie zajdziesz ze mną w ciążę. - Powiedział niskim, ochryplym głosem. - I nie zapadam na ludzkie choroby ani ich nie roznoszę, ale jeśli chcesz, założę...

- Nie. Ale dziękuję.

W odpowiedzi wrócił na posłanie, ułożył się na ogromnym materacu pokrytym jedwabiem, tak że przykrywał ją sobą. Całował jej szyję, czoło. Jego ręka wsunęła się pod jej kark, drugą uniósł jej udo i zarzucił sobie na ramię, by utorować drogę swojej nabrzmiałej męskości.

Jedno spokojne, silne pchnięcie i znalazł się w niej cały, rozciągał ją, wypełniał, nie tylko gorącem swego ciała, ale i swoją mocą. Przenikała jej tułów, uderzała do głowy z taką siłą, że krzyknęła Rozkosz nad rozkosze, granicząca z bólem. Zadrzała, już spragniona spełnienia. Nic, co przeżyła, nie przygotowało jej na takie doznania. Nie mogło. Oplotła ramionami jego szyję i pozwoliła, by przełykał jej łąkania. Zaczął się w niej poruszać.

Jego palce owinęły się wokół jej szyi. Unieruchamiał ją i wchodził głębiej.

Dopasowała swoje ruchy do jego powolnych pchnięć. Ciągłe błędził ustami po jej piersiach i szyi, co jakiś czas muskał językiem sutki. Wpatrywała się w jego ciemną głowę. Ogień w niej już płonął, gdy zrobił coś i znowu poczuła przyływ mocy.

Cała stanęła w płomieniach, tych samych, które zawisły pod sufitem sypialni, tych samych, które padają z luf karabinów maszynowych i niszczą wszystko na swojej drodze. Rozchyliła wargi i z jej ust buchnął gorący dym i krzyk rozkoszy. Jego prawa ręka trzymała jej biodro, ale nie potrzebowała zachęty z jego strony, żeby przyśpieszyć ruchy. Płonęła, zatraciła się w bliskości jego ciała. Dotyk jego skóry sprawiał, że zagryzała wargi. Tarzali się na czarnym

satynowym prześcieradle, a blade złoto płomieni Greysona spływało na ich ciała, wzmocnione siłą ich mocy.

Jego skóra pod jej palcami żyła, jego usta paliły. Poglaskała go po plecach, wbiła w nie paznokcie na tyle mocno, by to poczuł, a potem straciła nad sobą panowanie i wbijała je coraz głębiej. Jęknął, napał na nią z większą siłą, aż dotknęła kolaniem barku.

Nie zdawała sobie sprawy, że mówił prawie cały czas - fragmenty poezji, zwroty z języka demonów, coś po francusku. Teraz to usłyszała. Działo zarazem uspokajająco i pobudzająco. Kilka razy wypowiadał jej imię jak mantrę, zaklęcie rzucane w świątyni, którą stała się jego sypialnia.

Płomienie skoczyły w górę. Była spocona, oboje byli spoceni, gdy dążyli do szczytu, tuż poza ich zasięgiem. Ujął jej twarz w dłonie tak, że patrzyli sobie w oczy. Chciała mrugnąć, odwrócić wzrok, ale przyciągnął ją z powrotem, zmuszał, by z nim została, patrzyła na niego, i właśnie tam, w czarno- czerwonej otchłani jego oczu znalazła siebie, swoją duszę. Przyspieszył i runęła w przepaść z jego imieniem na ustach, a kiedy jej ciało zaczęło drzeć, wróciła, okryta jego rozkoszą, i krzyknęła, zamykając się na nim.

Pchnął jeszcze raz, dwa, trzy, sapał, jęczał, jeszcze w niej nabrzmiał.

Poczuła, jak drży i pulsuje i na próżno usiłowała przyciągnąć go jeszcze bliżej.

Jego usta zamknęły jej krzyk w kolejnym płomiennym pocałunku i poczuła drżenie jego pleców pod palcami. Teraz ona przełykała jego krzyki rozkoszy, gdy szczytował, biorąc jej ciało i umysł.

Później obudziła się w ciemnościach, zmarzły jej odkryte stopy, ale resztę ciała ogrzewał Greyson. Ognie zgasły, pokój oświetlało jedynie słabe światło wpadające przez okno. Odbijało się w ramach obrazów na ścianie i zegara przy łóżku.

Zaschło jej w ustach. Zsunęła się z łóżka, w nadziei, że znajdzie kuchnię albo przynajmniej łazienkę i odrobinę wody.

- Megan. - Rozmarzenie w jego głosie przyprawiło ją o deszcz.

- Idę po coś do picia. - Szepnęła, mając nadzieję, że zostanie w łóżku. Była zdenerwowana i chciała być sama. Chciała zrozumieć, dlaczego tak się czuje, a dotyk jego skóry tylko by ją rozpraszał.

- Kuchnia po lewej. - Wymamrotał. - Wracaj szybko.

Szła po grubym, miękkim dywanie, podniosła z podłogi jego koszulę, narzuciła na ramiona. Połowy guzików nie było. Zarumieniła się, zapinając pozostałe.

Ledwie wyszła z sypialni, pojaśniało. Znalazła się w pomieszczeniu z przeszklonymi ścianami. Greyson mieszkał na siedemnastym piętrze. Jedyne, co stąd widziała, to grafitowe niebo - luna miejskich świateł tłumiła światło gwiazd.

Przestronny pokój był cichy, nie zdradzał żadnych sekretów właściciela. Nie rozróżniała nawet kolorów, ale nie chciała zapalać światła. Poczulaby się wówczas zbyt obnażona.

Dlaczego w ogóle o tym pomyślała? Nie wyobrażała sobie bezpieczniejszego miejsca, zwłaszcza, że mężczyzna śpiący w sąsiednim pokoju nie miałby oporów, żeby zabić w jej obronie. Niekoniecznie dlatego, że tak mu na niej zależy. Po prostu, dlatego, że zabijanie nie miało dla niego znaczenia.

Po lewej stronie zobaczyła kuchnię i już miała tam pójść, jednak coś ją zatrzymało, kazało spojrzeć w kierunku okien. Rozpięta koszula załopotała wokół jej ud jak wiotkie, upiorne skrzydła, gdy szła przez pokój z mocno bijącym sercem.

Miała imię Greysona na ustach, ale go nie zawołała. Choć sprawiał, że czuła się wspaniale, choć było im razem cudownie, nie dojrzała jeszcze do tego, żeby mu się oddać. Nie wiedziała nawet, czy on tego chce. „*Greyson nie jest typem, który buduje związki*”. Słowa Tery zabrzmiały w jej głowie. A zatem robienie z niego rycerza w lśniącej zbroi to chyba kiepski pomysł. W końcu sam powtarzał, że nie interesuje go bycie bohaterem.

Zasłony w jej rękach, aksamitne, miękkie, grube, odrobinę szorstkie, ustąpiły, gdy szarpnęła. Następne były firanki. Ustąpiły z cichym szeptem karnisza.

Chłodne powietrze sączyło się przez maleńkie szpary wokół krawędzi okna, ale nie to sprawiło, że Megan przeszył zimny dreszcz. Otworzyła szerzej oczy i napięła mięśnie, gdy spojrzała na drugą stronę ulicy, na dach budynku naprzeciwko.

Nie było sensu się zastanawiać, skąd się tam wzięły, już o tym wiedziała.

Światło księżyca odbijało się od ich łysych czaszek, podkreślało głębokie oczodoły, szerokie usta. Wpatrzone w okna Greysona. Wpatrzone w nią.

Nie wiedziała, jak długo tak stała, śmieszna w za dużej, rozpiętej koszuli, przemarznięta do kości, i dłońmi wciąż zaciśniętymi na firankach. Patrzyła na nie, a one na nią. Nawet nie mrugnęła.

Nie pokonacie mnie, pomyślała. Uniosła brodę w wyzywającym geście, choć pewnie nie mogły tego zobaczyć. Nie pokonacie mnie.

Patrzyła tak, aż niebo pojaśniało i zaczęły znikać jeden po drugim, aż dach był pusty, a z sypialni usłyszała zaspany głos Greysona pytającego, gdzie się podziała.

ROZDZIAŁ 22

Samochód podjechał do krawężnika i Megan już miała wysiadać, gdy Greyson przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Megan, muszę ci coś powiedzieć.

Skinęła głową. Jej uśmiech przygasł, gdy zobaczyła poważne spojrzenie jego ciemnych oczu.

- Cokolwiek się dzisiaj stanie, cokolwiek się stanie na tym lunchu... Sam podjąłem decyzję. I wiedziałem, jakie będą jej konsekwencje, gdy to robiłem.

- Co? Ja nie...

- Cicho. - Otworzył tylne drzwi i pomógł jej wysiąść. - Pamiętaj tylko, nic nie mów. - Rzucił okiem na kierowcę.

Megan skinęła głową, ale krew zastygła jej w żyłach. Co według niego mogło się zaraz stać? Czy raczej, co się stanie, bo nie ostrzegłby jej, gdyby myślał, że to niepotrzebne.

Przynajmniej był szczery. Stłumiła poczucie winy. Nie wspomniała, że w nocy widziała demony obserwujące jego apartament. Nie było odpowiedniej chwili. Uznała, że to nieistotne.

No i bała się o tym powiedzieć. Nie chciała zepsuć cudownego ranka, który zaczął się od szampana z sokiem pomarańczowym i tostów, a skończył gorącym seansem pod prysznicem, kiedy się dowiedziała, że istnieją płomienie odporne na wodę.

Marzły jej stopy w czarnych szpilkach, które przywiózł jej Maleficarum.

Wolała nie myśleć, jakim cudem znalazł je upchnięte w głębi szafy. Nigdy ich nie nosiła, były nieco zbyt czarne i zbyt wysokie jak na jej gust, ale je znalazł.

Podobnie jak spódnicę w biało-czarną kratkę, co, do której była pewna, że ją wyrzuciła, czarny golf i czerwony żakiet. Musiała

przyznać, że dobrze to wygląda. Sama nigdy nie wpadłaby na taki zestaw.

Chłopcy nie jechali z nimi. Megan odwróciła się i zerknęła na małego forda, w którym podążali z tyłu. Przynajmniej będą tam, cokolwiek się zdarzy, ale słowa Greysona wzbudziły niepokój, który jej nie opuszczał, choć Greyson spokojnie sączył wino na siedzeniu samochodu.

Ledwie kierowca ich wypuścił, spojrzała na niego.

- Co ty opowiadasz? Co się zdarzy?

Chwycił ją za rękę.

- Nie ma sensu o tym mówić, skoro może wcale do tego nie dojdzie. Pamiętaj tylko, co powiedziałem.

- Ale...

- Greysonie! Panno Chase! Cieszę się, że znowu was widzę.

- Cześć, Temp. Megan, pamiętasz Templetona Blacka?

Skinęła głową i uśmiechnęła się. Ręce jej zdrętwiały, gdy przywitała się z gospodarzem i pozwoliła, by mężczyźni wprowadzili ją do białej rezydencji, w której mieszkał.

Gdyby nie była tak zdenerwowana, wewnątrz zrobiłoby ba niej wielkie wrażenie. Czyste białe ściany wznosiły się do wysokiego sufitu z mozaiką, której projekt ciągle jej umykał. Coś wirującego, ruszającego się... Ilekroć wydawało jej się, że już wie, obraz zniknął jak te irytujące obrazki z serii „magiczne oko”. Nigdy nie udało jej się dostrzec tego, co jakoby na nich było.

- To smok. - Greyson pochylił się do jej ucha. - Symbol naszej Meegra.

- Ogień.

Skinął głową.

- Piękny.

- Cały dom jest piękny. - Odparł. - Nazywa się Lureanlier Sorithell, dom Lecącego Ognia, i należy do Gretneg Meegra. Teraz jest nim Tempelton. Gdy odejdzie, kto wie?

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, sprawiło, że przeszył ją dreszcz. Co tu się właściwie dzieje? Greyson obawiał się, że coś okropnego może się zdarzyć, a mimo to wciąż planował, albo miał nadzieję, że mu się uda przejąć władzę w Meegra?

Z drugiej strony, dlaczego miałby tego nie chcieć skoro mógłby mieszkać w tym domu. Ich kroki niosły się echem po marmurowych posadzkach, gdy szli za Templetonem do jadalni wielkości całego domu Megan. Na ścianach obitych adamaszkiem koloru kości słoniową wisały portrety, jak się domyślała, poprzednich Gretneg. Przyglądali jej się władczo z ozdobnych ram.

Myślała, że się zatrzymają, ale nie, szli dalej, do zielono- złotego pokoju z miękkimi skórzanymi fotelami i szerokim biurkiem z mahoniem. Templeton dał znak, żeby usiedli.

- Coś do picia?

Skinęła głową i osunęła się na fotel. Czuła się jak mała dziewczynka zagubiona w wielkim pałacu. Nie pytając, na co ma ochotę, Templeton podał jej dzin z tonikiem. Zerknęła na Greysona.

- Widziałem wczoraj na balu, że pani to piła. - Powiedział Black.
- Stała pani niedaleko mnie, gdy zamawialiście drinki z tym dziennikarzem. Odpowiada pani? A może woli pani wino?

- Dziękuję. - Odparła. Coś jej mówiło, że najlepiej będzie przeciągnąć chwilę w gabinecie.

Templeton podał Greysonowi szkocką, sobie nalał to samo. Odchrząknął.

- To wielka przyjemność gościć was pod moim dachem. - Oznajmił. Megan oddałaby wiele, żeby móc go przeczytać.

- Jak powiedziałem wczoraj, Greyson wiele mi o pani opowiadał. Jeśli chodzi o panią, po prostu nie może przestać. - Zachichotał.

Greyson nie drgnął, nie reagował w żaden sposób, ale Megan wiedziała, że coś jest nie w porządku. To nie był przyjacielski lunch. Templeton Black miał plany, z którymi wolałaby nie mieć nic wspólnego.

Czuła się jak w pułapce. Malleus, Maleficarum i Spud, stojący w kącie, to pracownicy Templetona. Nie pomogą jej, choćby ich błagała.

- A mnie wcale o panu nie mówił. - Odparła, szeroko otwierając oczy. - Czyli opowiada o mnie, ale ja nie mogę z niego niczego wyciągnąć.

Oczy Templetona się zwęziły. Podobnie jak poprzedniego wieczoru, jakiś cień przemknął przez jego przystojną twarz. Mroczny cień, który wcale nie przypadł jej do gustu.

- Jakoś nie bardzo mi się chce w to uwierzyć, moja droga. - Rzekł, uśmiechając się, jakby nic się nie stało. - Z tego, co słyszałem, pani także sporo ukrywa. Ponoć ten dziennikarz ma z panią nie lada kłopot.

- Myślę, że napisze niezły artykuł. - Powiedziała lekko, jakby myślała, że to zwyczajna pogawędka. Skąd on wie, z czym Brian ma lub nie ma problemu?

Serce waliło jej tak głośno, że je słyszała, i obawiała się, że oni również je słyszą. Jak dobry słuch mają demony? Nigdy nie zapytała.

W tej chwili chciała tylko wrócić do domu i ukryć się z książką pod kocem. Zadrzała.

- Zimno? - Templeton machnął ręką w stronę kominka. Natychmiast zapłonął ogień. - Lepiej? A skoro mowa o dziennikarzu, słyszałem, że on sam ma dość interesujące zdolności. Och, panno Chase... A właściwie mogę nazywać cię Megan? A ty mów do mnie Templeton... Nie patrz w ten sposób. Oczywiście domyślasz się, że wiem wszystko na temat twojego daru.

- Ja...

- Megan nie lubi tego tematu, Temp. - odezwał się Greyson.

- Ale są tematy, na które będzie musiała rozmawiać, prawda? Są prawdy, ukryte w głębi czasu, które muszą wyjść na światło dzienne, jeśli naprawdę chcemy wiedzieć, jak walczyć z Oskarżycielem. Może dobijemy targu, Megan? - Wypowiedział jej imię, ale patrzył na Greysona. - Wiesz przecież, jak działamy. Przysługi. Długi.

- Dziękuję za zaufanie, Templetonie. - Odparła. - Ale nie jestem demonem, więc chyba nie mogę zawierać umów w taki sposób.

Templeton się roześmiał.

- Och, jak się cieszę, że przyjąłaś zaproszenie na obiad. No właśnie, już chyba podano do stołu. Świetnie się bawię, ale mamy wiele naglających spraw, prawda? - Odstawił szklanekę z głuchym stuknięciem.

Gdy wracali do jadalni, palce Greysona były zimne w jej dłoni. Do tej pory zawsze wydawał się ciepły, niemal gorący. Już miała zapytać, co jest nie tak, ale spojrzał na nią ostrzegawczo.

- Pamiętaj, co powiedziałem wcześniej. - Szepnął i zaprowadził ją do krzesła.

Megan pocila się, mimo przyjemnej temperatury w pokoju. Greyson od początku tego nie chciał. W powietrzu zawisły niewypowiedziane groźby.

Wiedział, o co chodzi, ale jej nie powie. Malleus, Maleficarum i Spud unikali jej wzroku. Czowała się tak jak Alicja w Krainie Czarów na dworze Królowej.

Owszem, robiło się coraz ciekawiej, jednak wątpiła w to, że wystarczy wypić eliksir i wrócić do domu, czy co tam zrobiła Alicja, żeby się wydostać z króliczej nory. Nie mogła sobie przypomnieć.

Służący w biało- czarnych liberiach i czerwonych czapkach wnieśli ciężkie srebrne półmiski, ustawili je na szerokim stole z marmurowym blatem, teatralnie unieśli pokrywę. Gdyby Megan była głodna, widok tyłu smakołyków przyprawiłby ją o dreszcz emocji. Pieczeń wołowa i wieprzowa, sałatka z homara, chleb tak świeży, że nadal unosiła się nad nim para. Dwa rodzaje makaronu, z sosem alfredo i pomidorowym. Czarne oliwki, brokuły, fasolka szparagowa, szparagi, a na dalekim krańcu coś, co wyglądało jak kawior. Nigdy wcześniej nie widziała takiej obfitości.

W tej sytuacji skupiła się na liberiach. Czerń, biel, czerwień. Takie same kolory miała na sobie, za sprawą braci. Wątpiła, żeby to był zbieg okoliczności.

Służący obsłużyli wszystkich, ale nawet, gdy przy jej nakryciu stały dwa pełne talerze, stół nadal ugiął się od smakołyków.

Uprzejmość kazała jej jeść, choć ledwie czuła smak posiłku.

Może przesadza. Greyson zajadał z lubością, podobne jak bracia.

Templeton pochłonał trzy pełne talerze, cały czas rozmawiając z nią o balu, jedzeniu i pracy. Zadawał doskonale pytania. Gdyby nie bała się tak bardzo, ta rozmowa sprawiłaby jej przyjemność. Greyson nigdy nie był tak milczący.

W końcu Templeton odsunął się od stołu i położył serwetkę obok talerza.

- No dobrze. - Powiedział i skinął na służących, którzy w mgnieniu oka uprzątnęli talerze. - Chyba czas przejść do interesów.

Służący wyszli. Na stole wciąż stało mnóstwo jedzenia.

- Spodziewam się jeszcze kilku gości. - Wyjaśnił Templeton. - Może będą głodni. Greysonie, wyjdiesz im na spotkanie?

Megan niemal słyszała, jak jej nerwy drżą w złowrogiej ciszy. W końcu Greyson skinął głową i spojrzał na nią. Nawet najjaśniejszy ogień na świecie nie mógłby powstrzymać jej drżenia, gdy wyczytała przestrozę w jego oczach.

- Jeśli masz innych gości. - Powiedziała, używając spokojnego, radiowego głosu. - Chyba nie powinniśmy ci przeszkadzać. Greyson odprowadzi mnie do domu. Zdzwonimy się później.

- Ależ oni bardzo chętnie się z tobą spotkają. I nadal mamy sporo do omówienia.

Greyson nawet nie czekał na odpowiedź. Drzwi się za nim zamknęły.

Megan widziała to i poczuła pieczenie pod powiekami. Chcę do domu, chcę do domu, chcę do domu...

- Tak, moja droga. - Templeton odchylił się z krzesłem i westchnął z zadowoleniem. - Muszę ci jeszcze wiele powiedzieć. Wiele nauczyć. Jeśli mi pozwolisz, mogę ci pomóc.

Do tego stopnia przypominał teraz diabła usiłującego kupić jej duszę, że zagryzła wargi, żeby powstrzymać nerwowy śmiech.

- Doceniam to, ale myślę, że sama sobie poradzę.

- Czyżby? Myślisz, że sama dasz radę Yezer Ha- Ra? Albo Oskarżycielowi? - Pochylił się do przodu, patrzył na nią. - Czy ty w ogóle wiesz, kim jest Oskarżyciel? Cokolwiek o nim? Wiem, że Grey powiedział ci o nas sporo. O tym, jak działamy, ale nawet on nie wie, na co się porywasz.

- Może mi to wszystko spieszysz. - Powiedziała, wstając, żeby uspokoić roztrzęsione nogi. - Na mnie naprawdę już czas.

- Siadaj. - Jego jeszcze przed chwilą rozleniwiony głos zabrzmiał tak władczo, że usłuchała, zanim się zorientowała. - Możesz tak sobie pogrywać z Greysonem, zawsze miał słabość do pięknych oczu, ale nie ze mną. Wiem, że coś ukrywasz w tej ślicznej blond główce i dowiem się, co to jest. Rozumiesz?

- Nic nie wiem.

- W takim razie będziemy musieli odświeżyć ci pamięć. - Wstał, podszedł do kredensu w drugim końcu pokoju, by po chwili wrócić z cygarem w dłoni.

Zapalił je, pstrykając palcami.

- Bardzo przepraszam, będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

Autentyczna troska w jego oczach stanowiła tak wielki kontrast dla gniewu, który widziała w nich przed chwilą, że aż zamrugła. Pokręciła głową.

- Dziękuję. Przepraszam, że nie zapytałem wcześniej. Minęło już trochę czasu, odkąd ostatnio miałem gościa, który nie... - Skłonił jej się lekko i mówił dalej: - Jak już powiedziałem, Megan, wierzę, że wspomnienia, których potrzebujemy, informacje, które musimy zdobyć, wciąż są w twojej głowie. Ale być może musimy uciec się do bardziej ekstremalnych środków, aby je zdobyć, wciąż są w twojej głowie. Ale być może musimy uciec się do bardziej ekstremalnych środków, aby je wydobyć. - Jaka broń nadaje się do walki z demonem ognia? Mąka? Nie miała pojęcia, co im sprawia ból, nawet gdyby miała dostęp do czegoś niebezpieczniejszego niż łyżeczka deserowa. Wątpiła, żeby mogła zadać mu poważne obrażenia łyżeczką.

- Może Greyson mógłby mnie zahipnotyzować. - Powiedziała. Łzy szczypały ją pod powiekami. - Mówił, że chyba może to zrobić.

- Hipnoza to zły pomysł. - Z ust Tempeltona wydobywał się kłęb dymu. - Nie chcemy, byś przeżyła ponownie te doświadczenia, nie chcemy uszkodzić ci podświadomości. Nie, lepiej będzie, jeśli po prostu popracujemy z tobą i do nich dotrzemy.

Głowa pękała jej z bólu.

- Chodzi o Harlana Troopera, prawda? To są te informacje, których chcesz, te wspomnienia, na których ci zależy. Bo tamtej nocy w Trooperze był Oskarżyciel i jakoś go wezwałam.

Nie musiała czekać na potwierdzenie, żeby wiedzieć, że ma rację.

- Bardzo dobrze, Megan. Widzisz? Mówiłem ci, wiesz więcej, niż ci się wydaje. Musisz tylko poczuć presję, nacisk, a dowiemy się wszystkiego. Tym razem nikt nam nie przerwie, ani demon, ani wariat z pistoletem.

Skąd wiedział, co się wydarzyło tamtego dnia w parku? Greyson mu powiedział? Ale przecież Greyson nie miał pojęcia, o czym rozmawiała z Brianem.

Templeton podniósł srebrny dzwonek, zadzwonił.

- No, dobrze. - Uśmiechnął się. - Niech nasi goście poczują się jak u siebie. Będziemy zaczynać.

- Kim są ci goście? - Drink ją kusił, ale nie uległa. Nie dzinu teraz potrzebowała, tylko kawy albo coli, Czegoś z kofeiną i cukrem.

Zwłaszcza, jeśli jadalnię zaraz wypełnią osobiste demony, jak podejrzewała. Więc to tak. Tempelton ją im przekaze. Kogo innego mógłby mieć na myśli, mówiąc „goście”?

- Uspokój się, jesteś blada jak ściana. To po prostu przywódcy kilku innych Meegra. Widzisz, spoczywa na mnie odpowiedzialność rozwiązania tej małej tajemnicy. Zaprosiłem ich, żeby zobaczyli, jak to zrobiłem.

- A jeśli niczego sobie nie przypomnę? - Zapytała. W tej chwili drzwi się otworzyły i weszli nowi goście.

Było ich sześcioro, pięciu mężczyzn i kobieta, której uroda sprawiła, że Megan gwałtownie zaczerpnęła tchu. Kobieta uśmiechnęła się i skinęła palcami na powitanie. Wieńczyły je kilkucentymetrowe czerwone paznokcie, opiłowane w ostre szpony.

Mężczyźni byli nie mniej atrakcyjni, każdy na swój sposób. Megan przypomniawszy sobie, co poprzedniej nocy Dante powiedział o demonach i urodzie. Tu miała potwierdzenie jego słów. Siedem zabójczo pięknych demonów, wpatrzonych w nią, szukających oznak słabości, jak hieny obserwujące kocię. Upewniła się, że jej tarcze są maksymalnie silne i uśmiechnęła się najgłupiej, jak umiała.

- Myślę, że sobie przypomnisz. - Powiedział Templeton. - A my ci pomożemy.

Drzwi otworzyły się jeszcze raz i wszedł Greyson.

Był bez koszuli, miał tylko ręcznik na biodrach, jakby kilt. Szukała jego wzroku, ale nie patrzył na nią. Wpatrywał się w Tempeltona i inne demony, po kolei. Na jego nadgarstkach dostrzegła czarne okowy, ale na razie nie spinał ich łańcuch.

Powiedział coś w języku demonów. Pozostali się roześmiali. Megan oddałaby wiele, żeby wiedzieć, czy żartował. Nadal na nią nie patrzył.

- Megan. - Powiedział Templeton i spojrzał na nią. - Greyson pomoże nam odświeżyć ci pamięć.

- To nie będzie konieczne. - Dwaj służący stanęli za nią, ale Megan wpatrywała się w Greysona. Miała okropne podejrzenie, że wie, co robią. Co się zaraz wydarzy. Palce ją bolały od zaciskania w pięści.

Templeton skinął głową.

- Może nie, ale Greyson i tak musi zapłacić za to, co zrobił. Uznałem, że to świetny sposób, żeby za jednym zamachem ukarać go i pobudzić twoją pamięć.

- Ukarać? - „*Sam podjąłem decyzję. I wiedziałem, co to może oznaczać*”.

Teraz zrozumiała słowa Greya. Łajdak! Dlaczego jej nie powiedział? Dlaczego w ogóle tu przyszli?

Oczy zaszyły jej łzami. Opuściła wzrok. Nie chciała, żeby to widzieli, chociaż to i tak nie miało znaczenia.

- Ona płacze. - Stwierdził jeden z przywódców Meegra. - Czuję zapach soli.

Ciągle na nich nie patrzyła. Greyson minął ją w obłoku dymu, zabrzączały łańcuchy, gdy przymocowali go do... Do tego, do czego go przywiązywali. Nie chciała patrzeć. Nie robi tego.

- Megan, chyba nie myślałaś, że Greyson może robić to wszystko, co robił dla ciebie, i ujdzie mu to bezkarnie? Myślałem, że wyjaśnił ci, jak działamy.

Powiedział członkowi Vergadering o Oskarżycielu. Poinformował ją o Yezer Ha- Ra i tym, że cię ścigają. Wczoraj na balu użył swoich mocy, żeby zmienić ludzki los. Co więcej, by ratować życie. Wiedział, jakie będą tego konsekwencje, nawet, jeśli ty byłaś dość naiwna, żeby myśleć, że nie będzie żadnych. A najgorsze...

- Zrobił to dla mnie! - Podniosła wzrok i popatrzyła na Templetona Blacka. - Zrobił to, bo go o to prosiłam.

- A teraz ty zrobisz to, o co cię proszę i powiesz, co chcę wiedzieć. Kiedy dostanę, czego chcę, pozwolę Greysonowi iść z tobą do domu. A na razie... - Skinął w prawo. Coś uderzyło w marmurową posadzkę. - Zostanie ukarany. Wszystko w twoich rękach, moja droga.

- Nie możesz tego zrobić. - Szepnęła.

- Jestem demonem, drogie dziecko. Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Charakterystyczny odgłos bata przecinającego powietrze zabrzmiał echem w jej uszach.

ROZDZIAŁ 23

Wzdłuż grzbietu Greysona spływała wąska strużka krwi. Wsiąkała w prowizoryczny biały kilt na jego biodrach. Ledwie widziała podkładkę, na której klęczał. Przynajmniej tyle zrobił Templeton. Co prawda kazał wychłostać Greysona batem zakończonym metalowymi haczykami, ale jest bez serca.

Pozwolił mu na podkładkę pod kolana. Żółć dławiała ją w gardle.

Głowa Greysona opadła do przodu, jego ramiona przywiązano do metalowej ramy w kształcie litery V. Megan zamknęła oczy, ale obraz nie znikał. Dawniej widziała jego plecy w marzeniach. Teraz na zawsze staną się częścią jej koszmarów, a wiedziała, że najgorsze dopiero nadejdzie.

- Proszę, nie. - Z przerażeniem spojrzała na Templetona. - Naprawdę spróbuję sobie przypomnieć. Próbowałam wcześniej, z Brianem, i prawie mi się udało. Poczekajcie chwilę.

- Nie.

Krzyknęła, gdy obojętny służący podniósł bat i uderzył. Mięśnie Greysona drgnęły, na plecach pojawiła się nowa krwawa pręga, ale nie wydał żadnego dźwięku.

- Templetonie, zadajesz mu ból, nie mogę myśleć...

W głosie Greysona wyczuwała napięcie.

- Megan, nie pomagasz.

Templeton wyjął cygaro.

- Greyson musi zostać ukarany. A ty masz okazję, żeby złagodzić jego ból.

Kolejny świst bata. Kolejne drgnienie mięśni. Megan cofnęła się do krzesła. Myślała gorączkowo. Demony patrzyły na nią. Nienawidziła ich. Nienawidziła tak bardzo, że chciała wydrapać im oczy, rozerwać na strzępy, gryźć i kopać.

Twarz lekarza. Drapała się i gryzła, aż płynęła po niej krew. Śmiała się, gdy odskoczył do tyłu. Szkoda, że nie roześmiała się wcześniej. Miała skrępowane ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach. Tak jak teraz Greyson, ale leżała na łóżku. Ktoś jeszcze przyglądał jej się z kąta, ktoś, kogo nie widziała, ale słyszała w głowie.

Oskarżyciel.

- Świetnie, Megan. - Powiedział.

Był tam wtedy, w pokoju z nastoletnią Megan. Czy jest tutaj, teraz, w jej głowie? Nie powinien jej tutaj znaleźć, ale też nie pamiętała, żeby tam był, wtedy, tamtego lata. W jej pokoju, gdy przyszedł lekarz.

Pokręciła głową.

- Przypomniałaś sobie coś? - Głos Tempeltona przelał jej myśli.

- Ja nie... Nie wiem.

Kolejny cios. Nie mogła na to patrzeć. Greyson wciąż milczał, ale jak długo to wytrzyma? Dziesięć razy? Dwadzieścia? Prędzej czy później nawet on nie zdoła ukryć cierpienia, prawda?

Myśl, Megan, myśl. Co zdarzyło się w sypialni? Dlaczego był tam lekarz?

Wspomnienie było białą plamą w głowie, chmurą zapomnienia, przez którą nie mogła się przebić, nieważne, jak bardzo się starała.

I znowu cios. Tym razem popatrzyła, zmusiła się, żeby sprowokować niechętny mózg. Krew zdawała się tworzyć wzór na gładkiej, śniadej skórze jego pleców. Wzór, przypadkowy jak krople deszczu na szybie, a jednak z wewnętrznym planem. Zupełnie jak...

Krwawe smugi na twarzy Harlana Troopera, gdy zaatakował go niewidoczny napastnik.

Chciał ją ratować.

Miała szesnaście lat, wracała do pustego domu. Jak fajnie! Tabliczka ouija czekała. Zawsze chciała się przekonać, jak to jest wywoływać duchy. Może powiedzą coś wyjątkowego o niej. Może wiedzą, dlaczego zawsze czuła się inna niż pozostałe dzieci.

Zawsze podejrzewała, że ma specjalne umiejętności. Czasami po prostu wiedziała różne rzeczy. Co ludzie myśleli, co zrobili. Tak jak wtedy, gdy sprzedawała ciasteczka sąsiadom i coś jej mówiło, żeby nie szła do domu starego pana Urstera. Okazał się złym człowiekiem i przysłała po niego policja.

Pewnie była czarownicą albo, co. A czarownice używają tabliczek ouija i kart tarota, ale nie wiedziała, skąd wziąć karty, więc zadowolili się tabliczką.

Wbiegła do pokoju i wyciągnęła pudełko spod łóżka...

Bat ze świstem przecinał powietrze. Megan podskoczyła, krzyknęła cicho.

Greyson wciąż nie wydał żadnego dźwięku, ale jego ciężki oddech huczał jej w uszach. Napięte mięśnie jego ramion rysowały się wyraźnie. Przesiąknięty krwią kilt zwisał ze szczupłych bioder.

- Megan, w każdej chwili z największą przyjemnością przerwę jego karę.

Zazwyczaj taki seans trwa godzinami, ale informacje, których możesz nam udzielić, są na tyle ważne, by to skrócić. I jak?

Pokręciła głową, niezdolna oderwać wzroku od pochylonej głowy Greysona. Jak miękkie i gładkie były jego włosy pod jej palcami. Jak ciepłe było jego czoło, gdy w nią wchodził. Jego plecy... tak gładkie pod jej dłonią...

Jego mięśnie, poruszające się, gdy byli w łóżku.

Zmusiła się, by oderwać wzrok, wróciła do tamtego dnia, do tamtego pokoju. Oddychała z trudem, brnąc przez szarą mgłę w głowie, przez potężne duszące chmury, które groziły, że ją zabiją, zanim dojrzy do wspomnień, których szukała. Niech to szlag trafi!

Na pewno coś jest. Jakieś słowo, dźwięk, coś, co przywoła wspomnienia tak, jak krwawa pręga pozwoliła jej dostrzec błysk przeszłości. Pomyślała o tabliczce ouija, z literami w girlandzie kwiatów na jasnobrązowym pudle.

Kupiła ją na wyprzedazy garażowej... I coś uchyliło się odrobinę, na tyle szeroko, że zdołała wślizgnąć się do środka.

Rozczarowana, wsunęła tabliczkę ouija pod łóżko. Dlaczego nie zadziałała? Siedzi tu już od godziny, najdelikatniej jak umie trzyma palce nad planszą i nic. Nic się nie stało. Wkrótce wrócą rodzice, a ona nie zrobiła nic z tego, co powinna. Nie było warto. Nie ma w niej niczego wyjątkowego.

Megan nie starała się nawet powstrzymać łez. Wcale nie jest wyjątkowa. Dzieciaki w szkole miały rację. Wszystko, co o niej mówiły, to, jak na nią patrzyły... Była śmieciem, czymś gorszym niż śmieć. Przegrana, dziwaczka. .

- Ale dziwaczka z potencjałem. - Powiedział głos. Megan, skulona pod kołdrą, usiadła tak szybko, że zakręciło jej się w głowie.

- Co?

- Masz potencjał, mała. Nie mylisz się, co do tego. A ja mogę ci pomóc go wydobyć.

Głos wydawał się dochodzić z pokoju, ale Megan była sama. Teraz jeszcze słyszy głosy. Świetnie. Kolejny temat do kpin. Naciągnęła kołdrę na głowę.

- Nie próbuj się przede mną ukryć, Megan. Wiem, że mnie słyszysz. Chcę zawrzeć z tobą umowę.

- Wcale cię tu nie ma. - Powiedziała.

- To prawda. Ale istnieję naprawdę, a ty możesz pomóc mi wrócić. Odwzajemnię się.

- Niby jak? - Nie, żeby chciała się zgodzić. Ale nie zaszkodzi zapytać.

- Mogę wzmocnić twoje umiejętności. Będiesz wszystko wiedzieć. Jedno spojrzenie, jedno dotknięcie i będziesz wiedziała, co myślą, co robią... Wiesz, już teraz nie jesteś w tym zła. Ale możesz być wielka. Nie będziesz potrzebowała tabliczki ouija, żeby rozmawiać z duchami.

Gdzieś w głębi umysłu wiedziała, że to nie jest najlepszy pomysł.

Bezcieleśny głos proponował, że jej da... nie, że wzmocni jej zdolności parapsychiczne. Powinna odmówić.

Ale nie chciała. Wyobraziła sobie ich miny, tych dupków w szkole, gdy roześmieje się im w twarz, bo wszystko o nich wie. Wtedy rozumieją, jak to jest, gdy się z kogoś śmieją. Ich śmiech codziennie rozbrzmiewał w jej uszach, noc w noc. Jeśli się wsłucha, usłyszy go nawet dziś.

I znowu świst bata. Dłonie Greysona zaciskały się i rozluźniały, zaciskały się i rozluźniały. Pokrywały je niebieskobiałe płomienie.

Demony wokół niej jadły i rozmawiały cicho, przyglądając się, jak skórę Greysona przecina bat, jakby to był umiarkowanie ciekawy film. Zapach jedzenia budził w niej niesmak. Jej żołądek szalał, podchodził do gardła, aż myślała, że zwymiotuje...

Na podłogę, koło łóżka, aż w jej żołądku nie było już nic, ale i tak nie mogła się powstrzymać. Coś w jej głowie wirowało, kręciło się.

Plamy tańczyły jej przed oczami, kolory tak jasne, że krzyknęła. Nie zniknęły, nawet, gdy opuściła powieki.

Jej czoło ociekało potem. Wsiąkał w ubranie, ale zęby szczykały jej z zimna, palce zaciskały się tak, że nie mogła naciągnąć na siebie obrzydliwej kołdry. Umrze. To był koniec.

Jej gardło, obolałe po gwałtownych torsjach, płonęło, gdy zaczęła krzyczeć. Do jej głosu dołączył inny, głęboki, męski, przechodził od przerażenia do triumfu, a krzyk Megan - od cierpienia w ekstazę.

Wstała, przebiegła dłońmi po swoim smukłym młodym ciele. Czowała na skórze swoje palce, ale też czyjeś inne, obce, i podobało jej się to uczucie. Nie słyszała go w głowie, ale wiedziała, że tam jest. Że czeka. Na co?

- Wdarł się do mojego umysłu. - Sapnęła, z całej siły obejmując się ramionami. Pokój wirował jej przed oczami, widziała podwójnie, jej pokój sprzed lat nakładał się na jadalnię w rezydencji demona.

- Stop. - Templeton skinął ręką na mężczyznę z batem. Przez chwilę w ciszy słycać było tylko chrapliwy oddech Greysona. - Jak to, wdarł się do twojego umysłu? Oskarżyciel?

Skinęła głową. Jej wargi odmówiły posłuszeństwa, nie była w stanie odpowiedzieć.

- Jak to zrobił? Zaprosiłaś go?

Znowu skinęła głową.

- Powiedział, że ma dla mnie propozycję. Przyjęłam ją. - Podniosła wzrok i doznała szoku, widząc współczucie na szerokiej twarzy Templetona. - Miałam tylko szesnaście lat, myślałam...

- Dlaczego ona? - Zapytał jeden z demonów. - Co w niej jest takiego, że za jej pomocą udało mu się wrócić?

- Moc. - Ledwie rozpoznała głos Greysona. Tylko obawa przed tym, co mu zrobią, powstrzymała ją, by do niego nie podbiec.

- Ale przecież nie byłam silna, nie umiałam nawet uruchomić tabliczki ouija. Miałam jedynie przeczucia, wrażenia. Nie to, co teraz. To on dał mi tę moc.

Greyson odchrząknął.

- Miałaś ją, nawet bez niego.

- Ale...

- Później to omówimy. - Przerwał Templeton. - Grey musi oszczędzać oddech. Jak on to zrobił, Megan? W jaki sposób wdarł się do twojego umysłu?

- Kazał mi coś powiedzieć. - Te słowa były tam, w jej głowie, tuż poza zasięgiem.

- Nie powtarzaj ich. - W głosie Tempeltona było coś, jakby strach. - Nawet ich nie myśl.

- I tak nie mogę ich sobie przypomnieć.

Demony wymieniły szybkie spojrzenia, ale nic nie powiedziały.

- Co było dalej?

Zagryzła usta.

- Daj mi chwilę, dobrze? Tylko moment...

Bat przeciął powietrze. Greyson stęknął.

- Przecież mówię... Mówię wszystko, co wiem! Zostawcie go w spokoju!

- Wydaje mi się, że to świetnie odświeża ci pamięć. - Dał znak służącemu z batem. Nowa smuga krwi. Kolejny jęk. Płomienie na rękach Greysona podskoczyły. - Czego chciał, Megan? Co miałaś zrobić?

- On... chciał, żebym...

Szpital. Jedyne w ich mieście, który miał, jak to nadal określano, oddział psychiatryczny. Tak nazywano go oficjalnie. Ludzie używali gorszych określeń, które sprawiały jej przykrość, gdy je słyszała.

Pacjenci tego oddziału w oczach jej sąsiadów i nauczycieli byli mniej ludzcy. Wszyscy śmiali się i żartowali, gdy pielęgniarki wychodziły z pacjentami na spacer w ciągu dnia. Megan tego nie cierpiała. Widziała ich i wydawali jej się lepsi niż pozostali, sprawiali wrażenie, jakby się wzajemnie lubili, przynajmniej uśmiechali się do siebie, kupując colę czy bilet do kina. I wtedy przypominała sobie żarty i kpiny, odwracała się, odchodziła.

Ta istota w jej umyśle - Oskarżyciel - kazała jej tam chodzić. Co noc. Stawała pod szpitalem. Nie znosiła tego. Oskarżyciel ciągle chciał tam chodzić. Fakt, że odczuwała jego pragnienia, przyprawiał ją o dreszcz. Później odczuwała także jego satysfakcję, uczucie spełnienia.

Przestała jeść. Ledwie spała. Kładła się w środku nocy i budziła kilka godzin później, wyczerpana, ale zarazem pełna dziwnej energii.

Nie myła się, nie szczotkowała zębów. Teraz widziała, że zrezygnowała z walki, poddała się, w głębi serca przerażona, ale zarazem... szczęśliwa. Dzieciaki bały się jej, były naprawdę przerażone, a ona chłonęła ich strach i ich tajemnice. I czuła, że jest najpotężniejszą dziewczyną na ziemi.

Przyszedł lekarz, zaatakowała go, a głos w głowie zagrzewał ją do walki i chwalił.

Wtedy zabrali ją do szpitala. Na oddział psychiatryczny.

A Oskarżyciel przejął kontrolę.

- Żywi siłę rozpaczą. - Wymamrotała. - Ich nieszczęściem, zmieszaniem, gniewem... Potrzebował tego. I dlatego przyszedł do mnie. Nie tylko ze względu na moc, ale i smutek.

- Jesteśmy już blisko, Megan. - Powiedział Templeton. - Już prawie mamy to, czego chcemy.

Bat uderzył jeszcze raz. Zmaltretowane plecy Greysona spływały krwią czerwoną jak koszmar, jak rysunek dziecka.

Czerwoną jak twarz Harlana Troopera, gdy to coś go zaatakowało. Kiedy zerwał się z ławki, na której umarł, przeklinając ją. Walczył z wieloma niewidzialnymi wrogami, istotami, jakich nigdy przedtem nie widziała. Na widok krwi zrobiło jej się niedobrze. Jego ciało, skatowane, na ławce, maleńkie postacie, które widziała kątem świadomości, bo przecież przebywał w niej demon. Dygotała na całym ciele. Szpitalna kolacja, którą zjadła tuż przed ucieczką, wróciła obrzydliwą falą. Spowodował to zarówno widok okropnych twarzy wpatrujących się w nią, jak i zapach krwi. Zginął, żeby ją ratować, żeby jej pomóc. Zapytał, czy może jej pomóc i wtedy potwór wyskoczył z niej i go zabił, tak wielka była jego moc.

- Żywi się rozpaczą. - Wysapała. Przełknęła ślinę, gdy Greyson krzyknął.

Okrzyk bólu niósł się echem po jadalni. Jeden z demonów uśmiechnął się i oblizał wargi.

Gdyby Megan nie była tak obolała, nieszczęśliwa i przerażona, rzuciłaby się przez stół, żeby mu wydrapać te niebieskie oczy.

- Co?

- Rozpacz. - Zgięła się wpół, położyła górną część ciała na udach, wbiła wzrok w stopy. Tym sposobem lepiej kontrolowała drżenie i żołądek nie reagował tak gwałtownie. - Żywi się rozpaczą. Czerpie z

niej moc. Z rozpacz i strachu. Potrzebuje ich. - Wybrał doskonały zawód. W oparach potu, krwi i łez pomyślała o biedakach z Pogromców Strachu. Jak wielką część ich energii zdążył już ukraść?

Do tego miał na swoich usługach osobiste demony. Wywoływały rozpacz, której potrzebował do życia...

Templeton skinął głową.

- Uważasz, że Oskarżyciel kontroluje Yezer Ha- Ra? Ciekawy pomysł, Megan. Greyson miał rację, twierdząc, że jesteś bystra.

- Czy to nie wystarczy? Przestań sprawiać mu ból!

- Wkrótce. - Templeton zerknął na zegarek. Łajdak. - Za godzinę mam kolejne spotkanie.

Nie pojmowała, jakim cudem Greyson miał wytrzymać jeszcze godzinę tych tortur. Chyba, że Templeton pragnął jego śmierci. Ale to chyba niemożliwe?

Nie mogła do tego dopuścić. Odważyła się spojrzeć na Greysona. - jego plecy były jak surowe mięso, a kilt poczerwieniał od krwi.

- Nie wiem nic więcej. - Wykrztusiła. - Nie wiem, jak się go pozbyłam. Byliśmy w parku. Chciałam, żeby odszedł, zostawił mnie w spokoju. I Harlan Trooper tam był, zobaczyłam je, osobiste demony, jak się domyślam. Byłam tak zła... Nie wiem, jak do tego doszło, ale wypchnęłam go z siebie. Zabił Harlana, był w jego ciele, chciał wrócić do mnie, ale ja...

Coś mignęło jej przed oczami, coś wysokiego, ciemnego i pokrytego krwią - nieostra, rozmyta twarz. Usta się rozchyliły i wpadła w nie. Widziała jedynie ciemność, gdy zamykały się za nią szczęki.

ROZDZIAŁ 24

Dokoła było tak ciemno, że w pierwszej chwili myślała, iż nadal znajduje się w makabrycznej paszczy. Usiadła ze stłumionym krzykiem. Ale kiedy jej oczy przywykły do mroku, zdała sobie sprawę, że przez ciężkie kotary przenika światło, a pod nią szeleści miękka pościel pachnąca lawendą. Nie paszcza, nie jej dom, nie apartament Greysona... Więc gdzie...

Och! Pewnie nadal znajduje się w domu Templetona, Lureanlier Sorithell.

Wypęzła spod kołdry, ignorując ból w głowie, i podeszła do okna.

Księżyc wisiał w zimnym powietrzu, jego poświata nikła w reflektorach oświetlających dom i teren. Wyglądało to, jakby Templeton przygotowywał się do odparcia inwazji nieprzyjacielskiej.

Albo uznał, że ma już wroga na swoim terenie i oświetlił podwórze, by uniemożliwić mu ucieczkę.

Nie miała pojęcia, gdzie jest Greyson i czy w ogóle jeszcze żyje.

Zakładała, że tak. Jak przez mgłę wydawało jej się, że słyszała jego głos po tym, jak zemdląca.

Ktoś szedł przez trawnik pod jej oknem. Cofnęła się za zasłony i wyjrzała, ale nie знаła tego kogoś. Pewnie strażnik. Miała rację. Chyba nie uda jej się wyjść z tego domu tak, żeby jej nie zauważono.

Ale musiała spróbować. Nie mogła tu zostać i pozwolić Templetonowi, by zmusił ją do dokończenia historii, uzupełnienia luk. Miał najważniejsze fakty. Oby się nimi udławił.

Nie włączając światła, skorzystała z łazienki. Poszukała butów. Te cholerne szpilki, które wybrali dla niej bracia, nie nadawały się na ucieczkę z twierdzy, jednak, jeśli wydostanie się na ulicę, będą jej potrzebne.

W pokoju oczywiście nie było telefonu. Ani telefonu, ani zapalek czy świec, ani jakiegokolwiek broni. Nawet ciężkiego wazonu. W torebce znalazła jedynie małą puszkę gazu pieprzowego. Nie miała nawet komórki, jak wszyscy inni ludzie. Po co? I tak nikt nigdy do niej nie dzwonił.

Przełożyła pasek torebki przez ramię i pchnęła drzwi. Ustąpiły z cichym zgrzytem. Nie zamknęli jej na klucz. Powinno ją to cieszyć czy martwić? Nie, dość ma zmartwień. Uznała, że to łut szczęścia i wyszła na korytarz.

Ciemno. Co gorsza, nie miała pojęcia, w której części domu się znajduje.

Gdy wyjrzała przez okno, zorientowała się, że jest na piętrze, w tylnej części domu, ale jak dostać się do głównego holu? I czy odważy się iść do drzwi wejściowych?

Nie, gdzieś tu muszą być kwatery dla służby. Może tylne schody albo wejście kuchenne. Będzie szukać.

Skręciła w lewo. Szła bezszelestnie po grubej wykładzinie na podłodze.

Prawie nic nie widziała, więc przywarła do ściany i posuwała się na palcach.

Za jej plecami rozległy się głosy, zapalono światło. Ktoś wchodził na górę.

Megan złapała najbliższą klamkę. Ustąpiła. Weszła do pokoju, zamykając drzwi najciszej, jak umiała. Gdyby ktoś tu spał... I tak zostałaby przyłapana.

Wydawało jej się, że to rzadko używana sypialnia gościnną. Niewyraźne światło płynące z okna obrysowało łóżko, stolik, stół z lampą. Zwykłe meble.

Głosy na zewnątrz były coraz głośniejsze. Spięła się, przykucnęła na podłodze przy ścianie. Gdy otworzą drzwi, nie zobaczą jej od razu.

Nie zrobili tego. Poszli dalej. Rozpoznała głos Templetona Blacka, ale nie jego rozmówcy. Wspomniał o spotkaniu. Czy to jeden z jego gości? A może po prostu jeden z pracowników?

Po swojej lewej dostrzegła inne drzwi. Łazienka? Wciąż trzymając kurczowo torebkę i buty, podkraśla się i je otworzyła.

Nie, nie łazienka. Kolejna sypialnia. Zaintrygowało ją, czy zdoła dotrzeć do końca korytarza, nie wychodząc z ciągu pokoi. Zawsze warto spróbować.

Nasłuchiwała uważnie przy każdych kolejnych drzwiach, ale w końcu szczęście ją opuściło. Ostatni pokój był zajęty, a postać skulona na łóżku dostrzegła ją, zanim zamknęła drzwi. Ten pokój miał łazienkę. Światło wydawało się bardziej jaskrawe w jej rozszerzonych źrenicach.

- Meg? - Miał ochryply głos, czy to od snu, czy wcześniejszych przeżyć, ale i tak w jej uszach brzmiał cudownie.

- Greyson.

Usiadł z trudem. Jego klatkę piersiową pokrywały bandaże.

- Przyszłaś uleczyć mnie całusem?

Nie wiedziała, śmiać się, płakać czy go uderzyć.

- Naprawdę uważasz, że to pomoże?

- Niewykluczone. Spróbujemy?

Jego skóra była jeszcze taka chłodna i niewygodnie było się całować, nie dotykając jego pleców, ale to nie przeszkadzało im w pełni cieszyć się sobą.

Oderwał się od niej zbyt szybko.

- Hm. - Mruknął. - Chodź do łóżka. Jest jeszcze kilka innych miejsc, które mogłabyś pocałować. To wszystko, czego potrzebuję, żeby wrócić do zdrowia.

- Chyba powinieneś oszczędzać siły. - Odpowiedziała z niepewnym śmiechem.

- O, nie. Leżę tu cały wieczór. Mam mnóstwo sił, nie widać? - Pociągnął ją na łóżko i złapał za rękę, przesunął nią po swoim nagim ciele pod prześcieradłem, aż poczuła jego gotową męskość. Jego usta stłumiły jej sprzeciw.

Chęć ucieczki walczyła z pożądaniem, gdy jego ręka muskała jej udo, za każdym razem wspinając się wyżej.

- Zdejmij te pończochy. - Zamruczał. - I całą resztę. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim znowu będziemy im potrzebni. A ja potrzebuję cię teraz.

Chwilę trwało, zanim jego słowa przebiły się przez gęstą, lepka żądę, która rozgrzewała jej ciało. Ale gdy to się w końcu stało, uniosła się tak gwałtownie, że mało brakowało, a spadłaby z łóżka.

- Co? Jak to, zanim znowu będziemy im potrzebni?
- Nie skończyli cię przesłuchiwać. Ani mnie karać.
- O Boże. - Już wyciągała rękę do kontaktu, ale zmieniła zdanie. -
To znaczy... Znowu ci to zrobią?
- Prawdopodobnie przez wiele dni. Tym ważniejsze, żebyś się zaraz rozebrała. Chyba nie chcesz odesłać mnie na dół bez rozkosznych nowych wspomnień?
- Mówił przekornie, ale nie mogła się skupić. Na myśl, że znowu będzie patrzeć, jak... zadrżała.
- Nie mogę. - Szepnęła. - Nie wytrzymam tego jeszcze raz.
- Nie obraż się, bryaela, ale myślę, że moja rola jest trochę trudniejsza niż twoja. Pomóż mi zebrać siły.
- Jesteś najbardziej upartym facetem, jakiego znam.
- Posłuchaj, to się wydarzy, czy nam się to podoba, czy nie, więc nie ma sensu się zamartwiać.
- Nie potrafię się nie martwić.
- Więc pozwól, że ci pomogę. - Jego ręka wędrowała w górę jej uda, dotknęła jej między nogami. Zamknęła oczy. - Widzisz? - Lekko zgiął palce. - Są przyjemniejsze tematy, prawda? Rozbierz się, a opowiem ci uroczą historię o tym, co ci zrobię i jak bardzo ci się to spodoba. To historia ze wspaniałym zakończeniem, obiecuję.
- Plecy cię nie bolą?
- Nie jest najgorzej. Właściwie uleczyli mnie, zanim mnie tu przynieśli, bandażę są tylko po to, żeby maść została na miejscu. Nie chcą mnie zabić, tylko ukarać. - Jego kciuk odnalazł najwrażliwsze miejsce. - A ty możesz sprawić, że poczuje się jeszcze lepiej.
- Zadrżała. Jeśli nie przerwie tego teraz, nigdy tego nie zrobi i znajdą ich w łóżku, gdy Templeton po nich przyśle.
- Greysonie, chcę uciec. Chcę się stąd wydostać, nie chcę nas pograżać.
- Meg... stąd nie ma wyjścia. Strzegą wszystkich drzwi i bramy. Patrolują ogrodzenie. Bywałem tu od dziecka, wiele razy, i nikt nigdy nie wyszedł z rezydencji bez pozwolenia Gretneg. Nigdy.
- W takim razie będziemy pierwsi.
- Oderwał ręce od jej ciała i przez chwilę siedział spokojnie.
- Dokąd chcesz pójść?

Nie pomyślała o tym i przypuszczała, że ma to wypisane na twarzy.

- No, tak. Nie możesz uciec i wrócić do domu, będą tam czekać. Nie możemy wracać do mnie, będą obserwować apartament. Tak naprawdę nie przychodzi mi na myśl ani jedno miejsce w tym mieście czy stanie, gdzie nie będą nas szukać.

- Więc wyjedziemy poza granice stanu.

- Myślałem, że ucieczka nie jest w twoim stylu.

- Nie wytrzymam tego kolejny raz. Po prostu nie mogę.

- Prędzej czy później będziesz musiała, wiesz o tym.

- Co? Patrzeć, jak cię chłószczą?

- Nie. - Objął ją ramieniem i przywarła do jego piersi. Bandaże były miękkie pod jej policzkiem, a pod nimi krzepiąco biło jego serce.

- Musisz sobie przypomnieć Oskarżyciela. To, jak się go pozbyłaś. Jak się pozbyłaś osobistego demona. Wiesz o tym.

- Nie chcę.

- Gdybyśmy wszyscy robili tylko to, co chcemy, świat byłby bardzo nieefektywny i przerażający. Myślałem, że jesteś dzielniejsza. Tylko mi nie mów, że moja wiara była bezpodstawna.

Odsunęła się, chciała zaprotestować, jednak nie znajdowała słów. Nie, dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć, ale dlatego, że miał rację. I wiedział o tym.

- Dobrze. - Powiedziała w końcu z westchnieniem, które zdawało się pochodzić z głębi jej duszy. - Niech będzie. Ale proszę, proszę, nie każ mi przypominać sobie tego tutaj, kiedy cię biją. Wyjdźmy stąd, chodźmy do Tery. Vergadering może nas ochronić, prawda?

- Tak, ale na jak długo? I czego zechcą od ciebie w zamian?

- Nic nie będzie gorsze od tego.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Słuchaj, wiem, że demony i czarownice nie przepadają za sobą. Ale to nie znaczy, że...

Pukanie do drzwi jej przerwało. Zeskoczyła z łóżka, rozpaczliwie szukała kryjówki, ale Greyson złapał ją za nadgarstek.

- Proszę.

Nie rozpoznała mężczyzny w drzwiach.

- Panie Dante, czy panna Chase... Och! Oboje macie za kwadrans stawić się w jadalni.

- Dziękuję. - Greyson odwrócił się do niej. - Dlaczego zerwałaś się z łóżka?

- Nie wydaje mi się, że powinnam tu być.

- Zostawili drzwi otwarte, bryaela. Och! - Jego wargi drgnęły. - Myślałaś, że dokonałaś śmiałego czynu, tak?

Wyrwała rękę.

- Nie śmieję się ze mnie. - Warknęła.

- Przepraszam. To był błąd.

- Co to w ogóle znaczy? Bryaela?

Zerknął na zegarek przy łóżku.

- To takie czułe określenie. Lepiej idź się przygotować. Muszę się ubrać.

- Pomóc ci?

- Nie przy ubieraniu. - Znacząco uniósł brwi.

- Nie.

- Czasami straszna z ciebie nudziara. Idź się ubrać, wkrótce do ciebie przyjdę. I... Meg?

- Tak?

- Nie bój się.

Musiał tu mieć jakieś ubranie, bo garnitur, w którym po nią przyszedł, był inny niż ten, który miał na sobie wcześniej. Ona oczywiście musiała zadowolić się starym strojem. Powoli zaczynała go nienawidzić. Kolory na pewno mają jakieś znaczenie. Nie mogła oprzeć się myśli, że Greyson coś przed nią ukrywa.

W metalowych kinkietach na ścianach płonęły świece. Ich blask ją ogrzewał. Teraz ogień to Greyson, jego pewny uśmiech i dumny głos, dymny zapach jego skóry i dotyk silnych ramion. Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie postrzegać to inaczej. Czerpała siłę z płomieni, idąc do szerokich schodów.

Jej obcasy stuknęły na marmurowych stopniach, gdy szli do pustej jadalni. Greyson chyba wyczuł jej napięcie, bo ścisnął jej dłoń.

- Wkrótce będzie po wszystkim. - Powiedział.

- Też mi pociecha.

- Odbieraj to, jak chcesz.

- Jak możesz być tak spokojny?

Zatrzymał się. Potknęłaby się, gdyby nie trzymał jej tak mocno.

- Jestem spokojny, bo muszę taki być. - Odparł. - Spokojny, bo zrobiłem wszystko, co mogłem.

Stała stopień wyżej od niego. Zszedł jeszcze niżej i ich twarze znalazły się na tej samej wysokości.

- Nie sprawisz mi zawodu. - Powiedział. Wpatrywał się w nią ciemnymi oczami, rozbierał wzrokiem. - Wiem to.

- To dop...

Jego moc wnikała w nią, gdy ich wargi się dotknęły, wypełniała, ale nie miała ujścia, więc Megan pozwoliła, by się gromadziła, narastała, pulsowała w niej, gdy Greyson wplótł palce w jej włosy, a jego język wsunął się do jej ust.

Oboje dyszeli ciężko, gdy przerwał pocałunek.

- Impreza się zaczyna.

Nie wyobrażała sobie, że wejdzie do jadalni w dobrym humorze, a jednak jej niepokój przygasł albo nadmiar energii stłumił strach. Energia Greysona huczała w jej ciele, szukała ujścia, ale uciszyła ją najsilniejszą barierą, jaką była w stanie wznieść. Nie dał jej tyle energii bez powodu. Okiełzna ją, póki nie będzie potrzebna.

Może planował wydostać ich z jadalni, a może po prostu chciał, żeby szła w noc pewna siebie. Tak czy owak, radosne, euforyczne uczucie trwało do chwili, gdy weszła do jadalni i zobaczyła Arta Bellinghama przy stole.

ROZDZIAŁ 25

- Megan. - Wstał. - Co za spotkanie.

Jej wyschnięte gardło ścisnęło się, gdy usiłowała przełknąć ślinę.

- Art. - Odruchowo rozejrzała się w poszukiwaniu Malleusa, Maleficarum i Spuda, ale nie było ich tu. Została sama.

Greyson, łądak, nawet nie udawał zaskoczenia. Niemal gwizdał, idąc do swojego miejsca.

- Megan, siadaj, proszę. - Powiedział Templeton. - Zaraz podadzą posiłek.

Odwróciła się i spojrzała na niego, a trybiki w jej głowie porządkowały fakty i wszystkie fragmenty łamigłówek trafiały na miejsce. Miała ochotę rozbić mu na głowie porcelanowy talerz.

Templeton zawarł umowę z Oskarżycielem, i postanowił przekazać mu Megan. Całe to wcześniejsze przesłuchanie, tortury... Ot, rozrywka demonów, pomysł na pochmurne sobotnie popołudnie A Greyson wiedział. Co więcej, chciał, żeby i ona to zrozumiała.

Powstrzymał ją. Chciała uciec, a on... całował ją i pieścił. I odmówił pomocy. Może nawet skłamał w sprawie ich szans. Ale czas na analizowanie jego kłamstw przyjdzie później, taką przynajmniej miała nadzieję. Zaufała mu.

Lubiła go. A on? Czy w ogóle coś do niej czuł? Spojrzała na niego z obrzydzeniem. Pochwycił jej wzrok. Szerzej otworzył oczy i odwrócił spojrzenie.

- Jestem już tym zmęczona. - Powiedziała. - Jeśli masz mi coś do powiedzenia, słucham.

Mówiła do Greysona, ale odpowiedział Art Bellingham. Bo i kto miał odpowiedzieć.

- Najpierw przyjemność, potem obowiązki. Mamy mnóstwo czasu. Poza tym nie chcę, żebyś straciła siły. Długo na to czekałem, a byłoby nie fair, gdybyś nie dysponowała pełnią sił.

- Nie chcę popsuć ci zabawy.

- Nie chodzi o zabawę. - Wtrącił Templeton. - Oskarżyciel postąpiłby niehonorowo, walcząc z tobą, zanim się nie posilisz.

- No tak, honor Zapomniałam, jaki jest dla was ważny. A co to dla ciebie za honor, oddać mu mnie za... No właśnie, co właściwie dostaniesz? Jestem gościem w twoim domu. To niezbyt gościnne.

Twarz Templetona spochmurniała. Jego gniew zaszumił w powietrzu.

- Dzięki mnie przeżyłaś miniony tydzień. Strzegły cię moje demony. Moi ochroniarze.

- Dlaczego! Dlaczego nie przekazałaś mi kilka dni temu? A może... Ach tak. Dopiero niedawno dobiliście targu, tak? Kiedy to było, ty gnojku? Wczoraj wieczorem? Dziwię się, że tyle ci to zajęło. - Dlaczego wyczuwa jego gniew? Ale przecież czuła też gniew Greysona wtedy, kilka dni temu w jej kuchni? Nie mogła czytać demonów, jednak jakimś cudem odbierała ich emocje. Nie pomyślała o tym wtedy. Tyle się działo, że nawet nie przeszło jej to przez myśl. Teraz... nie chciała patrzeć na Greysona, ale czuła na sobie jego wzrok.

I to ją wkurzało, co z kolei sprawiło, że gniew Templetona zdawał się gęstnieć wokół niej. Gdyby się otworzyła, mogłaby prawdopodobnie wessać go w siebie i zaatakować. Co takiego mówiła Tera o czerpaniu energii z otoczenia?

- Och, Megan. - Powiedział Art. - Zafundujesz sobie niestrawność, jeśli będziesz w sobie kumulować negatywne emocje. Nie chcesz chyba, żeby twoim ostatnim ziemskim wspomnieniem były skurcze żołądka?

- Idź do diabła.

Roześmiał się.

- Jakże mało kuszące.

Służący przynieśli jedzenie. Zaczęła się kolejna uczta, ale nie mogła niczego przełknąć. Właściwie, kiedy ostatnio zjadła coś z apetytem?

Poza francuskim tostem tego poranka, o którym nawet nie chciała myśleć, były to paszteciki dla braci. Już nigdy ich nie zobaczy, ich twarze pomarszczonych w uśmiechu, gdy patrzyli na nią z dumą...

Przycisnęła dłoń do czoła, chcąc odepchnąć wspomnienia, i odsunęła od siebie talerze.

Greyson także nie wydawał się głodny. Ilekroć ośmieliła się na niego zerknąć, opuszczał wzrok, bawił się widelcem albo zerkał na zegarek. Dziwne, że włożył zegarek. Na balu go nie miał, a wydawało jej się, że dzisiejsza kolacja była na tyle elegancka, że nie powinien go zakładać.

Właściwie... to nie był jego zegarek. Miał skórzany pasek, a zegarek Greysona był na srebrnej bransoletce. Widziała go kilka razy na jego nadgarstku. Był lśniący i drogi. Dlaczego Grey nosi cudzy zegarek?

Przechwycił jej spojrzenie, zmarszczył brwi, poprawił mankiet i opuścił rękę na kolana. Ściągnęła brwi. Drań. Dupek. A ona, idiotka, mu uwierzyła. Co z nią było nie tak? Dlaczego mu zaufała, choćby na chwilę? To demon.

Dlaczego, do cholery, myślała, że jedna noc była tego warta? Była cokolwiek warta?

Pomyśleć, że martwiła się, gdy go torturowali. Pomyśleć, że prawie mu uległa, tam na piętrze w jego pokoju. Dobrze, że tego nie zrobiła. Łotr. Nie potrzebuje jego przyjaźni ani sympatii. Jego ciało? Cóż... nie zrobił nic, z czym nie poradzi sobie dobry wibrator.

Oprócz tego, że sprawiał, iż czuła się piękna.

Pieprzyć go.

Rozmowa ucichła, gdy wszyscy jedli. Teraz, wraz ze szcękaniem odkładanych sztućców o porcelanowe nakrycia, zabrzmiały głosy.

Żołądek Megan ścisnął się i drżał. Greysonowi łatwo było mówić, że jest spokojny, bo zrobił wszystko, co mógł. Ona wcale się tak nie czuła. Miała wrażenie, że jej skóra chce opuścić ciało, że serce szykuje się do skoku z piersi i planuje zabrać mózg ze sobą. Czuła się, jakby zaraz miała umrzeć. I zapewne nie mijają się to z prawdą. A oni siedzą i jedzą, jakby nic ciekawego nie miało się wydarzyć.

Nie pokona Oskarżyciela. Nie udało jej się, gdy miała szesnaście lat, przecież wtedy nie wróciłby ponownie. Zdołała jedynie odesłać go na trochę i wymazać to wspomnienie z pamięci. Tego też już nie powtórzy. Nie chciała żyć dalej ze świadomością, że za piętnaście lat znowu musi to zrobić. Co to za przyszłość? Obserwować, jak mijają dni i tygodnie, a każda mijająca chwila przybliża koniec wolności?

Wydawało się, że długo o tym myślała, ale upłynęło ledwie kilka chwil, gdy Templeton odchrząknął.

- No, dobrze. - Zaczął. Zwracał się do wszystkich zebranych. - Na zewnątrz czeka jeszcze kilku gości. Potem zaczniemy świętować. Jak wszyscy wiecie, od wielu lat szukałem sposobności, by rozszerzyć wpływy Meegra Sorithell i wzmocnić naszą siłę. Marzeniem każdego Gretneg jest podbić innej rodziny. Dziś wieczorem osiągniemy ten cel. Zapewne wszyscy już wiecie, kim jest nasz gość. - Skłonił się Artowi, który odwzajemnił uśmiech. Po czole Megan spływał pot. - Niektórzy twierdzą, że jest tylko legendą... Na przykład wierzył w to Vergadering, podobnie jak inne Meegra. Nawet teraz wątpię w jego istnienie. Nie mają pojęcia, co ich czeka, gdy stanie za nami. Gdy zamieszka w ciele noszącym nasze barwy, a jego moc stanie się naszą. I właśnie dzisiaj to się stanie.

Z sufitu opuszczono klatkę, w której wcześniej trzymano Greysona. „W ciele noszącym nasze barwy...” A więc Art Bellingham znowu w nią wstąpi. I tym razem czuła, że nie pozwoli jej zostać.

Dobrze, świetnie. Skoro tak ma być - niech będzie. Będzie walczyła z całych sił, a jeśli przegra - trudno. Przynajmniej się nie podda.

Co takiego Tera mówiła o przyciąganiu energii? Tyle wspomnień kotłowało się w jej głowie, że trudno było znaleźć to właściwe. Usiłowała się uspokoić, wyciszyć, przypomnieć sobie. Co powiedziała Tera? I co ona sama wiedziała o Oskarżycielu?

Żywił się rozpaczą. Tamtego dnia, gdy przyszedł, była bardzo nieszczęśliwa, prawda? Zrozpaczona. Straciła nadzieję. Była łatwą ofiarą. Skoro uznała, że on wygra... to wygrał.

Przeciwiństwo rozpaczy? Nadzieja. Determinacja.

Czy tym go pokona?

Służący otworzyli szerokie drzwi. Templeton się uśmiechnął.

- Wreszcie. Nasi goście.

Megan nie spodziewała się zobaczyć przywódców innych Meegra. Nie wiedzieli przecież, co planował Templeton.

Ale też nie spodziewała się zobaczyć tych, którzy teraz wchodzili do sali i rozglądali dokoła z szacunkiem.

Pacjenci Arta Bellinghama. Wszyscy. Grant, nastolatek o parapsychicznych zdolnościach; Hanna, samotna kobieta w kolejnej

spranej, burej sukience; wysoki, gniewny Bob; Joe, jeszcze bardziej zdenerwowany niż poprzednio i Kevin - Kevin, od którego to wszystko się zaczęło.

Atmosfera w jadalni zmieniła się, gdy weszli, emanując taką siłą, że przez chwilę Megan miała wrażenie, że jest nimi. Każdym z nich. Ale zamiast wizji, które miała na sesji Pogromców Strachu, codziennych scenek z ich życia, widziała to samo u wszystkich - Oskarżyciela. Jego twarz wisiała nad nimi w powietrzu, jego energia przenikała ich. Ich osobiste demony panowały nad nimi, a nad demonami górował Oskarżyciel. Nie rozumiała, jakim cudem ci ludzie wciąż żyją. Byli tylko pustymi skorupami.

Czy wtedy na sesji Pogromców Strachu było już z nimi tak źle? A może Art jakoś to przed nią ukrył?

- Megan, pamiętasz moich pacjentów? - I zwrócił się do podopiecznych: - Wy na pewno pamiętacie Megan Chase. Megan zgodziła się pomóc mi dziś wieczorem, podczas ceremonii ukończenia.

Wbiła paznokcie w dłonie. Co on do cholery planuje? Co oni tu robią?

- Dobry wieczór, doktor Chase. - Wymamrotali chórem. Grant był niespokojny, prawdopodobnie za sprawą daru. Wyczuwał niebezpieczeństwo, choć pozostali nie mieli o tym pojęcia.

- Może usiądziecie na ziemi. - Art wskazał podłogę. - Przygasimy światła i zaczniemy ostateczną ceremonię, kiedy tylko poczujecie się swobodnie.

- Denerwuję się. - Grant usiadł koło Hanny. - Chyba jeszcze nie jestem gotowy.

- Nie obawiaj się, Grant. Wiem, że jesteś. Wkrótce wszystko będzie zupełnie inaczej, obiecuję.

Megan chciała krzyknąć. Ostrzec ich, zrobić coś. Już otwierała usta, zaczęła wstawać, ale Templeton Black pchnął ją z powrotem na krzesło.

- Niczego nie próbuj. Jeśli będziesz współpracować, pozwoli im żyć. Jeśli nie...

- Świetna robota, Temp. - rzucił Greyson. Megan skorzystała z okazji, żeby na niego spojrzeć. Wydawał się spokojny i pewny siebie jak ktoś, kto ma cztery asy w rękawie. - Trochę powolna jest ta nasza

Megan. Trzeba wszystko przeliterować, żeby jej człowieczy mózdek to ogarnął.

- Trochę lepszy niż człowieczy. - Zauważył Templeton. Greyson wzruszył ramionami. Megan wpatrywała się w niego, czekając na mrugnięcie, na cokolwiek... Ale powiedział tylko:

- Bez przesady. Jej umiejętności nieco wykraczają ponad przeciętną, ale we wszystkim innym jest kiepska. - Pochylił się w jej stronę i spojrzał jej w oczy. - We wszystkim.

- Podobnie jak ty. - Mruknął Templeton. - Jak mogłeś pomyśleć, że namówisz ją, żeby pomogła ci mnie obalić? Nie pojmuję tego. I co z tego wyszło? Ona umrze, ty poniosłeś karę.

Greyson wzruszył ramionami.

- Zawsze warto spróbować. Jej towarzystwo było nudne, ale opłaciłoby się, gdyby mi się udało.

Jedynym sposobem, żeby się nie rozpląkać, było wpaść w gniew. Zrobiła to. Pozwoliła, by narastała w niej furia. Rozkoszowała się wizjami, co zrobi Greysonowi, jeśli będzie miała ku temu okazję i kilka narzędzi tortur. Zwłaszcza przypadła jej do gustu wizja krzesła bez siedziska i trzepaczki do dywanów w roli głównej. Mało brakowało, by się uśmiechnęła.

Coś zamigotało w oczach Greysona. Szybko odwrócił wzrok. Czyżby się bał? Jej gniewu? Już ona mu pokaże gniew. Nadal miała w sobie jego moc. I nagle przypomniała sobie, jak ją zahipnotyzował tamtej nocy na polanie. Zrobił coś, założył demoniczną ochronę... A może zostawił coś, co łączy ją z Oskarżycielem i uaktywnia się w jego obecności? Dał jej słowo... Ale mimo całej tej gadaniny o honorze, widziała wyraźnie, ile znaczy słowo demona. Pewnie płątkom śniegu też przysięgają, że w piekle się nie roztopią.

Powinna wyzwolić tę moc. Uwolnić ją, otworzyć się i zalać ich energią. Skoro wyczuwa ich siłę, może i oni poczują jej moc. Może nawet uda jej się ich zranić. Może nadarzy się okazja, jeden moment, gdy Oskarżyciel będzie w nią wstępował, by się mu sprzeciwić.

Przeciwieństwem rozpaczki jest nadzieja i teraz ją miała. Nadzieję, że zdoła się na nich zemścić. Zwłaszcza na Greysonie.

Światła przygasły. Zaczęło się skandowanie.

Początkowo słowa wydawały się takie same, jak na sesji Pogromców Strachu, ale już po chwili zdała sobie sprawę, że są inne.

Nadal skądś znane, ale.... - O, nie! Dobrze znane. Były to te same słowa, które w wieku szesnastu lat wypowiedziała w swoim pokoju i które pozwoliły Oskarżycielowi wejść w jej ciało. Teraz wymawiali je uczestnicy programu Pogromcy Strachu. Ich siła rosła, otaczała Megan. Niewiele mogła zrobić, żeby ich powstrzymać. Plany zemsty poszły w zapomnienie, skupiała się na wykorzystaniu całej energii, żeby im się sprzeciwić.

Czyjeś ręce podniosły ją z krzesła. Czowała, jak niosą ją do klatki, wsuwają okowy na ręce, ale nie protestowała. Oszczędzała energię dla umysłu, nie mogła jej marnować na ciało.

Czerń wzbiła się uwodzicielskim obłokiem, tańczyła, wirowała, wypełniała przestrzeń. Już prawie nie widziała nikogo w jadalni. Przed nią nie było nic, tylko kręta ciemność narastająca jak chmura. Cofnęła się, przekonana, że zacznie krzyczeć, gdy czarny obłok jej dotknie.

Przez monotonne śpiewy i szepty przebił się głos Bellinghama. Zabrzmiął wprost w jej umyśle.

Jesteś gotowa, Megan? Zapytał. Powtarzaj za nimi, a wszystko się skończy.

- Nie.

Tak. Albo zacznę zabijać pacjentów. Myślę, że zacznę od Hanny. Biedna Hanna. Uważasz, że jest do ciebie podobna, prawda? Zupełnie sama na świecie, bez mężczyzny, bez przyjaciół... Tak jak ty. Ale jednocześnie znacznie lepsza od ciebie. Demony Hanny sprawiły, że robiła wiele rzeczy, których nie chciała. Ale zawsze miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie tak jak ty. Nie miałaś demona od dawna, ale wciąż nie jesteś dobra.

- Zamknij się.

Wszystkie te straszne rzeczy, które robiłaś... To twój własny wybór. Jesteś samolubna, zimna, mimo że pracujesz w zawodzie, który wymaga zaangażowania i troski. Ale ty się nie troszczysz. Nigdy się nie troszczyłaś.

- Nieprawda! - A może? Kobieta z DVD, notatki dziewczyny z akademika, miejsca do parkowania, ludzie, którym nie przytrzymała drzwi, nie wpuściła do ruchu. Nie, nie jest zła! Nie jest!

Więc to udowodnij. Wypowiedz te słowa, Megan. Wpuść mnie i uratuj tych ludzi. Mogą mieć dobre, szczęśliwe życie. Wszystko zależy od ciebie.

- Ty sukinsynu! - Krzyknęła, ale przez gniew, przez moc sączyły się smutek i rozpacz.

Poddać się? Wpuścić go?

A czy ma wybór? Nie mogła mu pozwolić zabić tych ludzi. Jeśli do tego nie dopuści, będzie warto. Może to cena za wszystko to, z czego w życiu nie była dumna. Cena za Harlana Troopera - człowieka, który poświęcił życie, próbując jej pomóc.

Zaczęła mówić, słowa przychodziły jej tak łatwo, jak własne imię. Wypowiedziała zaledwie trzy, gdy poczuła, jak nadchodzi. Wnikał w nią. Wygięła się w łuk - słowa przerwał krzyk. Czytał ją, brał wszystko. Jej myśli i wspomnienia.

Było tak, jakby każdy, kogo kiedykolwiek znała, przypomniał jej się w tej chwili. Żołądek podchodził jej do gardła. Po policzkach spływały gorące łzy.

Nigdy nie odczuwała takiego bólu, nawet wtedy, gdy wchodził w nią poprzednio. Bo teraz Oskarżyciel plądrował beztrudnie jej umysł, brał to, co uważał, że mu się przyda, a resztę odrzucał, nie troszcząc się o jej duszę.

Czekała na zapomnienie, jakie niesie śmierć. Nawet piekło będzie lepsze od chłodnego strachu przed Oskarżycielem. Nawet piekło będzie lepsze od oglądania jej nieudanego życia, wydarzeń z minionego tygodnia i tych chwil, gdy po raz pierwszy miała ochotę do kogoś należeć, a które rozpadły się w pył po okrutnych słowach Greysona przy stole.

Usiłowała skupić się na gniewie, tak silnym przed chwilą. Chciała go złapać i być gotowa do walki, gdyby nadarzyła się okazja. Ale już przygasł. Tak samo jak ostatnie ślady światła w jadalni. Była zupełnie rozbita i samotna. I gdy otworzyła usta, żeby wypowiedzieć ostatnie słowa zaklęcia, poczuła, jak ostatnia iskra energii Greysona żarzy się wściekłością w jej ciele, ale nie wybucha płomieniem.

Światło sprawiało ból jej oczom, tak jasne i czyste, że paliło. Megan opuściła powieki i usiadła, próbując się skoncentrować.

Była... och! Zakuta w łańcuchy? Nie. Jej ramiona i nogi okazały się wolne. Była obolała, ale cała.

Co się stało? Dlaczego się nie udało?

Kiedy jej oczy dostosowały się do jaskrawego światła, zdała sobie sprawę, że jednak się udało. Nie wiedziała, gdzie jest, ale na pewno nie w Solithell.

Leżała na podłodze z pokoju z sufitem tak wysokim, że nie widziała go dokładnie. Wirowały na nim kształty i kolory, ale wzór jej umykał.

Podłoga z twardego drewna lśniła. Megan stanęła na drżących nogach - starała się nie zwracać uwagi na ból w głowie. Czy zmarli miewają migreny? A może po prostu znalazła się w innym wymiarze?

Albo w niebie?

Otoczenie wyglądało na tyle znajomo, że gdyby była religijna, uwierzyłaby, że jej dusza, przed narodzinami, żyła w tym cichym miejscu, i teraz tu wróciła. I że za wielkimi wrotami na końcu może czeka Bóg na złotym tronie...

Ale nie wierzyła, że taki los ją czeka. Te drzwi prowadzą pewnie do piekła albo czegoś jeszcze gorszego. Greyson nigdy nie wyjaśnił jej do końca praw rządzących światem demonów. Greyson. Dlaczego ją zdradził? Dla żartu? Była kolejną pozycją na liście jego podbojów?

Jej kroki niosły się echem w ciszy, gdy przemierzała szeroką, czystą przestrzeń podłogi. Drzwi na końcu znajdowały się tak daleko. Zanim do nich dotrze, miną całe dni albo minuty. Jej orientacja przestrzenna funkcjonowała tu jakoś inaczej, ale nie przejęła się tym. Dobrze, że tu jest, myśli i czuje, a nie unosi się w przestrzeni, będąc tylko pustką.

Cichy skrzypiący dźwięk przerwał jej myśli. Odwróciła się, oddech uwiązał jej w gardle. Ale pokój wciąż był pusty, wciąż skrywał swoje tajemnice.

Tyle że... czy tam na ścianie nie pojawiła się świetlista linia? Wcześniej jej tam nie było. Teraz wyglądało to niemal tak, jakby w ścianie otworzyły się drzwi do szafy.

Szafa... Już wcześniej widziała to pomieszczenie. To był sen Kevina, wizja, po której trafiła do szpitala. Oskarżyciel wysłał jej Kevina, wysłał ten pokój.

Była w domu osobistych demonów. Ledwie to zrozumiała, jej serce zaczęło mocniej bić, a w ścianach uchylało się coraz więcej drzwi.

ROZDZIAŁ 26

Gardło Megan ścisnęło się konwulsyjnie, gdy próbowała krzyczeć, chociaż wiedziała, że krzyk niczego nie da.

Demony wypełzały z szafek, czołgały się wzdłuż ścian, kłębiły się na suficie. Ściany były żywe i ruchome. A widok wydawał się tym bardziej niesamowity, że wszystko rozgrywało się w niemal całkowitej ciszy. Ich suche dłonie i stopy szurały po drewnie, szeptały coś, choć żaden z nich niczego nie mówił, a ona niczego nie rozumiała. Nie skandowały jej imienia, nie śmiały się, nie śpiewały. Były jak owady na zwałonym pniu, gdy odwróci się je do słońca - ruszały się, wierciły. Widziała ich koszmarne ciała w jaskrawym świetle.

Zaczęła biec, ale gdy się odwróciła, zrozumiała, że jest już za późno. Było za późno już wtedy, gdy tu przybyła, gdy poszła na tamtą kolację. Gdy usiadła za mikrofonem. Co ludzie sobie pomyślą o jej losie? A może... Oskarżyciel użyje jej ciała, będzie ją udawał, prowadził jej program? Chciał tego. Przejmie jej praktykę, jej program, jej życie. Z łatwością wyobrażała go sobie w telewizji, jak analizuje hollywoodzkie małżeństwa i wewnętrzne rozterki polityków.

Przeszył ją gniew. Jej reputacja, jej życie, na które tak ciężko pracowała po tym, jak opuściła dom, a rodzice zachęcali ją, by nie wracała. Nie rozmawiała z nimi od lat. Zastanawiała się, czy tego żałuje, i doszła do wniosku, że nie.

Ale i tak nie zwalniała, biegnąc do drzwi. Nie mogła określić, jak daleko się znajdowały. Podłoga dudniła pod jej stopami, gdy pierwsze demony weszły na gładkie deski i ruszyły za nią. Mogła ulec Bellinghamowi, zrobiłaby to dla podopiecznych Pogromców Strachu, ale za żadne skarby nie ulegnie pieprzonym małym demonom. Tym cholernym bestiom, które umieją tylko unieszczęśliwiać ludzi.

Poślizgnęła się, wstała i prawie upadła, gdy cholerne buty zaczęły się ślizgać na gładkiej podłodze. Dlaczego biegnie? I tak im nie ucieknie. Szły po nią, dopadną ją, a wtedy stanie im naprzeciw z dumnie uniesioną głową.

Teraz rozumiała to, co Greyson mówił wcześniej - że jest spokojny, bo zrobił wszystko, co w jego mocy. Odwróciła się do demonów, oddychała coraz wolniej, koncentrowała się. Załatwi tyle małych drani, ile się da, zanim ją pokonają.

Demony się zatrzymały. Przed chwilą biegly, teraz stały nieruchomo, w milczeniu. Pojedynek w samo południe, tyle, że bez rewolwerów. Czuła się trochę jak Guliwer w krainie Liliputów. Dziwne w przypadku kobiety mającej zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu.

Z bliska były równie przerażające, jak przedtem - armia łysych istot z wielkimi ustami i różowymi ślepiami. Mimo to spokój jej nie opuszczał.

- Czego chcecie?

Nie odpowiadały, ale szmer wśród nich kazał myśleć, że nie spodziewały się pytania.

- Skoro nawet nie wiecie, czego chcecie, dajcie mi spokój, do cholery. - Jej głos odbijał się echem od wysokiego sufitu, słowa dźwięczały jeszcze, gdy zamknęła usta.

Oczekiwała odpowiedzi, ale nie takiej, jaką dostała. Nie mówiły, nie zaatakowały. Nie fizycznie. Za to wysłały duszącą falę gniewu, rozpacz, frustracji. A nad wszystkim dominowało uczucie osaczenia. Nie mogła się ruszyć ani odetchnąć. Chciała wstać, ale nie mogła, tak bardzo przytłaczała ją ich frustracja.

Krzyknęła, upadła na plecy. Jej rękę przeszył ból, gdy chciała zamortyzować upadek. Jej krzyk zmienił się w duszący gwałtowny wdech. Nie mogła oddychać, nie mogła się ruszyć. Pokonali ją, zniewolili, jedynie za pomocą swojej energii.

- Nie. - Wykrztusiła. Gdzieś w jej głębi kryły się drzwi, które Tera usiłowała jej pokazać, nauczyć, jak się je otwiera. Teraz je znalazła, rozpacz wprawiała jej duchowe palce w drzenie. Szarpnęła.

Każdy mięsień w jej ciele był napięty do granic możliwości, to było jak orgazm bez rozkoszy. Ból ją paraliżował, ogłuszył na chwilę, która mogła okazać się wiecznością. W jej głowie buchnęły

płomienie, zasłoniły wszystko. Męka rozrywała ciało. Palce wbijały się w podłogę, stopy kopały w pustkę.

Ale jej umysł wciąż walczył. Zebrała całą siłę, wszystko, co kryło się za tymi drzwiami, i przekuła to w miecz w głowie. Jej ciało zniknęło. Nie czuła go już i w tej cudownej chwili ulgi wzięła miecz i cięła w powietrzu, niszcząc więź między sobą a demonami. Odpychając je całą swoją mocą.

Demony wrzeszczały. Ich głosy zlewały się w jeden, zagłuszając krzyk Megan. Otworzyła oczy i zobaczyła je na kolanach. Ich okropne pyski wykrzykiwał ból i coś jeszcze... triumf. Jakby sprawiła im satysfakcję. Czy popełniła błąd i oddała im całą swoją energię, sobie niczego nie zostawiając?

I nagle usłyszała głos:

- Może to zrobić.

- Co?

Demony nie drgnęły, nawet wtedy, gdy wstała. Zachwiała się na wysokich obcasach i chciała zdjąć buty, ale się nie odważyła. Nie mogła teraz okazać jakiegokolwiek słabości, nie, gdy patrzyły na nią wzrokiem pełnym szacunku. Przeraziła je.

Jeden demon, nieco większy niż inne, podszedł do niej. Ukłonił się.

- Pomożesz nam?

- Wyjaśnijmy to sobie. - Megan opadła na miękki skórzany fotel i przetarła oczy. - Związałam was z Oskarżycielem?

Mały demon o imieniu Rocturnus skinął głową

- Napij się wody. I spróbuj ciasteczek, mamy je specjalnie dla ciebie. - Wskazał stoliczek koło jej fotela. Stał na nim srebrny półmisek ciasteczek czekoladowych. Naprzeciwko niej mały ogień płonął wesoło w ceglanym kominku. Pokój Rocturnusa za małymi drzwiczkami był większy, niż myślała, i bardzo przytulny. Jak gabinet profesora, a nie legowisko demona. Polubiła i pokój, i - wbrew sobie - Rocturnusa. Udało jej się nawet opanować drżenie, gdy zobaczyła pozostałe Yezer Ha- Ra zagładające przez drzwi.

Od tygodnia dręczyła ją obawa, co zrobią osobiste demony, kiedy w końcu ją dopadną. Nie miała pojęcia, że poczęstują ją herbatą i ciasteczkami i posadzą w głębokim fotelu, żeby pogawędzić.

- Dziękuję. Jak to zrobiłam?

- Nie wiemy tego na pewno. Ale w ciągu ostatnich piętnastu lat według twojego czasu, wykorzystywał nas. Zabierał całą naszą moc, wszystko, czym się żywimy. Więc wzmogliśmy naszą aktywność. Braliśmy coraz więcej, żeby przeżyć. Rozumiesz?

Skinęła głową. Osobiste demony stanęły przed alternatywą - albo staną się jeszcze gorsze, albo zginą. Wybrały zło. Nie mogła ich obwiniać.

- Zazwyczaj nie działamy w tak dużych grupach - ciągnął Rocturnus. Był dziwnie elegancki jak na niespełna metrowego nagiego demona z wściekle zieloną skórą. Megan cały czas oczekiwała, że zapali fajkę albo zagra coś na pianinie. - To nas osłabia, gdy musimy się dzielić i żerować na ludziach, którzy nie mają siły, by nas żywić. Nasze ofiary od początku są osłabione, ich bliscy nie są wystarczająco przejęci, gdy... No cóż. Zapewne wiesz, do czego doprowadzamy ludzi.

Megan skinęła głową.

- Ale Oskarżyciel pozbawił nas wyboru. Ty to zrobiłaś. Megan, a my chcemy odzyskać wolność. Na tyle, na ile to możliwe. Pomóż nam.

- Nie wiem jak.

- Owszem, wiesz. Po prostu tego nie pamiętasz, ale wiesz. Ta wiedza jest gdzieś w tobie, musisz ją tylko odnaleźć i wykorzystać. Pokonałaś nas przed chwilą. To wymagało ogromnej siły.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Skoro tak łatwo was pokonałam, dlaczego mnie straszyłyście? I po co były te numery na sesji zdjęciowej? W restauracji? Dlaczego nasłaliście na mnie Dona Tremblaya? Na mnie i na mój program?

- Twój program mógł stanowić dla nas zagrożenie i zarazem był pewnym przesłaniem. Pozwoliło nam to się przekonać, jak wielka jest twoja siła. Poza tym mianował nas swoim wojskiem. - Jad w głosie Rocturnusa uderzył ją niemal fizycznie. - Kiedy nie jesteśmy tutaj, w naszym domu, musimy spełniać jego rozkazy. Program był dla niego świetną wymówką. Ale próbowaliśmy cię pilnować i wtedy, i w parku, Tremblay spudłował, musisz nam to przyznać.

- Dzięki. Tylko, po co Oskarżyciel przysłał mnie tutaj? To bez sensu.

Rocturnus sącył herbatę.

- Nie zrobił tego. Nie wiemy, jak tu trafiłaś. Oczywiście chcieliśmy tego. Może to wystarczyło. Teraz możemy go zaatakować.

- Ale nie wiem, jak to zrobiłam. To się po prostu stało. To znaczy, wiem, co starałam się zrobić, ale nie mam pojęcia, jak to działa. I nie pamiętam, jak to zrobiłam.

- On wie. Łączy nas z nim więź, jak ciebie. Musimy po prostu wrócić tam, gdzie teraz jest. Tam znajdziesz wszystko.

- Zabierzcie mnie do niego? - Zapytała szeptem.

- Nie. Możemy tylko stawiać się na jego wezwanie. To ty nas zabierzesz.

- A nie musicie mu być posłuszni?

Rocturnus się uśmiechnął. Starła się nie patrzeć na jego zęby.

- Jeśli skoncentrujemy się odpowiednio, możemy mu się sprzeciwić, ale nie na długo. Musisz go szybko pokonać.

- Nie mogę. Nie mogę wrócić. Wyrzucił mnie. Nie mam już ciała, on w nim jest.

- Nie do końca. - Rocturnus wstał zwinnie i podał jej rękę. Megan zawahała się i podała swoją. Jego skóra była chłodna i sucha, a palce przypominały długie żywe patyki w jej dłoni. - Ktoś zostawił ci linę. - Powiedział. - Musisz tylko po niej wrócić.

- Linę? Ja nie...

I wtedy ją zobaczyła, nikłą czerwoną bliznę pulsującą w powietrzu, prowadzącą z jej klatki piersiowej gdzieś w przestrzeń.

Osobiste demony wstały, podniosły ramiona. Rocturnus powiedział coś w ich języku, jedno słowo. Powtórzyły je.

Ich moc znowu uderzyła w Megan, ale tym razem nie krzyczała. Tym razem otworzyła drzwi, które odnalazła, i wessała wszystko, moc demonów i własną. Zmieszała je w palenisku swojej duszy, chwyciła wąską szkarłatną smugę i pociągnęła.

Pokój zniknął. Kolory drżały i wirowały wokół niej. Rozległ się głuchy odgłos. Megan otworzyła oczy i znalazła się z powrotem w Solithell. Leżała na podłodze obok rogatej bestii z trojgiem oczu. Od razu wiedziała, że to Oskarżyciel w swojej prawdziwej, ohydnej postaci.

Oskarżyciel ryknął, jego olbrzymie czarne cielsko drżało, gdy wznosił pięści. Megan też krzyczała, nie tylko ze strachu i gniewu, ale

dlatego, że w jego obecności jej energia rozgorzała tak bardzo, że obawiała się, iż straci nad nią kontrolę. Za jej plecami osobiste demony wrzasnęły, ich głosy niosły się echem.

Ile czasu minęło? Miała wrażenie, że wiele godzin, ale kiedy rozejrzała się po jadalni, zrozumiała, że najwyżej kilka minut.

Czarny smog już nie wypełniał pomieszczenia. Nigdzie nie widziała uczestników programu Pogromcy Strachu, ale Dante nadal siedział przy stole, wyraźnie spięty, co widziała nawet z daleka. Oczy zaszyły jej łzami, gdy w przeciwnym krańcu pokoju dostrzegła Malleusa, Maleficarum i Spuda, pochylonych nad czymś, co - jak podejrzewała - należało do niej. Templeton Black krzyczał w języku demonów głosem ochryplym z przerażenia. Stał naprzeciwko Oskarżyciela. Nie widział jej. Nie wiedziała, czy ktokolwiek z nich ją widzi.

Wystarczyło jedno spojrzenie na siebie, żeby się o tym przekonać. Była przezroczysta jak wyblakłe odbicie. Na moment świat zawirował, potknęła się i zaraz odzyskała równowagę. Nie ma czasu. Zgodziła się umrzeć. Jeśli trafia jej się szansa na życie w roli ducha tu w Solithell, wykorzysta ją.

Pokręciła głową i wstała.

- Ej!

Oskarżyciel się zatrzymał. Jego oczy lśniły czerwono, gdy odwrócił się w jej stronę. Jego świńskie nozdrza się rozděły. Po jego potężnych ramionach spływała krew, mierzwiła kłaki na jego ciele. Gdyby nie była duchem, chyba zsikałaby się ze strachu.

- A jednak się mnie nie pozbyłeś. - Powiedziała piskliwie. - PrzyproWadziłam też starych znajomych.

Oskarżyciel popatrzył na nią i odwrócił się z powrotem w kierunku Templetona. Pokusa, żeby ukryć się przed nim, pobiec do swojego ciała, odzyskać je, była prawie nie do zniesienia.

I wtedy obejrzała się i zobaczyła, jak osobiste demony patrzą na nią z nadzieją w wylupiastych ślepiach. Zabawne, były niemal słodkie w swojej brzydocie, kiedy się już do nich przywykło. To jej wina, że przez minionych piętnaście lat żyły w niewoli. Dlatego musiała je uwolnić.

Głęboko zaczerpnęła tchu i zaatakowała Oskarżyciela.

Właśnie wyciągał rękę po Templetona Blacka. Energia uderzyła go z taką siłą, że Megan się zachwiała, ale Oskarżyciel po prostu się zatrzymał. Spojrzał na nią, zdziwiony, jakby była owadem, a potem - niemal jak człowiek - wzruszył ramionami.

Megan nie miała pojęcia, co się stało. Mknęła przez całe pomieszczenie.

Uderzyła w ścianę, osunęła się na ziemię. Oskarżyciel odwzajemnił cios, choć w ogóle nie dał tego po sobie poznać. Drobne demony zasyczały. Wstała, obmacała głowę. Nie była ranna. Nie miała ciała, które mógłby ranić.

Nie potrafił skrzywdzić jej bardziej, niż już to zrobił. Mogła zostać w obecnej postaci albo odzyskać ciało, ale nie mogła cierpieć już bardziej.

Z krzykiem rzuciła się na niego, opuściła bariery ochronne, które nadal utrzymywała aż do tej pory, czerpała energię z demonów osobistych, formowała z niej ognistą kulę, tak wielką i gorącą, że gdyby miała ciało, oblałoby się potem. Trzymała ją w dłoniach, pozwalając się wchłoniąć, aż ona była ogniem, a ogień był nią, aż stali się jednym.

Śmiała się, zachwycona dźwiękiem, który niósł się echem przez okrzyki i chaos w pokoju. Unosiła się nad tym wszystkim, mknęła przez jadalnię. Jej nogi chciały tańczyć. Po drodze chłoneła zewsząd energię. Od Templetona, innych demonów, braci, a w końcu, z wewnętrznym chichotem, od Greysona - ognistoczerwoną w jej rękach i umyśle.

Gnała po marmurowej posadzce i nie zawahała się, gdy dopadła Oskarżyciela. Biegła prosto na niego, wpadła na niego. Jego ciało wchłoneło ją z obrzydliwym chlupotem.

Jej własne wspomnienia powróciły falą, zgięła się z bólu pod ich wpływem. Jej rozczarowania, wszystko, co widziała i robiła, jej samotność... A potem pojawiło się coś jeszcze. Coś czystego i pięknego - miłość, szczęście, duma z jej osiągnięć. Delikatny błękit nowej przyjaźni z Terą, zieleń szacunku Briana, nawet płomienna czerń pożądania i towarzystwa Greysona. Przytłumiły wstyd i smutek, nie zatarły ich całkowicie, ale sprawiły, że stały się do zniesienia. Wykrzyknęła triumfalnie, wbiła palce w pokryte mazią ciało i zaczęła czytać.

ROZDZIAŁ 27

Był starszy niż ludzkość, starszy niż czas. Widziała dinozaury i dziwne, pełzające, oślizgłe stwory. Widziała ludzi kromaniońskich i prehistoryczne zwierzęta, śpiewających druidów, ludzi rosnących, zmieniających się. Co jakiś czas ktoś rzucał mu wyzwanie, ale on zawsze wygrywał. Zabijał śmiałków, zlizywał ich krew, tańczył w płomieniach ich stosów pogrzebowych, krzyczał z radości. Ich rozpacz go wypełniała, upajała jak dobre wino. Megan wraz z nim czuła jej smak. Była nim i ze szczęścia odrzuciła głowę do tyłu.

Obrazy się zmieniały, rosły. Coś prześlizgnęło się przez jej umysł, raczej uczucie niż wizja. Chwyła je, zanim umknęło, zobaczyła, co zawiera, i skierowała na niego.

Tak. Właśnie tak to zrobiła. I zrobi to jeszcze raz.

W samym środku jego ciała, w obrzydliwej tkance jego serca, tkwił paranormalny sznur łączący go z osobistymi demonami. I to ona go tam umieściła. Gdy zginął Harlan Trooper, gdy Oskarżyciel ją zaatakował, chwyciła demona Harlana i swojego i posłużyła się nimi jak tarczą. Cisnęła je w napastnika, ale jej działanie przyniosło odwrotny skutek. Wessał ich w siebie, pochłoniął. W rozpacz znalazła coś innego, czego mogła użyć przeciwko niemu. Coś, czego istnienia nie była świadoma.

Jej moc wirowała w powietrzu wokół niej. Uwiła sznur. A na jego końcu tkwiła szesnastoletnia Megan i Yezer Ha- Ra. Złapała ten obraz umysłem i pociągnęła. Cząsteczka jej młodego ja - uwięziona we wnętrzościach Oskarżyciela - krzyczała, chwytając go za serce. Cały jej gniew, strach i samotność spływały po niej.

Łzy szczypały ją w oczy. Cały ten ból... Jak bardzo była wtedy nieszczęśliwa. I to nie zniknęło. Zmieniło się, przekształciło, ukryło, zamknęła to na klucz za drzwiami. Ale nigdy nie zniknęło całkowicie. Oskarżyciel miał jedynie cień tych uczuć, echo.

Obolałe gardło paliło, gdy po raz ostatni szarpnęła sznur. Ostatnia część jej młodego ja zniknęła, jej krzyki zagłuszył ryk Oskarżyciela, gdy chwyciła jego serce w przezroczyste dłonie i ścisnęła. Czuła, jak chlupie i wybucha w jej palcach.

Sznur owinął się wokół niej, wyciągał ją ze skorupy ciała Oskarżyciela, gdy upadło. Megan potknęła się i też runęła na ziemię. Jej skóra była śliska od krwi.

Bracia klęczeli na podłodze jakieś dziesięć metrów dalej. Megan wstała, pobiegła do nich, a jej zakrwawione stopy sunęły po marmurowej posadzce z gracją, której jej fizyczny kształt nigdy nie zaznał, nie wiadomo skąd wiedząc, że bez mocy Oskarżyciela umrze.

Przepchnęła się między Malleusem a Spudem i uklękła obok jej wciąż ciepłego ciała. Uderzyła je, usiłowała jakoś w nie wejść. Starła się ignorować dziwne uczucie, że patrzy na siebie z tej perspektywy.

Głos Maleficarum narastał ponad jej przerażeniem, ponad całym pokojem, unosił się w pieśni. Była piękna, ale ledwie ją słyszała. Jak wrócić? Co z nią? Nie żyje? Odbywa podróże astralne? Po jej policzkach spływały łzy strachu. Usiłowała dotknąć własnej piersi i przyłożyć głowę do piersi. Nic z tego. Dawaj! - krzyczała, atakując klatkę piersiową pięściami.

Nie wiedziała, czy sprawił to jej krzyk, ciosy czy pieśń Maleficarum. ale cienka czerwona linia, która ją tu sprowadziła, wróciła, zapłonęła i ją wchłonęła. Ostatnie, co widziała, zanim wszystko ogarnęła czerwień, to Brian Stone wpadający do pokoju, a za nim Tera i postacie w czarnych szalach.

Coś w niej uderzyło głęboko w klatkę piersiową. Megan jęknęła i wygięła się w łuk. Bolało, chciała uciec, ale nie mogła, paliło ją....

- Zrób to jeszcze raz!

Przez mglistą panikę ustępującego bólu usłyszała czyjś krzyk. Wydawał się znajomy. Poznawała ten głos.

- Chyba nie działa. - Do cholery, Brian! Zrób to jeszcze raz albo własnoręcznie urwę ci głowę!

Więcej bólu. Krzyczała. Pchnęła jeszcze raz, walczyła z tym, co ją chwyciło i wciągało w mrok cierpienia. Aż nagle znowu była w swoim ciele, ruszała się, drżała. Uniosła powieki. Zobaczyła ściany jadalni Solithell. Jej płuca wypełniło słodkie powietrze, chwytając je

chciwie. Bolały ją mięśnie. Ból promieniował z jej lewej ręki, ale żyła. Naprawdę żyła.

Miała ledwie chwilę, żeby się tym nacieszyć, bo ktoś ją objął, podniósł z podłogi, przycisnął do szerokiej, płaskiej, ciepłej powierzchni z miażdżącą siłą. Nie musiała widzieć pobladłej twarzy Greysona, żeby wiedzieć, że to on.

Jego serce waliło mocno. Był to cudowny dźwięk.

Ejże, chwileczkę. O. nie. Za kogo on się uważa? Wykorzystał ją, żeby obalić Templetona Blacka. Co go w ogóle obchodzi, że ktoś tak przeciętny jak ona nadal żyje.

- Co z nią? - W spokojnym głosie Tery dało się słyszeć nutę strachu.

- Chyba dobrze. - Greyson odsunął ją od siebie drżącymi rękami.

- W porządku? Meg, muszę ci powiedzieć....

- Nic mi nie jest. - podniosła prawą rękę i uderzyła go w twarz z całą siłą, na jaką było ją stać.

Ciszę przeciął odgłos uderzenia. Megan zmusiła się, żeby wstać, co nie było łatwe, zważywszy, że nadal miała niesprawną lewą rękę. Otarła prawą dłoń o brudną spódnicę.

- No, dobra. - Powiedziała o rozejrzała się w dookoła, chłonąc wzrokiem spustoszenie w pokoju. - Co tu się działo? Co wy robicie?

Brian zamrugał.

- Nie wiesz!?

- Gdybym wiedziała nie pytałabym. - Naprawdę nic jej nie jest?

Miała wrażenie, że dostała zastrzyk adrenaliny. Rozchwiana i słaba, ale też pełna życia i pewna siebie. Nawet ciało Arta Bellinghama, leżące w kącie, nie wstrząsnęło nią tak, jak się tego spodziewała.

- Pani! Pani! - W słabo oświetlonym pokoju zapłakane twarze braci świeciły jak reflektory. Malleus uścisnął jej dłoń z taką siłą, że musiała zagryźć wargi żeby się nie skrzywić. - Bardzo się martwiliśmy, myśleliśmy, że już nie wrócisz i że....

- Pan Black nas uwięził nie mogliśmy na czas pospieszyć ci z pomocą.

- Ano.

- A kiedy wpadliśmy tu na górę, zobaczyliśmy...

- Już dobrze. - Wyciągnęła rękę i poklepała każdego z nich po ramieniu. - Już dobrze panowie. Dziękuję. Pomogliście mi odnaleźć moje ciało. Właśnie tego było mi trzeba. Musiałam poczuć, że komuś na mnie zależy.

- No pewnie, że nam zależy. I przykro nam, że musieliśmy cię szpiegować, pani, i powtarzać panu Blackowi, co mówiłaś w parku i w ogóle. Ale nie mieliśmy wyboru, on był...

- W porządku, panowie, naprawdę. Dziękuję. - Spojrzała na Briana. Nie chciała sprawić braciom przykrości, ale bardzo pragnęła usłyszeć jego opowieść. - Co tu się działo?

- Dante to zorganizował. Wczoraj, na balu. Kazał mi obiecać, że przyjdę. A zanim to zrobię, miałem zadzwonić do Tery.

- Powiedział mi o tym we czwartek. - Dodała. - A ja zawiadomiłam ich. - Wskazała postaci w czarnych szatach. Dwie z nich mocno trzymały Templetona Blacka. Nie musieli się wysilać. Skrępowano go w nadgarstkach i kostkach błyszczącą czarną liną.

- Dlaczego jest związany?

- Został aresztowany. Chciał złożyć człowieka w ofierze, żeby przywołać Oskarżyciela. Tego się nie robi.

- Więc dlaczego w ogóle próbował? - Megan odwróciła wzrok od Blacka, gdy strażnicy w czerni go wyprowadzali. Jej skóra płonęła pod jego wściekłym spojrzeniem, ale zignorowała to. A zatem Greyson postawił na swoim. Black odszedł. Udało mu się ją wykorzystać i pozbyć jego za jednym zamachem.

- Gdyby do tego doszło, nikt nie mógłby mu tego udowodnić. - Tera wzruszyła ramionami. - A doszłoby, gdyby....

- Gdyby Megan nie zdołała jakoś pokonać Oskarżyciela. - Greyson wpadł jej w słowo. Wstał, wsunął ręce do kieszeni. - Domyślam się, Megan, że te maluchy miały coś wspólnego z twoim zwycięstwem?

Megan się odwróciła. Osobiste demony stanęły wzdłuż ścian. Patrzyły na nią. Skinęła głową.

- Pomogły mi. Dały mi część swojej mocy, sprowadziły mnie z powrotem.

- Nie sprowadziliśmy cię. - Roctumus zrobił krok wprzód. - Miałaś linę. My tylko pomogliśmy ci z niej skorzystać.

- Bez was nie zrobiłabym tego. - Uśmiechnęła się do małego demona. - Dziękuję.

Greyson zmarszczył brwi.

- Skoro już przebrnęliśmy przez towarzyskie konwenanse, możemy zmierzać do końca? Jestem zmęczony.

Rzeczywiście, wyglądał na zmęczonego. Miał głębokie cienie pod oczami, a jego ubranie było pogniecione i poplamione.

- Bardzo mi przykro. - Syknęła. - Przeszkadzamy ci?

- Skądże. Pójdę usiąść. Dajcie znać, kiedy skończycie.

- Dobrze. - Nie chciała patrzeć, jak wychodzi, odwróciła się do Briana i Tery, którzy wpatrywali się w nią z identycznymi marsami na czołach.

- Może wszyscy usiadzimy. - Zaproponowała Tera. - Zjemy coś, napijemy się...

- Służący śpią. - Przypomniał Greyson od stołu.

- W takim razie musimy obsłużyć się sami. - Tera chwyciła Megan za rękę i pociągnęła ją w kierunku stołu, ale Spud zastąpił im drogę i, zanim Megan mogła go powstrzymać, podniósł ją i zaniósł na miejsce obok Greysona. Megan pokręciła głową i wskazała przeciwny fotel. Nie chciała być tak blisko niego.

Tera zajęła się kieliszkami i butelkami, Brian usiadł obok Megan. Greyson nie ruszył się z miejsca, siedział z założonymi rękami i pustym kieliszkiem.

Tera przyniosła kieliszki.

- Wino dla wszystkich. - Oznajmiła. - Nie wiem, czy wam to odpowiada.

Czerwone wino było owocowe i pikantne w smaku. Megan czuła, jak ciepło rozlewa się w jej ciele.

- Dziękuję. - Odwróciła się w stronę Greysona. ale nie patrzyła mu w oczy. - Gdzie podopieczni Pogromców Strachu?

- Wysłaliśmy ich do domu. - On też na nią nie patrzył. I dobrze. Nie sądziła, że zdoła jeszcze raz spojrzeć mu w oczy. - Zaraz po tym, jak... odeszłaś.

- Wszystko z nimi w porządku?

Skinął głową.

- To dobrze. Martwiłam się o nich. Co tu się działo?

Odchrząknął.

- Templeton zawarł umowę. Myślał, że jeśli przekaze cię Oskarżycielowi, zdoła nad nim zapanować. Mylił się. Oskarżyciel dostał to, na czym mu zależało, ciebie, i chciał cię wykorzystać. Nie wiem, w jaki sposób, ale na pewno nie byłoby to nic przyjemnego. Klócili się przez kilka minut, a potem Oskarżyciel się zdenerwował. Opuścił swoje ciało i przybrał czystą fizyczną formę, którą widziałas. Właśnie miał zabić Templetona, gdy wróciłaś i... go pokonałaś.

- Wykorzystałam moc osobistych demonów. - Rocturnus, który siedział na podłodze kilka metrów dalej pod czujnym spojrzeniem Malleusa, Maleficarum i Spuda, chrząknął.

- Teraz to także twoja moc, Megan.

- Słucham?

- Nasza moc. Stała się także twoją, gdy przywiązałaś nas do siebie.

Megan w końcu przerwała ciszę.

- Możesz powtórzyć?

- Przywiązałaś nas do siebie. Uwolniłaś nas od Oskarżyciela, trzymałaś linę. Wyciągnęliśmy cię z niego, ale nie puszczałaś. Nadal miałaś linę na sobie, gdy wróciłaś do swojego ciała, a ten człowiek... - wskazał Briana. - ...dokonał przekazu mocy i pomógł przywrócić ci życie. Co więcej, tamtego dnia, gdy związałaś nas z Oskarżycielem, obiecałaś, że kiedyś nam pomożesz. Teraz należymy do ciebie.

- To niemożliwe. - Sapnęła. „Nie zapominaj, co obiecałaś”, chodziło jej ciągle po głowie. Tamtego dnia pod prysznicem, po ataku zombie. Próbowwała sobie to przypomnieć, ale nie mogła pozbierać wszystkich kawałków łamigłówki. – Wy... Słuchaj, byliście dla mnie bardzo mili i w ogóle, ale jesteście demonami, a ja człowiekiem. Terapeutką. Moim zadaniem jest z wami walczyć, pomagać ludziom pozbyć się was.

- Nie do końca jesteś człowiekiem. - Wymamrotał Greyson.

- Co?

Odchylił się, wpatrywał się w swoją dłoń na nóżce kieliszka, jakby z niej czytał.

- Nie jesteś do końca człowiekiem. Oskarżyciel zostawił w tobie demona po waszym pierwszym spotkaniu, a ty... Otoczyłaś go, z braku lepszego określenia. Nie jesteś demonem, ale masz demona, rozumiesz? Dlatego mogłaś je do siebie przywiązać.

- Słuchaj, albo wypiałam za mało, albo ty zdecydowanie za dużo. - Stwierdziła. - A może to twoja kolejna gierka? Kolejna odsłona? Pośmiejmy się wszyscy kosztem Megan?

- Ruszysz w końcu głową czy będziesz się dalej bawić w małostkową zemstę?

- Moją przeciętną głową?

- Pieprzona... cholera! - Greyson wstał, cisnął kieliszkiem przez pokój.

Szkló rozprysło się na ścianie, rozpadło na drobne kryształowe odłamki, zostawiając na blad różowej tapecie fioletową plamę po winie. Pozostali jęknęli. Spiorunował ich wzrokiem. Poczzerwieniał.

- Zasób twojego słownictwa robi na mnie największe wrażenie. - Stwierdziła Megan.

Greyson posłał jej mordercze spojrzenie i zamaszystym krokiem wyszedł z pokoju, trzaskając ciężkimi drzwiami.

- Megan, nie uważasz, że trochę przesadzasz? - Zapytała Tera.

- Myślę, że jestem zbyt łagodna! - Warknęła. - Po tym, co mi zrobił?

- A co takiego ci zrobił? Uratował ci życie? - Brian pochylił się na krześle i oparł łokcie na stole. Wciąż, był blady. - Megan, wiesz, że uratował ci życie, prawda? Czulaś, jak sprowadza cię z powrotem?

Energia Greysona. Lina Greysona.

Pocałował ją, zanim weszli do pokoju, wlał swoją moc do jej ciała. Nie żeby dodać jej odwagi, ale żeby ją do siebie przywiązać. Stworzyć linę.

Zobaczyła płomienie. Zobaczyła, jak iskry gasną tuż przed tym, jak znalazła się w sali osobistych demonów.

Jego energia ją tam wysłała, jego lina przywiodła ją z powrotem.

Przełknęła ślinę.

- Brian, co on ci mówił o dzisiejszym wieczorze? Jak cię namówił, żebyś przyszedł?

- Powiedział mi, że prawdopodobnie umrzesz, jeśli tego nie zrobię. Wziął mój zegarek. Mogłem się na nim skupić, bo należał do mnie. To jedna z możliwości wykorzystania moich umiejętności. Greyson go nosił, ja o nim myślałem i tym sposobem mogłem cię poinformować, kiedy miałem przyjść. Zaraz po tym, jak skończyliście

jeść, dał mi znak. Zadzwoiłem do Tery. I przyszliśmy, żebyśmy mógł dokonać przekazu mocy.

- Ty przyszedłeś, żeby dokonać przekazu mocy. - Poprawiła Tera.
- Ja przyszedłam ze strażnikami Vergadering, bo na czwartkowym spotkaniu Greyson powiedział mi, o co podejrzewa Templetona i że mamy być gotowi. Gdy Brian zadzwonił, czekałam na to, i oto jesteśmy.

Oczywiście. Wiedziała, że zegarek nie należał do Greysona, nie mogła sobie tylko uprzytomnić, gdzie go wcześniej widziała. Na nadgarstku Briana, na balu.

- To wszystko ciągle nie tłumaczy tego, co mi powiedział. - Wymamrotała.

- Megan, on walczył o życie was obojga. - Tłumaczyła Tera. - Gdyby Templeton dowiedział się, co zrobił, zabiłby i Greysona, i ciebie. Ty nie ukrywałaś swoich uczuć. Musiał zrobić coś, żeby Templeton myślał, że mu na tobie nie zależy i rozzłościć cię, bo twoja moc rozkwita, gdy się pieklisz. O czym dobrze wiesz.

- Wykorzystał mnie. Uwiódł mnie, żeby użyć mojej mocy i obalić Templetona Blacka. Chciał po prostu przejąć Meegra.

Tera przez chwilę uśmiechała się blado.

- Czekają go ciężkie chwile w Meegra po tym, jak wydał nam Tempeltona. Zrobił to dla ciebie.

Megan nie pamiętała, kiedy czuła się równie źle.

- A ja go spoliczkowałam. - Mruknęła.

- I to jak. - Dodał Brian z satysfakcją. - Nie myślałem, że masz to w sobie.

- Kiedyś myślałeś, że jestem zdolna do zabójstwa. - Zauważyła, ale bez energii.

- A ty myślałaś, że pracuję dla Bellinghama i napiszę o tobie okropne rzeczy.

Uśmiech pojawił się na jej ustach nieproszony, ale gdy już tam był, poczuła się lepiej. Lubiła Briana, pomimo dawnych różnic między nimi. Różnic, które nadal istniały.

On także się uśmiechnął.

- Jesteśmy kwita?

Skinęła głową. Pochylił się i cmoknął ją w policzek.

- To będzie świetny artykuł. - Powiedział.

- Och. Zapomniałam o tym.

- Co? No, tak, „Tydzień z życia...” To będzie niezłe. Ale myślałem o artykule, który napiszę o tym, jak Art Bellingham zmusza pacjentów grupy Pogromcy Strachu do uczestnictwa w mrocznych rytuałach i prawie ich przy tym zabija... I wtedy na odsiecz spieszy doktor Megan Chase, Pogromca Demonów, a u jej boku.... - Zerknął na Terę, która nieznacznie pokręciła głową.

- A u jej boku ja i nikt inny. - Dokończył.

Tera się uśmiechnęła.

- Brzmi świetnie, Brianie. Mam nadzieję, że wyślesz mi kopię, gdy się ukáže?

- Nie omieszkam tego zrobić, jeśli obiecasz, że nigdy więcej nie spróbujesz mnie zahipnotyzować.

- Umowa stoi.

Brian dolał wina, ale Megan wzięła swój kieliszek i wstała. Był jeszcze ktoś, z kim musiała porozmawiać.

ROZDZIAŁ 28

Siedział na podłodze w przedpokoju. Opierał się plecami o ścianę, wyprostował jedną nogę, drugą zgiął, żeby postawić butelkę na kolanie. Miał zamknięte oczy, gdy wchodziła, ale uniósł powieki, spojrzał na nią i opuścił je ponownie.

- Ach, to ty.

Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- Masz prawo być zły. - Powiedziała w końcu. - Ale ja też.

- Oszczędź mi terapii.

- A ty daruj sobie fochy umęczonego, nierozumianego biedaka. - Prychnęła. - Chciałam cię przeprosić. Jeśli nie chcesz tego słuchać, w porządku.

Otworzył oczy.

- Pewnie Tera i Brian nakładli ci do głowy fascynujących opowieści o moim bohaterstwie.

- Coś w tym guście.

- Przesada. Kiedyś ci już mówiłem, że nigdy nie interesowało mnie bycie bohaterem.

Usiadła obok niego i wzięła butelkę.

- Więc to tylko instynkt samozachowawczy. I chęć zajęcia miejsca Templetona.

Wzruszył ramionami.

- Plan był całkiem niezły, musisz przyznać.

Megan już niemal zbierała się do wyjścia, ale coś błysnęło w jego oczach i wiedziała, że musi spróbować. Tak, rzeczywiście była częścią jego planu. Co nie znaczy, że mu nie zależy. I nie, nie jest typem mężczyzny, który się angażuje. W porządku. Nie oczekiwała zobowiązań, nie po tygodniu. Zresztą sama teraz też nie miała specjalnej ochoty na nic trwałego. Rozwija się jej kariera radiowa, prowadzi własny gabinet i lada chwila znajdzie się w centrum

zainteresowania, gdy sensacyjna historia sekty Pogromcy Strachu Briana trafi na okładki gazet. Co więcej, przywykła do samotności. Lubiła ją. Przez większość czasu.

Podniosła butelkę do ust, upiła i odstawiła z powrotem na podłogę.

- Powiedz mi jedno. Dlaczego wysłałeś mnie do osobistych demonów? I skąd wiedziałeś?

- To już dwie rzeczy.

Megan uniosła brwi i czekała.

- Ponieważ wiedziałem, czego chcą. - Rzekł po chwili. - Wcale nie próbowały cię zabić, zrobiłyby to dużo wcześniej bez najmniejszego problemu. Ale też nie mogłyby powołać zombie do życia. Coś musiało za tym stać, istota na tyle potężna, żeby stworzyć zombie. Niewiele stworzeń ma taką moc. Wiedziałem już wtedy, że masz demona w sobie, odkryłem to, gdy pocałowałem cię pierwszy raz. Wiedziałaś, że Oskarżyciel cię poszukuje. Nie wiedziałaś, że jest związany z Yezer Ha- Ra.

- A ty mi tego nie powiedziałaś.

- Nie.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, ale nie pozwoliła mu się wykręcić. Złapała go za nadgarstek lewą ręką, a prawą odwróciła jego twarz do siebie.

- Greyson.

Początkowo nie patrzył jej w oczy. Czekala, ledwie śmiała odetchnąć. Nie powiedziała ani nie zrobiła niczego, czego mogłaby się wstydzić... Na razie.

Jeśli się myli, może po prostu wstać i wyjść.

- Niech to szlag. - Szepnął, zanim ją objął, a jego wargi przywarły do niej.

Jego ręce pieściły jej twarz, potem wsunęły się w jej włosy, muskały jej szyję, przyciągały ją do niego. Było im niewygodnie, ale nic jej to nie obchodziło. W tej chwili nic jej nie obchodziło, nawet banda demonów czekająca na jej rozkazy w sąsiednim pomieszczeniu.

Razem osunęli się na podłogę, ręka Greysona podtrzymywała jej szyję.

Lodowaty chłód posadzki przenikał przez jej ubranie, ale płomień Greysona stanowił przyjemną przeciwwagę. Jego język wsunął się w jej usta. Powitała go, unosząc brodę, odwzajemniając jego namiętność z jednakową intensywnością.

Minęło kilka ognistych minut, zanim oderwał usta od jej warg. Przywarł policzkiem do jej twarzy tak, że jego wargi znalazły się obok jej ucha.

- Nie mogłem ci powiedzieć, bryaela. Wiedziałem, co planuje Temp. I że Oskarżyciel przeczyta cię, kiedy... w ciebie wstąpi. Nie mogłem ryzykować, że będzie wiedział, a tym samym stanie się ostrożniejszy, odsyłając cię z ciała. Musiał popełnić błąd, żebym mógł wykorzystać twój gniew i dać ci Yezer Ha- Ra.

- Wiem. - Szepnęła. - Teraz już wiem.

- I musiałem cię rozgniewać. Kłamałem, Megan. Wiesz o tym.

Skinęła głową.

- W porządku.

Przez mniej więcej minutę po prostu trzymał ją w ramionach, pieścił jej szyję powolnym, gorącym oddechem. A potem się odsunął, pocałował ją mocno w usta i pomógł wstać.

- No, tak. - Upił kolejny haust z butelki. Megan знаła już ten gest. To przemówienie, wyszeptane do cieni na jej szyi, to wszystko, co od niego dostanie. Nieważne, jak bardzo się o nią obawiał, nieważne, co do niej czuł. Dowie się tylko tego, co wyczyta z jego zachowania. Ale przecież odczytywanie wskazówek świadczących o uczuciach w zachowaniu pacjenta to jej praca.

- Jakie masz plany wobec nich?

- Kogo? Och, osobistych demonów? - Pokręciła głową. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nie mogę im przecież zabronić tego, co robią. Bez tego zginą, a obiecałam im opiekę. Ale też nie mogę dać im wolnej ręki.

- Interes rozkwitnie. Demony przyciągają pacjentów, ty ich uzdrawiasz.

Megan wzięła butelkę z jego ręki i starała się nie śmiać.

- Można i tak na to spojrzeć. Ale wolałabym raczej jakoś pomóc ludziom, a nie tylko napychać sobie kieszenie.

- Dla Gretneg w Meegra najważniejsze jest dobro rodziny.

Nie pomyślała o tym.

- To znaczy... Jestem Gretneg?

Skinął głową.

- Gretneg Meegra Io Adflicta. Oficjalnie przez jakiś czas nie mieli Meegra, ale chyba dasz radę pomóc im odzyskać dawną pozycję.

Gretneg Meegra. Tydzień temu była samotną terapeutką, która - gdyby chciała - mogła wygrać każdą grę w karty. Teraz miała przyjaciół. Kochankę... Rodzinę. No dobrze, jej rodzina składa się z małych istot pokrytych łuskami, które żerują na ludzkim nieszczęściu, ale to lepsze niż samotność, prawda?

Tak. Lepsze.

- A ty? - Zapytała. - Co z twoją Meegra? Tera powiedziała...

- Nie słuchaj Tery. Chyba nie myślisz, że zaangażowałbym się w to wszystko bez planu awaryjnego? Połowa Meegra i tak była gotowa zabić Templetona, zwłaszcza, że nie miał syna, który przejąłby po nim stanowisko. Dlatego chcieli przekazać mi zarząd nad Meegra. Myślę, że Malleus, Maleficarum i Spud pomogą mi z tą drugą połową. Dowiedli lojalności wobec ciebie, uciekając z lochów, żeby cię ratować. Może zabierzemy ich z nami?

- Hm? Dokąd?

Wstał, chwycił ją za rękę i pomógł wstać. Przyglądał się jej badawczo. Jego usta wygięły się w niebezpiecznym półuśmiechu.

Objął ją w talii.

- Myślałem o jakimś słonecznym miejscu. Może Włochy? Co ty na to, bryaela? Chcesz pojechać ze mną do Florencji? Na tydzień albo dwa?

- Może. Co to znaczy? Wcześniej nie chciałeś mi powiedzieć.

- Jedź ze mną, a się dowiesz.

- A co będzie po powrocie? Czy nasze Meegra nie rywalizują?

Pocałował ją w czoło.

- Krok po kroku, dobrze?

Megan skinęła głową i poszła za nim na górę. Krok po kroku, do jej sypialni.

Megan pochyliła się do przodu w ciemnym studiu i uśmiechnęła, gdy Bill przełączał pierwszego dzwoniącego w tym programie. To była Regina, pacjentka z zeszłego tygodnia, dziewczyna dręczona przez demony.

Osobiste demony

Rocturnus uśmiechał z drugiego końca studia, gdzie przysiadł na podłodze. Uniósł rękę. Regina była teraz pod ochroną. Tego ranka, po tym jak Megan w końcu się obudziła i przygotowała do pracy, odwołał demony.

Bill dał jej znak. Megan otworzyła usta.

- Cześć. Regino. - Powiedziała. - Jak mogę dzisiaj zabić twoje demony?

PASZTECIKI WOŁOWE MEGAN

- 1 kg mięsa wołowego gulaszowego lub polędwicy wołowej
- 1 l ciemnego piwa Guinness lub Murphy's
- 2- 3 łyżki oliwy z oliwek
- 2- 3 łyżki mąki cebula sól i pieprz
- 2 łyżeczki posiekanej natki pietruszki lub świeżego tymianku (albo innych ziół)
- 1 łyżeczka rozmarynu odrobina gałki muszkatołowej
- 2- 3 łyżki sosu worcestershire szklanka bulionu wołowego
- 2 łyżki sosu pieczeniowego w proszku (można zrezygnować)
- 2 opakowania mrożonego ciasta francuskiego Rozgrzać oliwę na dużej patelni. Cebulę obrać i drobno posiekać.

Wrzucić na patelnię i poczekać, aż się zezłoci. Dodać pokrojoną w kostkę wołowinę. - jeśli jest jej za dużo, żeby zmieściła się naraz, trzeba ją wrzucać na patelnię partiami. Mięso smażyć na bardzo gorącej patelni, aż się przyrumieni.

Pod koniec dodać zioła. Lekko posolić, ale nie używać jeszcze pieprzu. Z solą też nie należy przesadzać, dopóki później nie spróbujemy dania, ale na razie jeszcze wołowina jest twarda.

Gdy cała wołowina się już przyrumieni, oprószyć ją mąką (przedtem przełożyć całość na patelnię, jeśli mięso było smażone partiami). Zamieszać, dodać sos worcestershire i dusić chwilę, stale mieszając. Posypać pieprzem i dolać piwo. Mieszając, należy zeskrobywać kawałki mięsa z dna patelni, bo lubią do niego przywierać. Mięso powinno gotować się w piwie kilka minut (piwo będzie się w tym czasie bardzo pienić). Następnie należy przykryć i dusić mięso na małym ogniu jakieś dwie i pół godziny, aż będzie miękkie. Co jakiś czas należy zajrzeć do mięsa i zamieszać, żeby nie przywarło. W razie potrzeby można je podlać odrobiną wody.

Osobiste demony

Kiedy mięso już jest uduszone - powinno być bardzo miękkie - trzeba je przyprawić. Jeśli sosu jest za dużo i jest on zbyt wodnisty, można nieco odlać (warto go jednak zachować na potem, jeśli okaże się, że nadzienie do pasztecików wyjdzie zbyt gęste). Z kilku łyżek sosu i łyżki mąki zrobić zasmażkę i wlać ją do mięsa. Wymieszać dokładnie i zagotować, żeby sos zgęstniał. Potem odstawić i poczekać, aż ostygnie i sos stanie się jeszcze gęstszy. Powinien przypominać konsystencją sos pieczeniowy. Nie należy się przejmować, jeśli sos wydaje się nieco zbyt wodnisty - podczas pieczenia jeszcze odparuje i zgęstnieje.

Kiedy farsz ostygnie, rozwinąć rozmrożone ciasto francuskie. Wyłożyć nim spód głębokiej blachy do pieczenia wyłożonej pergaminem. Wstawić do piekarnika nagrzanego do 200 st. C (albo do takiej, jaką podano na opakowaniu ciasta). Gdy ciasto się przyrumieni i urośnie, wyłożyć na nie nadzienie i przykryć je drugim płatem ciasta, zawijając na brzegach. Widelcem zrobić dziurki w cieście żeby mogła przez nie uciekać para.

Piec około 30- 40 minut, dopóki wierzch ciasta się nie przyrumieni i nie urośnie. Podawać, pokrojone na małe paszteciki, polane sosem pieczeniowym.